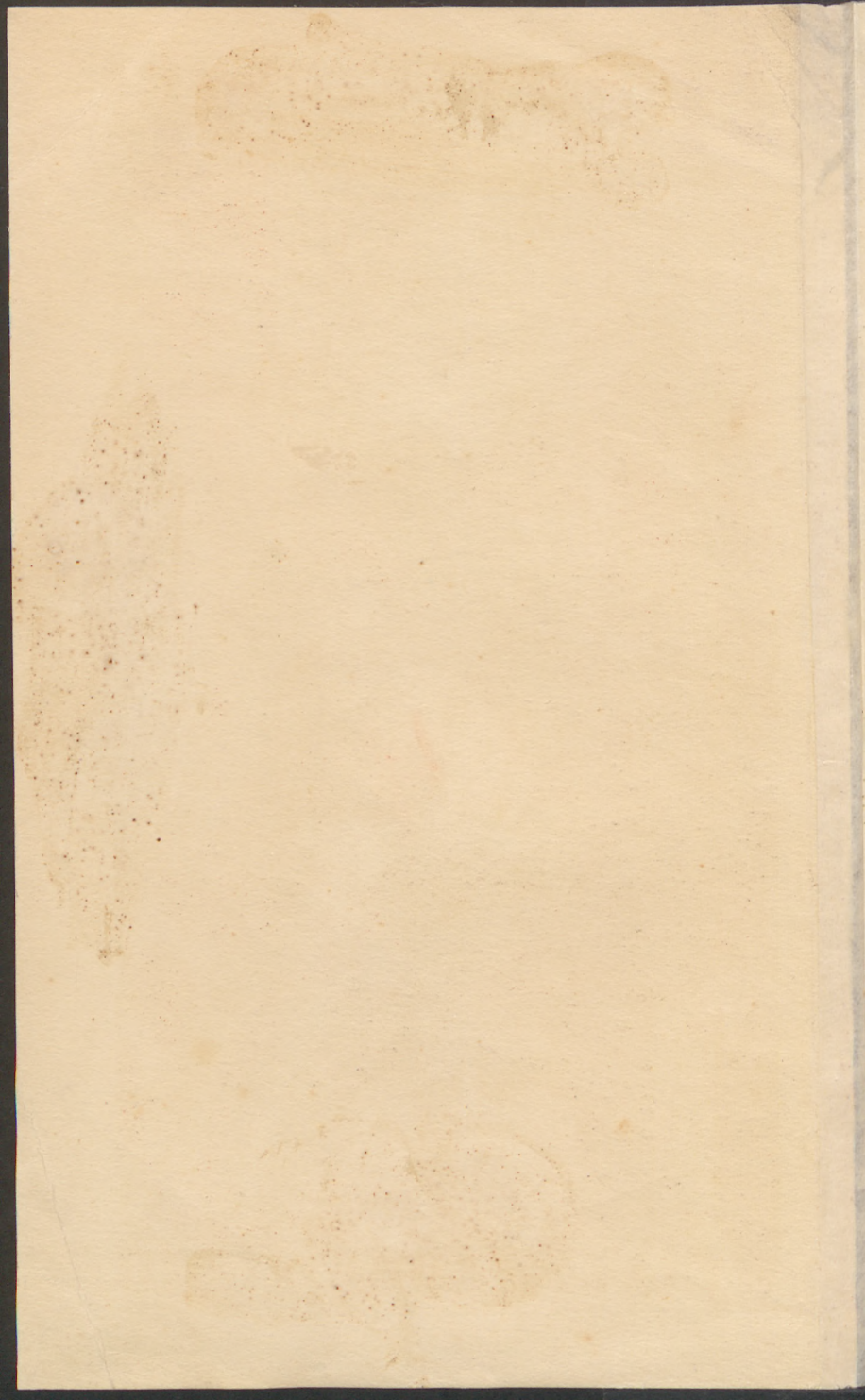


JERZY BANDROWSKI



W BIAŁYM MIASTECZKU

180



211

42

39

Świętlica
Przemysłu Cementowego „Wiek”
w OGRODZIENCU
poczta Zawiercie

W BIAŁEM MIASTECZKU

14

TEGOŻ AUTORA:

ROMANS MARTY
BAJKI UCIESZNE
OSACZONA
BIAŁY LEW
W PŁOMIENIACH
PRZEZ JASNE WROTA
SYN DNIEPRU
KRWAWA CHMURA
PIELGRZYMI
CZERWONA RAKIETA
WŚCIEKŁE PSY
SIŁA SERCA
LINTANG
NIEZWALCZONE SZTANDARY
ZOŁOJKA
SZKATUŁKA Z CZERWONEJ LAKI
WIEŚ MOJEJ MATKI
PO TĘCZOWEJ OBREČZY
ANA-TA
NA POLSKIEJ FALI
PRZYGODY KOMENDANTA WILCZKA

59

JERZY BANDROWSKI

W

BIAŁEM MIASTECZKU

POWIEŚĆ

Świętokrzyski
Przemysł Cementowego „Wiek”
w CERODZIENCU
poczta Zawiercie

[1930]



POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA

OKŁADKĘ RYSOWAŁ T. ROZANKOWSKI
*
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
*
DRUKARNIA KATOLICKA SP. AKC., POZNAŃ
*
PRINTED IN POLAND

405 599



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

W. 1501/69

Światlica
Przemysł Cennejowego „Wiek”
w OGRODZILNICY
poczta Zawiercie

CZĘŚĆ PIERWSZA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

Światłoc
Przemysł Ciemnego Wiek
w Górnym Zawierciu
poczta Zawiercie

ROZDZIAŁ I.

Pociąg odszedł, nieliczni podróżni rozproszyli się, służba stacyjna zaszyła się w ciepłe kąty; Zagórski został sam.

Słysząc było bezustanne „dziń-dziń-dziń!“ dzwoneczków stacyjnych, jakgdyby zmarznięta, dygocąca na mrozie stacyjka dzwoniła z zimna zębami. Zresztą panowała uroczysta, majestatyczna cisza zimowa, głęboka, niczem niezamącona. Na białych polach nie było widać żywej duszy. Las skostniały, zwarty w ciemne, śniegiem przyprószone czworoboki, stężał i przysiadł twardemi bokami na pochyłych zboczach górskich, tak nasyconych światłem, że lśniły jak szklane. Był bardzo mroźny, ale precudny poranek zimowy, słoneczny i pełen promiennej światłości.

Oczekując niecierpliwie koni, które lada chwila powinny były nadejść, Zagórski przechadzał się żywym krokiem po torze kolejowym. Naprózno jednak próbował się ruchem rozgrzać. Mróz szczypał w uszy, następował na palce od nóg, jak w śrubie ścisnął palce rąk. Zmęczony, niewyspany i głodny, Zagórski po kilkunastu turach zrezygnował i rzuciwszy okiem na swe kuferki, marznące na ławce przed stacją, schronił się do poczekalni, maleńkiej, ale za to na

wieki wieków objętej zabójczym odorem tanich, żydowskich cygar i wszystko trawiących, niezwykłymi chłopskich fajek. Mały, żalobnie czarny, smętny piecyk kadził duszącym fetorem węglowym, aż się ciemno w oczach robiło. Było ciepło, ale ciepło chłopsko-żydowskie, niemal namacalne i bijące w nozdrza. W tej zgęszczonej a charakterystycznej atmosferze prawie że się słyszało przyciszony szwargot żydów, bezustanne, basowe buczenie chłopów, strzykających śliną przez zęby, pewne siebie głosy jowialnych handlarzy nierogacizną, krępych, barczytych, z brutalnymi twarzami i oczami czerwonymi z przepicia, zanoszący się, uparty płacz niemowlęcia i ciche chlipanie dziewczyn, złożonemi chusteczkami obcierających zapłakane oczy, spocone, świecące policzki i zaślinione kąty ust.

Było ciemnawo i nawet świetny blask zimowego słońca gasł, widziany przez brudny kir rzadko mytych szyb.

Zagórski usiadł i w sennej ciszy poczekalni zamyślił się. Ta stacja — to była jego stacja ostatnia. Dalej już tylko koniki, fury chłopskie, wsie, pola i to małe miasteczko, dwie mile od kolei, a sto lat poza życiem. Zapewne, żyć można wszędzie. Zależy od tego, co kto życiem nazywa i jak sobie to życie urządzi. Zagórski nie poddawał się jeszcze, przerabiał życie po swojemu, czasem uciekał od świata — i wówczas ta mała stacyjka była dla niego odskocznią, punktem, w którym obliczał swe siły, po raz ostatni kontrolował plany i podniecał w sobie energję. — Wracał jednak za każdym razem coraz bardziej zmęczony, jakgdyby, mimo pewnych powodzeń, uciekał — a wtedy ta mała stacyjka była niby

przedsionkiem jego domu, bramą, za którą zaczynał się jakiś odrębny świat, niby mały, zacofany i napół dziki, a przecie po swojemu pełen życia, różnobarwny, uzasadniony do najmniejszego szczegółu tradycją, historją i własną kulturą, opartą na odwiecznych, niezniszczalnych fundamentach. Rozwodził Zagórski nieraz znaną sobie aż nadto dobrze szumną, pieniącą się i błyskotliwą treść wielkomiejskiego życia, oraz cichą treść poczerwiałych od starości niskich domków małego miasteczka, ale choć starał się wniknąć we wszystko, nie mógł dociec, po której stronie jest więcej prawdy, która strona bliższa będzie rzeczywistości.

Kiedy tak siedział, dumając, przyszła mu naraz na myśl scena, którą na tej stacji widział przed kilku miesiącami. Było to w pierwszych dniach września, wczesnem popołudniem, przed nadejściem pociągu, jadącego do Krakowa. Dzień był piękny, gorący, jeden z tych cudnych, dobroduszných dni wrześniowych, jakby rozmyślnie wyładowujących z siebie gorliwie całą słoneczną gorącość dobiegającego do końca lata, aby ziemi i ludziom oddać wszystko należne im światło i ciepło. Na ławce przed stacją, w cieniu starych, wielkich drzew, siedziało kilka odświeżnie wystrojonych dziewczyn. Rumiane ich twarze błyszczaly od potu, z pod chustek wyglądały przyzłazane, żółte włosy o zielonkowatym odcieniu, grube palce miętosily chusteczki, nosy były czerwone, a oczy pełne łez. Zwłaszcza jedna z nich, siedząc w pośrodku, a ubrana w kapelusz i nainownie skombinowany pstrokaty strój miejski, oblewała się wprost strumieniami łez i coraz to którąś ze swych towarzyszek brała w ramiona i całowała

ją zaślinionemi usty. Przysiadłszy się do płaczącej gromadki, Zagórski dowiedział się, iż płaczka wyjeżdża do Ameryki, gdzie ma krewnych; nie było tedy nic dziwnego w tem, że rozstając się z domem rodzinnym, płakała. Ale nagle stanął przed nią jakiś jej znajomy parobek, który, widząc jej łzy, zaczął ją pocieszać.

— Co płaczesz, głupio! Do Ameryki jedzie i płacz! Smiać się powinnaś, cieszyć! Tam życie! Jo, gdybym tak mógł do Ameryki pojechać, tobym przez najwyższy mur przeskoczył, choćby się ziemia za mną miała zawalić. Niechby się zawaliła! Tu życia nimo!

*

*

Powiedział te słowa z taką furją i z taką siłą przekonania, że Zagórskiemu aż się przykro zrobiło. — Krzywdzi ten niewdzięcznik biedną Polskę — pomyślał. — Krzywdzi ten swój piękny kraj! — powiedział sobie, rozglądając się po górach i lasach cichych i przywodząc sobie na myśl wszystkie piękności słonecznego kraju.

— I cóż ci ta ziemia złego zrobiła, że chciałbyś kopnąć ją tak, aby się zawaliła za tobą! — mówił w duchu, patrząc z żalem na parobka. Ale już po chwili przyszło zwątpienie. Oto on, Zagórski, jest wykształcony, duchowo i umysłowo bogaty i silny, a przytem ma mnóstwo namiastek życia, a ten chłopak? Któż wie, czy jego ta ziemia nie krzywdzi, czy nie jest mu katem, kaleczącym życie, bezli-

tosnym, nieubłaganym? I co to może być za życie w ciężkiej, twardej pracy tylko i właściwie w pierwotnem obcowaniu z surowemi, zupełnie jeszcze niecużętami w karby techniki, żywiołami.

A jednak kwestja została nierozstrzygnięta! — powiedział sobie Zagórski. — On się tej ziemi wyrzekał, lecz dziewczyna za nią płakała. Po czyjej stronie słuszność?

Nagle uczucie głodu przerwało mu te rozmyślenia. Wyszedł na drogę i stał przez dłuższą chwilę, patrząc, czy wóz jaki nie jedzie. Wysypyany śniegiem gościniec, choć niemal grzał swym różowym blaskiem, był pusty i cichy. Tuż nad ziemią przelewały się fale światła, lekko nasycone delikatnemi barwami, złotawe, różowe, srebrno-niebieskie, brylantowe. Fala leciała za falą, jak jasne, różnobarwnemi blaskami świecące akordy szczęśliwej muzyki. Góry białe skrzyły się w słońcu, mieniając się miękkimi, świetlistymi odcieniami. Świat był niesłychanie promienisty, powietrze przezyste, upajające, uśmiech słońca boski, cisza pogodna, łaskawa i kojąca.

— Nareszcie! — westchnął z ulgą Zagórski.

Daleko przed nim pojawił się na gościńcu dziwny, czarno-żółty potwór. Potwór pędził ku stacji szybko i w krótkim czasie zmienił się w rwącego cwałem czarnego konia, za którym pojawił się woźnica w żółtym płaszczu.

— Sanki! — mruczał Zagórski. To dobrze. Nie będzie trzęsło. Ale kto to jedzie? Oj, szkapą Dudy.... I Janek Duda!

Woźnica stał w sankach i słyhać było, jak poganiał konia głosem, wreszcie z brawurą zajechał Zagórskiemu pod bok tak zręcznie, że sanki stanęły

w miejscu, jak wryte. Z pod czarnej barankowej czapy wyjrzały wesoło podłużne, szeroko rozstawione, opalowe oczy i pociągła, gładka twarz, z zimna różowa, jak u dziewczyny.

— Leciałem co koń wyskoczy! — wołał śmiejąc się młody chłopak. — Ledwo pośniadałem, zaraz zaprząłem. Ale mróz!

— Osiemnaście stopni!

— Osiemnaście!! Chorroba ciężka!

— A ja już myślałem, że chyba telegram nie przyszedł i będę musiał czekać na pocztę.

— Telegram przyszedł, ale rano —

— Psiakrew z tą pocztą!

— Pani zaraz rano przyleciała.... Bała się, że nikt nie pojedzie, bo jarmark —

— Prawda, poniedziałek.

— Stary chciał sam jechać.

— Stary zdrów?

— A coby mu brakowało, dziękuję, zdrów. Chciał sam jechać, choć jarmark, ale się rozmyślił.

— Pewnie. Woli z chłopami pić.

— Juści. Ale konia dał.

— Dla mnieby nie dał! Tylko że ja się, psiakrew, tym waszym arabem jechać boję. Bestja zawsze do rowu ciągnie i to w najniebezpieczniejszych miejscach.

Chłopak roześmiał się.

— Jużeśmy go tego oduczuli.

— Ale jak on tym swoim karawaniarskim krokiem pójdzie, to mnie na kość w saneczkach zamrozsiz.

— Nimo strachu, jak go mróz popędzi, to pójdzie jak djabeł. A kabat pon mo wdziać.

— Mnie nie zimno.

— Zimno, nie zimno, pani dała, kazała, ażeby pon wdział, mo pon wdziać. Prawdo jest, zimna dziś nimo, ale mróz wielki.

To mówiąc, ściągnął z siebie płaszcz i podał go Zagórskiemu. Zagórski bez szemrania już pozwolił się ubrać, wsadzić w sanki i przykrywać kocami i derkami. Rozbroiła go zupełnie serdeczna, prostoduszna życzliwość i troskliwość chłopca. Zadarmo tego nie robi, to prawda — myślał, kiedy chłopak pobiegł na stację po rzeczy — ale jest rad, że może mi oddać przysługę.

Nareszcie ruszyli.

— W domu u mnie wszystko zdrowe? — pytał Zagórski.

— Zdrowe.

— Nie przygodziło się co złego?

Janek odwrócił się i spojrzał na Zagórskiego zdziwiony.

— Złego? — zapytał. — A cóżby się u nas złego mogło stać?

I krzyknął na konia.

* * *

Minęli domy malutkiej osady, rozbite w pierwszym roku wielkiej wojny; wciąż jeszcze nieodbudowane. Błyskające złościście okienkami jak z miki, tonące całe w gronostajach, wyglądały niby chałupiny z bajki. Sączący się cicho z kominów blade różowy dym pośpiesznie mknął w górę i wsiąkał w błękit.

Zaczęli się piąć pod górę. Po lewej stronie drogi leżały głębokie, lodowato-niebieskie cienie, po

prawej zarzył się złocisto-biały blask; przed nimi nie było widać nic, prócz cudnie lazurowego nieba. Prosto w ten lazur, wszystko ogarniający, jechali tam właśnie, gdzie gościniec z nim się spływał.

— Kąpiel lazurowa! — mówił sobie w duchu Zagórski, patrząc w tę otchłań błękitną i oddychając głęboko czystym, zimnem powietrzem.

— Wio, Czarny Orle, wio! — pokrzykiwał na konia młody woźnica.

Jechali złotym, skrzypiącym gościńcem, mijając drzewa stężale, nieruchome, przerażone, naiwne wierzy o czuprynach zjeżonych zabawnie a fioletowo-różowych, jak wrzos jesienny, i krzyże lub obrazy przydrożne, przybrane w wieńce brylantowe, całe blaskami usiane. Najmniejszy ruch w przyrodzie budził świetne ognie. Sroka spłoszona, załopotawszy skrzydłami, sfrunęła z wierzy i przeleciała smugę słoneczną — i oto szafirem błysnął jej grzbiet, a metaliczną, złocistą zielenią zagrało podbrzusze i ogon, tak, iż wierzyć się nie chciało, że ten ptak mieniący się blaskami, ten klejnot latający — to zwykła sroka.

Zmęczony, senny, Zagórski przechylił się w tył i tak, napół leżąc, zapatrzył się w niezgłębioną toń lazurową. Było mu, jakgdyby zasypiał — nie fizycznie, lecz duchowo. Oczy miał otwarte, słyszał i widział wszystko, ale coś tam głęboko w nim grało, ścichało, przestawało się burzyć i osiadało na dnie, Powstawał w nim wielki, kojący, pogodny spokój.

— Wio, Czarny Orle, leć! — krzyknął chłopak i koń ruszył z kopyta. — Nie mówiłem, że pójdzie jak djabeł? To cugowy koń, proszę pana! — dodał, śmiejąc się.

— Poślijcie go do Krakowa na wyścigi! — odpowiedział Zagórski, wiedząc, iż Czarny Orzeł, zmannerowany jak Rosynanta, jest nie tylko zwierzęciem pociągowym, lecz też czemś w rodzaju błazna domowego, którego figlami i psotami bawi się całe miasteczko. Teraz już za każdym krokiem było widać coraz więcej światła. Ciągnęły się po prawej stronie na zboczach wzgórz długie rzędy chat rozlicznych wiosek, o przecudnych, starych nazwach. Śnieg był bardzo biały, ale ściany tych chat były jeszcze bielsze. Prawie, że promieniowało z nich słońce, bił od nich ciepły blask, nad każdą zaś trójkątną strzechą, niby nad stosowanym kapeluszem grenadjera, powiewała pyszna, złoto-różowa kita. Gdzieindziej tuż koło strzechy sterczała smukła, strzelista topola — rzekłby kto — tatarski minaret na śnieżnych polach; tylko że na tych minaretach zamiast półksiężyców siedziały czarne wrony. Tu i ówdzie widziało się szerokie, piękne ogrody, obwiedzione starannie równiami, niskimi murami. Leżały na zboczach wzgórz, jak na dłoni, ciche, milczące cmentarze wojenne, katolickie, protestanckie, prawosławne, mahometańskie, żydowskie. Oto gdzie się podziały niezliczone armje cudzoziemców, depcących, zdawało się, bezkarnie bezbronną ziemię polską. Ta ziemia niczem nikomu nie była straszna — nie groziła ognistemi wybuchami wulkanów, ani szumiącą powodzią wód, wypuszczonych z uwięzi kanałów, ani topielami, ani piaskami pustyni, nie bronił jej żaden żywioł, przeciwnie, oddawała najeźdźcom pokornie ludzi, zwierzęta, chleb, wszystko, co miała — a przecie wkońcu pochłonęła cudzoziemców i oto wszystko, co po nich pozostało, to na cmentarzach cichych lasy

krzyżów, żydowskie płaskie płyty i wycięte z kamienia turbany z dziwnymi napisami na blaszanych tablicach. Ale i to zapadnie się w ziemię, rozsypie się zwietrzały kamień, a blaszane tablice z nazwiskami nieszczęsnych bohaterów pójdą na drzwiczki do pieców, przysłonią dziury w rozbitych oknach chłopskich chat lub zawisną na szyszach krów. Blacha droga, poco się ma marnować, szkodaby było.

— Kiedy tu te wojska szły — odezwał się Zagórski do woźnicy — zdawało się, że cały świat zaleją, że niema siły, coby im dała rady.... A teraz? Gdzie one są, te wojska? Myśmy wolni, a po nich tylko gnijące trupy po cmentarzach.

— Pan Bóg wszystkiemu da rady! — odpowiedział chłopak. — Ale mróz! Uszu już nie czuję.

— Ja też zmarzłem. Tu gdzieś musi być po drodze jakaś karczma!

— Kapliczki by nie było! — zażartował zuchwale chłopak. — Zaraz tu będzie chrześcijańska gospoda.

— To jedź prędzej, napijemy się wódki.

Nie weszli nawet do karczmy. Szylnik wyniósł im na drogę kieliszki i flachę doborowej wiśniówki. Błysnął w słońcu rubinowy płyn, żywiej zaświeciły oczy, rozgrzała się krew.

— A teraz jedź bracie, bo mi się strasznie jeść chce!

Droga szła z góry na górę, z kopca na kopiec. Jak wygrywane na ksylofonie groteskowe melodie, dzwoniły głosy kobiet, niosące się bez wysiłku na większe nawet odległości. Słowa ślizgały się po śniegu i aż na gościniec wynosiły z dalekich chat ich drobne tajemnice. Niby dźwięczny głos trąbek rozlegało się donośne, czyste, zawsze wyzywające pianie kogutów.

Czasami, niewiadomo skąd, mignął w powietrzu drobny, złoto-srebrny pyłek, zaświecił czarownym blaskiem na tle błękitnego nieba i znikł, jakby się w tym błękitcie roztopił.

— Leć, Czarny Orle, dobry Czarny Orle! Leć! —

Zagórski ujrzał wieże kościołów, samotne ruiny zamku na górze, w gęstwinie bezlistnych drzew swój wysoki, czarny modrzew przed domem, białe miasteczko na równinie, a za niem trzy smukłe topole. Po chwili zaś uczuł dobrze sobie znany zapach dymu z wysuszonego brzoźowego drzewa i ujrzał targowisko pełne czarnych, gestykulujących figur, i ciężkie, białe wieprze, i biegające niespokojnie warchlaki i długi rząd czerwonych lub łaciatych, zrezygnowanych krów, a po prawej stronie obozowisko fur i wśród nich skłębione dymy ognisk, oraz ludzi, grzejących ręce nad czerwonymi płomykami.

Wjechali w sam środek ciżby.

— Hej! — z głębi potężnych płuc wołał woźnica.

— Heej! — odpowiedziało mu wielkie echo, a w niem, jak w jednym ogromnym akordzie, słyhać było zmieszany gwar głosów ludzkich, rzenie koni, ryk krów, kwik nierogacizny, gęganie przerażonych gęsi i śmiechy i kłatwy — w jednym wielkim akordzie całe miasteczko.

*

*

*

Zagórski przeszedł cicho przez sypialnię i stanął w progu tak zwanego „salonu“.

Pokój ten miał niby pozory salonu, w gruncie rzeczy jednak służył Zagórskiemu za pracownię,

a całej rodzinie za punkt zebrań. Zwykła podłoga z desek, nawet nie pokostowana i nosząca na sobie ślady podków koni kozackich, które tu czasu wielkiej wojny stały, pokryta była wielkim choć tanim, czerwono - żółtym dywanem, pociętymi resztkami chodników i małymi dywanikami. Fotele były stare i kulawe, kanapy wytarte i zniszczone, ściany pobielane, ale za to ze ścian patrzyło dużo obrazów, w jednym kącie stało wysokie łóżko, drzwi ujęte były portjerami, w oknach wisiały piękne, po-
zółkłe od starości firanki, przez które światło słoneczne sączyło się do pokoju łagodnie, wywołując jednocześnie na starym muślinie przejrzyste, jasne wzory. Nie było w tym pokoju nic kosztownego, ani rzucającego się w oczy, a jednak ustawienie sprzętów i różnych ozdobnych, pamiątkowych drobiazgów, czyniło go miłym i nadawało mu spokojny, pogodny charakter.

Kiedy Zagórski wszedł, światło słoneczne żółte, jakby bursztynowe, cedziło się cicho przez azur firanek, a w starych, złotych ramach obrazów pełgały wesolo żywe iskierki. Błękit nieba, widziany stąd, miał stłumiony, seledynowy odcień gobelinu.

Tuż przy wysuniętej na środek pokoju otomanie, pokrytej ceglastym dywanem, wśród mnóstwa najrozmaitszych rupieci i szczątek zabawek, siedziały dwie małe dziewczynki — jedna ciemna szatynka, z twarzączką małą, jak z kości słoniowej, druga malutka, złota blondynka o różowej buzi. Wśród kupy połamanych lalek, różnobarwnych szmatek, pudełek, jakichś kijków, deseczek, wśród całego tego świata, który starszym wydaje się kupką śmieci, dzieciom zaś królestwem skarbów, spokojnie spał mały,

biały kotek. Na kanapie, zwinięty w kółko, drzemał sobie w plamie słonecznej żółty jamnik. Zajęte zabawą dzieci nie zauważyły wejścia ojca. Coś tam sobie wciąż, siedząc na ziemi, półgłosem wykladały i maleńkimi rączkami przerabiały po swojemu i stosownie do swoich planów szczątki przedmiotów, niedoganionych już kształtów i przeznaczenia.

Zagórski stał cicho, przyglądając się dziewczynkom z rozrzwinieniem. W domu było słonecznie, cicho, ciepło, a z niedalekiej kuchni zalatywał smaczkowity aromat jabłkowej zupy.

Wtem żółty jamnik warknął, zbudził się, skoczył z kanapy i z głośnym szczekaniem rzucił się ku Zagórskiemu.

— Jak się pan ma, panie Guzik! — przywitał go Zagórski. — A, jeść panu dają, emeryturę wypłacają, co? Jak się macie, dziewczusie! Cóż to, Basiu? Basienko!

Mała szatyneczka stała chwilę nieruchoma, jak słup, patrząc na ojca szeroko otwartymi ciemnymi oczyma, a potem zatupała nóżkami, zatrzepotała rączkami i piszcząc głośno, zaczęła uciekać. Widząc to blondyneczka, która również wstała i stała tak w dziecinnym oszołomieniu, rozplakała się głośno.

— Aj, wy cymbały, cymbały! — zawołał ojciec. — Basiuniu, to ty przed ojcem uciekasz? To takie kochanie? Elżuńciu, nie becz, ojciec przywiózł doskonale papu, cizio, cizio, nie bój się!

Uspakajał dzieci a jednocześnie myślał:

— Zawsze to samo przeczulenie, ta sama nadmierna wrażliwość. Oj, nie będzie wam z tem, dzieci, na świecie dobrze, nie!

Zrzucił z siebie płaszcz i zaczął uganiać za Basią. Uciekła mu pod łóżko, wreszcie wcisnęła się za szafę, skąd już uciec nie mogła. Stała tak w ciemnym kącie, piszcząc, śmiejąc się i trzępiąc małemi rączkami, jakby się od ojca opędzała. On zaś szedł ku niej powoli, mówiąc łagodnie i pieśczośliwie:

— Przed ojcem za szafę uciekać — to ładnie?

— Łannie! Łannie! Łannie! — zapewniała go, machając wciąż rączkami.

Ociągającą się uparcie wyciągnął i przytulił do siebie. A wtenczas upór dziewczynki nagle zniknął, wiotkie, smukłe ciało jakby się złamało i rzuciło swą wolę, przyłgnęło zupełnie do ojca, śniade, delikatne policzki zarumieniły się zlekka a długie rzęsy przysłoniły ciemne, wzruszone oczy. Ale już w następnej chwili dziewczynka wyrwała się ojcu i podskakując jeszcze nerwowo, zapytała:

— A co ty przywiozłeś?

— Zagaduje wzruszenie. Bardzo słusznie! — pomyślał ojciec. — Bierzmy się do rzeczy konkretnych.

A głośno rzekł:

— Ja już sam zapomniałem!

— Może lalcie? — poddała mu. — Może zabawecie? Może piłeczkę?

— Może. Ale nawet nie wiem, gdzie to mam!

— A papu przywiozłeś, ojciecu?

— Pewnie że przywiozłem; dużo doskonałego papu. Chodź, rozpakujemy kufarki, będziemy szukali.

Dziewczynka złapała go za rękę i tak przeszli razem do salonu. Kiedy pootwierał kufarki i Basia zaczęła wyciągać z nich różne przysmaki i prezenty, wydreptała z jakiegoś kąta mała Elżunia ze

złotą czuprynką i wielkimi, niebieskimi oczyma w różowej twarzyczce. Uściskał ją i wsunął jej w rączkę ciasteczko. Mała, uradowana, że obrzęd powitania nie trwał zbyt długo, natychmiast odwróciła się od niego i zajęła się energicznie wyciąganiem bielizny z jego walizki.

— A Elżunia była grzeczna, jak ojcieca nie było?
— zapytał jeszcze.

— Grzecia! — bąknęła, aby się go zbyć.

Spojrzała na niego jednak niespokojnie i odwracając się, mruknęła coś niezbyt pewnym głosem.

— No to ślicznie! — pochwalił ją, głaszcząc po jasnych włoskach.

Już o nim zapomniała. Miała przed sobą tyle nieznanych rzeczy w kuferkach.

Przysiadł na kanapie i przyglądał się dzieciom. Bawiły się znowu spokojnie i cicho. W ich małym światku było wszystko w porządku i harmonji.

Teraz dopiero, w ciepłym, cichym pokoju, uczył Zagórski, jak bardzo jest zmęczony. Wszystkie kości go bolały, opadały senne powieki.

— Basieńko, gdzie mama?

— Mamusia poszła na jarmark.

Wstał i o ciężalym krokiem przeszedł przez pokoje. Wszędzie było jasno, ciepło, zacisznie. Cicha pogoda spokojnego domowego życia biła z pobielanych ścian, wysokie, kaflowe piece zdawały się promienieć ciepłą, dobroduszną życzliwością. W kuchni śpiewały na blasze garnki, trzaskało w piecu suche drzewo.



— A Milcia gdzie? — zapytał, wróciwszy do dzieci.

— Mamusia kazała jej iść z sobą na jarmark.

— Ale ty już mądra jesteś, Basienko, wszystko wiesz, wszystko ojciecowi powiesz!

Dziewczynka aż westchnęła z radości, ale udała, że pochwały nie słyszy; tylko rączki jej zaczęły grzebać żywiej w kuferku.

Zagórskiemu zrobiło się trochę przykro. Jakże to? To jarmark ważniejszy, niż on? Przypuśćmy, ale nawet służącej, któraby mu podała wody do mycia? I dzieci same, bez opieki.

Przeszedł się kilka razy po pokoju i stanął w oknie.

Naprzeciw okna, na gościńcu, u skrzyżowania dwóch dróg, pobierano opłatę od wozów, jadących na jarmark. Wozów tych lub ciężko ładownych sani, jechało wciąż jeszcze moc i od pierwszego spojrzenia widziało się, że jarmark musi być duży. Wozy były z butami, ubraniami i wysoko spiętrzonymi, białymi szafami, skrzyniami i łózkami prostej, stolarskiej roboty i prymitywnych kształtów. Ponieważ mało kto miał pieniądze na opłatę przygotowane, jednocześnie zaś, nie mówiąc o wozach, jadących w odwrotnym kierunku, gościniec roił się od pieszych, koni, krów i miotających się na powrózkach świń, wskutek tego co chwila tworzył się zator, powiększany jeszcze przez żydów, którzy całą gromadą z pobliskiego domu wyległszy, zatrzymywali jadące wozy tuż za improwizowaną rogatką. Powstawał wtedy taki zgielk, taki okropny alarm szwargotania żydowskiego, kwiku świń i koni, ryku krów, gęgania gęsi i klątw chłopów, to wywijają-

cych batami, to niby już porywających się do bicia, iż zdawało się, że w tej chwili wybuchnie ogólna bójka. Człek doświadczony wiedział jednak dobrze, że to tylko taki sobie zwykły rejwach jarmarczny i zamaszysty szyk, i omatulone szalami Żydóweczki bez najmniejszej trwogi a ze zwykłą sobie arogancką śmiałością, kręciły się w tym tłumie, zatrzymując chłopów prawie przemocą i macając indyki i gęsi, albo rewidując koszyki i półkoszki. Mimo straszliwego hałasu i wymyślań, oczy były wesole, przedsięwzięte, ożywione i rozbawione, a ludzie, żyjący przeważnie na mniejszych czy większych pustkowiach, chętnie ocierali się o siebie.

— Duży jarmark! — mruknął Zagórski.

Duży!

Więc w miasteczku aż wre! Już od soboty przygotowywano na ten dzień kielbasy, specjalnie pieprzne, ale z krowiego lub cielęcego mięsa, z nieznaczną tylko domieszką wieprzowiny. Dawniej wstydziłoby się taką kielbasę podać, ale dziś — wszystko dobre, za wszystko można sobie kazać dobrze zapłacić. Zresztą — chłop zje wszystko, byle szczypało w język. Więc szynkarze nabijali piwo i przyprawiali specjalnie do chłopskiego smaku wódkę, taką, coby jaknajwięcej paliła — paprykówkę, pieprzówkę albo też „czystą“, wzmocnioną naftą i innemi, tym podobnemi ingrediencjami. Chłop zaś, nie taki-ta znów głupi, brał z sobą swój chleb i swoją kielbasę lub wędzonkę, a tyle tylko, że od wódki, piwa i herbaty z „herbatonem“, zastępującym rum, powstrzymać się nie mógł. W końcu jednak i on dawał się skusić, na czem zresztą nie zależało, bo czego nie zjadł chłop, zjadał handlarz bydła i nierogaczyny, przy-

były z daleka kupiec, mieszczanin z sąsiednich miasteczek, a wreszcie i tarnowski rzeźmieszek, pilnie i z niemałym powodzeniem operujący kieszenie i dyn-dające z wytwornym wdziękiem a tak łatwe do otwar-cia, eleganckie torebki prowincjonalnych strojnis.

Jarmark? Właściwie bitwa ekonomiczna między małym miasteczkiem a wsią. Wieśniaka chce obe-drzeć mieszczanin, czyli gulon¹, uważający się za coś znacznie lepszego od chłopca i przezywający go cha-mem. Chłop wie o tem, że swej strony gulona, pół-rolnika i półrzemieślnika, ma zupełnie za nic, wie też dobrze, że wszystko, co sprzedaje gulonowi, sprze-daje na spekulację, na wywóz do miast lub zagra-nicę, dlatego twardo trzyma się swej ceny, nie opuszcza nic i, choć na wszelki przypadek stawia ceny bardzo wysokie, jak tylko swą cenę uzyska, jest święcie przekonany, że go oszukano, okradziono i ograbiono. Wtedy, zwłaszcza gdy sobie dobrze po-pije, a jeszcze lepiej za to zapłaci, wybucha długo tajoną złością i pogardą dla gulona i albo, pijąc dalej, pyszni się w szynku i drwiąco woła: — Hej, gulony, potraficie tak żyć, jak my, chłopcy? — albo, kreśląc niepewnymi nogami dziwne holendry po gościńcu, zaczepia i wymyśla wszystkim gulonom po drodze, prześmiewa ich, porywa się do bitki, a wresz-cie, pomieszawszy ich sobie z Żydami, idzie do domu, wykrzykując głośno: — A, wy, złodzieje, to tak nas będziecie obdziroć? Ceko-j-ciez! Ceko-j-ciez! To sie wom nie uda! My som naród polski, ślachetny! Jo tu

¹ Gulon, nazwa mieszczan, pochodząca rzekomo od galonów, jakie mieszczanki nosiły na czepcach; nazwa ta używana jest tylko w niektórych okolicach Polski. U Karłowicza przezwisko nadane mieszczanom przez włościan, od g u l a — indyk.

na was wszyckich przyde! Ale jak jo na was przyde, to was żadne Niemce już nie obroniom! My som naród polski, ślachtetny! A wy co?

Ale obie strony starają się jednocześnie utrzymać z sobą kontakt przyjacielski, interesowny, lecz nie pozbawiony cech pewnej niby życzliwej, w gruncie rzeczy nieszczerzej, przyjaźni. Guloni i gulonki mają po wsiach swych niby przyjaciół, swych kumów i kumcie. Nie zawsze tylko kłątwy słyhać podczas jarmarku.

-- Jak się macie, kumciu!

— A witajcież, kumosiu! Niech będzie pochwalony, gosposiu! — śpiewają gulonki słodko, z nieopisanie pieśczośliwą przypochebnością mazurską. Zziębnięte, z dobrze wypchanemi koszami, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na te czule powitania i z nieszczeremi minami, kumosie i gosposie wchodzą do cieplej kuchni, wiedząc, iż czeka tam na nie „słodka“, gorąca herbata z rumem, mnóstwo ploteczek i ten zachwycający, szachrajski handel kobiet, z których jedna, spragniona jakiegoś fundusiku na własne potrzeby, utaiła przed „swoim“ kilka wiązek grzybów suszonych, ćwierć żyta, litr masła i pół kopy jaj, druga zaś, poza poczęstunkiem, może jej udzielić kilka bardzo intymnych rad, dać jej na pół znoszoną bluzkę, no i bez targu tę właśnie pożądaną gotówkę za towar po niższej cenie. Takich to gości wsiowych podczas jarmarku pełno jest po gulońskich kuchniach, zdobnych w festony i girlandy pajęczyn i czarnych od kopciu wiecznie żarzących się na blasze pieca węgielków pod trójnóżkiem, na którym parskają gorącą, jadowitą śliną garnki z cieleciami kruszkami lub cielecą głową. Zaniedbane i zapo-

mniane garnki syczą ze złości, oburzają się i z głośnym brzękiem buntowniczo zrzucają na blachę pokrywki, ale w kuchni bezustannie trajkocą głosy rozgadanych kobiet, które, właśnie dlatego, iż pochodzą ze światów zupełnie odrębnych, mają mnóstwo spraw do omówienia i mnóstwo wspólnych interesów.

— Ależ ona tam długo siedzi! — pomyślał o żonie Zagórski.

Jeszczeby też! Wszak to ostatni jarmark przed świętami Bożego Narodzenia, jedyna sposobność zapatrzenia się i uzupełnienia zapasów. W małym, daleko od kolei położonem miasteczku czasem nie można dostać najniezbędniejszych nawet towarów. Bezustanny wzrost cen, nie stojący w żadnym stosunku do zarobków, zmuszał¹ do większych zakupów, które nieraz pochłaniały ostatni grosz. Mąż, bojąc się zostać bez pieniędzy, daje je niechętnie i po długich walkach.

— Więc cóż będziemy jedli, jeśli dziś nie kupię jaj, grzybów, masła, sera? — woła ze łzami w oczach żona. — Z czegoż zrobię coś na święta? Wiesz sam, że bielizny nie mamy. Jeśli dziś płótna nie kupię, za trzy tygodnie będę musiała dać dwa razy tyle!

Przyparty do muru mąż daje pieniądze i gdy żona, zabrawszy z sobą służącą, umyka czemprej, aby się przypadkiem nie rozmyślił, on, posepny i strapiony, chodzi z kąta w kąt po domu i rad jest gościowi, z którym się może na frasunek wódki napić. A po kilku kieliszkach robi mu się jakoś weselej na duszy, życzliwem okiem patrzy na piętrzące

¹ Książka pisana 1922 roku podczas bezustannej „baisse’y“ marki polskiej.

się na stole wianki cebuli, grzybów, czosnku, nawet cieszy się, jeśli żona przyniesie z jarmarku dzieciom coś na fartuszki czy na sukienki. Albo też idzie znajomych poszukać i oczywiście szuka ich w gęstwie ludzkiej po szynkach, gdzie też jakiś półkwate-reczek czy piwo trzeba wychylić. Pełen życia gwar jarmarczny usposabia wesoło, w głowie zaczyna szumieć i wreszcie dzień zmienia się w jedną wielką, gromadną biesiadę, a gdy kupcy z wczesnym zachodem słońca zwijają z pośpiechem swe kramy — w pijacką bachanalję, brzęczącą bezustanną rozmową w takt głośnego bicia pięściami w stół.

W sionce rozległy się kroki.

— Mamusia przyszja! — obwieściła Elżunia.

*

*

*

Zagórski odwrócił się od okna. W pierwszej chwili zamierzał zaznaczyć delikatnie urazę z powodu nieobecności żony, ale gdy usłyszał jej dźwięczny, piersiowy głos, twarz mu się rozjaśniła, uśmiechnął się i wyszedł naprzeciw niej.

Zarumieniona i tchnąca świeżością mroźnego dnia, z żywym blaskiem w wyrazistych ciemnych oczach, rękoma, zajętemi przez różne pakunki, starała się otworzyć drzwi do kuchni młodej dziewczynie, przepychającej się z trudem przez ciasną sionkę z wielkim, dobrze naładowanym koszem w ręku. Zagórski chciał żonie dopomóc, ale w tej chwili zamieszanie jeszcze się powiększyło, bo dzieci również

wybiegły do sionki i ciągnąc matkę za poły płaszcza, to opowiadały jej o przyjeździe ojca i o nowych zabawkach, to znów pytały, czy dla nich co na jarmarku kupiła.

— Nie gniewaj się, Józeczku, że nie czekałam, ale —

Przerwał jej. Nie warto nawet mówić. Przecież musiała iść na jarmark jaknajwcześniej.

— Bardzo jesteś zmęczony?

— O, bardzo!

Wziął się za głowę.

— Wogóle przemęczony jestem. Miasto dzisiaj bardzo męczy. Na mnie działa zabójczo. Ty się do miasta wrywasz, a nie wiesz nawet, co tu masz. Teraz już nieprędka się stąd ruszę.

— Chorowałeś?

— Z przemęczenia. Myślałem, że to serce, potem — że płuca, pokazało się jednak, że to tylko przemęczenie.

— Odpoczniesz sobie kilka dni, przyjdiesz do siebie. A jak ja wyglądam?

— Ty, Anielciu?

Zagórski spojrział w uśmiechniętą, rumianą twarz żony. Miała wciąż swój słodki dziewczęcy owal, wiśniowy, gorący kwiat ust i zmienną błyskotliwość wielkich oczu, naiwnych i wrażliwych.

— Wyglądasz doskonale.

— Istotnie, nieźle się czuję. To zima tak na mnie działa. Lato mnie męczy. Ale tyś pewnie głodny? Będziesz się mył?

Pomagała mu przy przebieraniu, opowiadając jednocześnie o dzieciach, domu, gospodarstwie, wreszcie zaczęła się skarżyć na drożyznę.

— Nie masz pojęcia, Józieczku, jak strasznie drogo się robi. Chciałam z tych pieniędzy, co mi przysłałeś, z kilka sągów drzewa dokupić —

Zagórskiemu serce zabiło żywiej.

— Więc drzewa nie dokupiłaś?

— Skądże? Niepodobieństwo!

— A ja liczyłem na to. Rozmyślnie więcej przysłałem.

— Kiedy jednocześnie wszystko podrożało i ja nie mogłam nadażyć. Za kilo mięsa płacę już —

Tu popłynęła długa litanja cen, recytowana płaczliwym, żalonym głosem.

A gdy tak żona biadała, Zagórski milczał i mył się i mył, zapamiętałe gorącą wodą splukując ze swej zmęczonej głowy niezbyt wonną pianę ordynarnego mydła.

— A z pieniędzmi jak jesteś? — pytał, wycierając się półzniszczonym ręcznikiem. — Powinny ci conajmniej do pierwszego wystarczyć.

Żona aż się złękła.

— Józieczku, co też ty mówisz! — wykrzyknęła.

— Przecież dopiero przed kilku dniami je odebrałaś!

— Ależ pomyśl tylko — jarmark, Józieczku! I święta za pasem. Trzeba będzie kupić cukru parę kilo, żeby choć tę struclę jaką móc upiec.

— Parę kilo cukru do tej jakiejś strucli! — warknął Zagórski, czerwony jak burak, prawdopodobnie wskutek gorącej wody.

— Ja przecież pieniędzy nie jem! — odpowiedziała niecierpliwie.

Przestał się obcierać i stojąc tak nagi do pasa, z rozłożonym ręcznikiem w rękach, patrzył na nią przez chwilę.

— Posłuchaj. Mam umowę dość korzystną z Nowakiem i przywiozłem pieniędzy tyle, abyśmy mogli pół roku żyć spokojnie. Dopiero za pół roku dostanę nowe pieniądze. Z tego jednak, co ty mówisz, widzę, że to, co ja przywiozłem, może nam wystarczyć na cztery miesiące.

— Jakto na cztery miesiące? Musi wystarczyć na sześć! — zapewniała gorąco.

— Nie mów-że takich głupstw! — zachnęła się.— Na grudzień pieniądze już wydałaś, więc muszę dać drugi raz, drzewa niema, też się musi dokupić, no więc?

— E, cztery miesiące, czasu dość, postaramy się, żeby nam wystarczyło! — mówiła, pomagając mu wdziać czystą koszulę. — Może ci Nowak da zaliczkę!

— To znaczy, że mam zjadać własną substancję?

Nie zrozumiała.

— W każdym razie — poco się gryść naprzód?

— Oczywiście! — przyznał jej słuszność.

— Zjesz teraz co, czy zaczekasz na obiad? Będzie wnet.

Skrzywił się.

— Nie. Jakże tak — wprost z wagonu i sani — na obiad! Nie mógłbym jeść. Trzeba wprzód coś małego.

— Skusiła mnie gorąca kielbasa. Widziałam pełne miski gorącej, dymiącej kielbasy — chłopci jedli z takim apetytem — zapachniała mi. Nie mo-

głam wytrzymać. Może zjesz kawalek? Świeżutka, doskonała.

Uśmiechnął się.

— Jedli z apetytem, powiadasz? Ja go widzę, tego chłopca ogromnego, jak piec, w owczym kożuchu, z nogami jak słupy, z gębą kwadratową, stężałą od mrozu. Wejdzie do szynku, dłońmi twardymi, jak kijanki, po bokach się kilka razy uderzy, wypije kubek wódki, niedopitą resztą chluśnie na czarną podłogę, strzyknie śliną przez zęby a potem weźmie w łapę funt gorącej kielbasy i je, aż mu skóra w zębach trzeszczy. Daj i mnie kielbasy i kieliszek wódki.

Po chwili siedzieli już za stołem, w małej, jasnej jadalni.

Przez okna i prowadzące na werandę oszklone drzwi, widać było gościniec, czarny teraz od ludzi, fur i zwierząt, wirujący wciąż i huczący strumień.

— Ależ gwałt! — rzekła pani Zagórska, patrząc na to jarmarczne rojowisko.

— Na pierwszy rzut oka tylko. W rzeczywistości — najzupełniejszy porządek, od wieków ustalony i uświęcony. Każdy wie, gdzie ma zajechać, gdzie stanąć, gdzie bydłę zaprowadzić. Trzeba to znać, rozumieć. Kto tego nie rozumie, dopatruje się wciąż wszędzie nieporządku. A ono pod tym względem wcale znów tak źle z nami nie jest. I nie może być, bo przecie wszystko dyktuje życie, konieczność. Elżuniu, fe, nie palcami, jak ty jesz!

Widząc, że mąż nie jest w złym humorze, pani Zagórska postanowiła poruszyć drażliwy temat.

— Słuchaj, Józeczku! — odezwała się, gdy po nowym kieliszku domowej wiśniówki sięgał po kanapkę z szynką i sardynką. — Słuchaj, Józeczku! — powtórzyła błagalnie. — A możebyśmy przecie tym razem wieprzka kupili?

Pochylił głowę nad stołem.

— To wielka oszczędność! — tłumaczyła mu. — Z porządnego wieprzka możemy mieć tłuszczu na pół roku, nie mówiąc o kielbasach, szynce, wędzonce i tak dalej. Basiu, uważaj, bo obrus poplamisz! A pomyśl, ile wydajemy na słoninę, która w dodatku będzie coraz droższa.

Ten wieprzek, to było dawne marzenie pani Zagórskiej. W miasteczku prawie nie było domu, gdzieby nie karmiono świni, która na całą zimę dawała tłuszcz, a na uroczyste przyjęcia mięso i wędliny. W osobliwszą praktyczność tego zwyczaju Zagórski bardzo nie wierzył, ale, ostatecznie, taki był już zwyczaj i wątpliwości nie ulegało, że mieć wieprzka w domu byłoby dobrze. Niestety, nie była to rzecz łatwa do urzeczywistnienia. Zagórscy nieraz próbowali uciulać potrzebną sumę, zawsze jednak okazywało się, że w danej chwili, kiedy już mieli do kupna przystąpić, ceny nierogacizny poszły w górę. W tym pościgu za wieprzkiem stanowczo nie mieli szczęścia.

Zagórski zawahał się.

— A po ileż teraz sprzedają wieprze? — zapytał.

Żona podała mu cenę.

Uśmiechnął się gorzko.

— Połowa moich kapitałów! — rzekł. — Basia, nie samą kielbasę! Z chlebusem, z chlebusem!

— Ale dzięki temu będziemy mieli o połowę mniej wydatków — nastawała żona.

— Mylisz się! — odpowiedział jej. — Wydatki się nie zmniejszą. A w dodatku, gdyby nagle coś się zdarzyło, nie miałbym żadnej rezerwy. Nie mogę zostać bez amunicji. Muszę mocno trzymać w garści to, co mam, muszę się rządzić ekonomicznie.

— Ładna ekonomja! — oburzyła się żona. — A jeśli w styczniu słonina o sto procent podrożeje?

— To będę się starał kupować jej o połowę mniej.

— Ja i tak kupuję bardzo mało, tyle tylko, ile niezbędnie potrzebuję.

— Wiem o tem. Nóżki spokojnie, Elzuniu, nie wywijaj widelcem.

Zagórski zaczął się niecierpliwić. Odsunął talerzyk z niedojedzoną kanapką i zapaliwszy papierosa, osłonił się obłokiem dymu.

Pani Zagórska również zaczęła tracić panowanie nad sobą.

Jakto? Więc co ona właściwie ma robić? Po to jest gospodynią, aby gospodarować, ale jeśli nie ma czem gospodarować?

— Bo ty nic nie myślisz o przyszłości! — wybuchnęła. — Ty żyjesz z dnia na dzień i dlatego nigdy do niczego dojść nie możemy.

— A ty tak myślisz o przyszłości, że jak zacznie kupować na jarmarku, to potem na paczkę zapalek nie masz. Rezerwy muszą być! Basiu, bo klapsa dam!

— Rezerwy! Rezerwy! Te rezerwy leżą w szafie i nietykane nawet topnieją tak, że kiedy wreszcie po nie sięgasz, nie mają żadnej wartości.

— I o tem wiem. Tak, niestety, jest! Ale cóż na to poradzę? Nie jestem paskarzem, kobieto, zrozumiej to, jestem tylko ciężko pracującym inteligentem polskim, pojmujesz? Filologiem, filologiem, niczem więcej, artykułem luksusowym w tym biednym kraju.

— A z kądże inni biorą?

— Inni robią skarpetki, buty, krawatki, bluzki, kołnierzyki w których dziś omal, że krowy nawet już nie chodzą, a ja piszę podręczniki gramatyk zakazanych języków i układam słowniki. Jedni, widzisz, robią dla siebie, drudzy dla przyszłości.

— Powinienbyś i o swoich pamiętać! — zachnęła się.

— A czyż ja zapominam? Elżuniu, smarkaczu jeden nieznośny! Czyż wam czego brakuje? Chodzicie może głodni, nieubrani, nie macie dachu nad głową?

— Tego nie mówię, ale popatrz, ty jesteś niby uczony człowiek a porządnego płaszcza zimowego nie masz! Ja mam właściwie jedną porządną sukienkę do wyjścia, podczas gdy pierwsza lepsza gulonka, co gulonka! dziwka ze wsi! wydaje na suknie krocie i miljony. Mnie wstyd czasem za siebie i za ciebie, kiedy się przeciskam przez tę postrojoną hołotę. One się poprostu śmieją ze mnie, z tej mojej czapki, w której już trzecią zimę chodzę, z tej staromodnej mufki!

— Niemądra jesteś! Przecież to, co ja robię, nie jest wcale głupie ani niepotrzebne. Porządny, solidnie zrobiony, wielki słownik angielski może też dać miljony. Poczekaj tylko trochę. Eee! Rozpuści-

łaś dzieci, co to za jedzenie, hukacć człowiek musi na nie, jak policjant!

— Oczywiście — poczekaj. Ja czekam wciąż — mam już dwadzieścia sześć lat, życie mija i nie mam nic. Wszystko ucieka przede mną, jak ten wieprz, na którego nigdy nie możemy się zdobyć. Inne stroją się, chodzą na bale, do teatru, na koncerty, używają świata, ja siedzę w tej dziurze, haruję, nie mam nic, jak tylko kuchnię i dzieci, żywej duszy nie widzę, żadnych przyjemności, ani kina, ani nawet cukierni. Ja do tego nie jestem przyzwyczajona, ja się wychowałam w mieście, ja chcę żyć!

Brzydki grymas złości oszpecił jej ładną twarzyczkę, nos zaczerwieniony dźwignął się w górę jak semafor, wargi posiniały, na czoło wystąpiły żyły.

Zagórski pokiwał głową.

— Ja! Ja! Ja! Ja chcę żyć! I ja też. Ale wierz mi, że nieraz chciałbym też bardzo już umrzeć, i zdawałoby się, że do tego chyba mam prawo, a patrz, mnie nawet tego nie wolno!

— E, przesada! — burknęła szorstko.

— No, jak na pierwszy dzień po czteromiesięcznej nieobecności, będzie tego chyba dość — rzekł chłodno. — Pozwolisz, że się teraz trochę zdrzemnę. A wy, smarkacze, uważajcie! Ja was wciąż nawoływać nie będę!

— Pracuje człowiek, jak koń — myślał, idąc do swego pokoju — a wszystkiego wciąż mało, mało i mało!

*

*

*

Krótki zimowy dzień umierał w krwawych urywanych tchnieniach. Nad szarzącymi dachami domów żarzyło się czerwono kilka dogasających obłoczków. Szybko gęstniał w oknach ciemno niebieski zmierzch, z poza bezlistnych konarów drzew przebłyskiwały małe, blade gwiazdki zimowe. Jarmark już ścichł, tylko od czasu do czasu rwały gościncem wozy, pełne chłopów, pokrzykujących po pijanemu.

Zagórski spał. Przy obiedzie siedział chmurny, bez humoru i niewiele jadł. Skarżył się na kłucie w sercu i ból w piersiach. Na dzieci fukał tak, że się zlekły i do końca obiadu nie odezwały się ani słowem. Żona, chcąc go trochę udobruchać, tłumaczyła mu, że nie ma żadnych pretensji do niego, lecz nie może przecież wyskakiwać pod niebiosa z radości w tak nędznych i podłych czasach.

— Czasy nie są ani nędzne, ani podłe! — odpowiedział jej. — Są to rozrzewniające czasy dziecięctwa Rzeczypospolitej. Ale co ciebie to obchodzi! Ty pamiętasz, że dawniej ciastko z kremem kosztowało pięć centów i rozpaczasz, że dziś musisz płacić za mały bochenek chleba tysiące marek. W końcu — co tu dużo gadać! Wiem dobrze, że ci jest ciężko. Bardzo wielu ludziom w Polsce jest ciężko — niezasłużenie. Ale znoś złą dolę dobrze, bo inaczej będzie ci jeszcze gorzej. A zresztą, co za zła dola? Kto inny na kolanach dziękowałby Bogu za to, co ty masz.

Zaraz po obiedzie położył się do łóżka.

A teraz pani Zagórska chodziła znowu sama po domu, i, to sprzątając wyrzuconą z kuferków przez dzieci brudną bieliznę męża, to układając w kredensie przywiezione przez niego wiktuały, to

wreszcie, bawiąc się z dziećmi, dość nieufnie przyjętymi, nowymi zabawkami bez żadnych jeszcze praw obywatelstwa, myślała długo i intensywnie o tym swym mężu, tak dobrym i tak szalenie czasem nieznośnym, o życiu na prowincji i o swych zawiedzionych nadziejach. A im dłużej o tem wszystkiem myślała, tem ciężej się jej robiło i tem bardziej nie-nawistnym i obcym stawał się jej dom, w którym żyć i mieszkać musiała.

Była pewną, że Józef utrzyma się w mieście i że prędzej, czy później cała rodzina się tam przeniesie. Czuła się na prowincji źle, wprost nieznośnie. Wychowana w mieście, bała się chłopów a nawet miała do nich niczem niewytłumaczoną odrazę, na małomiejskich, zacofanych g u l o n ó w patrzyła zgóry, a z paniami z inteligencji żyć się nie mogła. Przyrody nie odczuwała, nie miała dla niej ani oczu, ani serca, nie mogła się w niej dopatrzeć poezji, piękna, wielkości. Przechadzek nie lubiła, zanadto się na błocie buciki niszczyły, zbyt niewygodnie było chodzić po górach na wysokich obcassach. Pozostawał dom, mąż, dzieci. Ale ten dom był dla niej nie tyle może obcym, ile niemiłosiernym, jakby nieprzyjaznym, nieustępliwym. Nigdzie nie mogła w nim przeprowadzić swej woli. Było prawdą, co Józef powiedział, że nic tu zmienić nigdy nie można było, wszystko musiało stać tak, jak stało, posłuszne woli nie jej, woli i koniecznościom obcych, niezłomnych, choć niby dawno zmarłych. Straszły ją portrety rodziny, której nie znała, a które patrzyły na nią surowo i jakby niechętnie. Drażnił ją upór sprzętów, które, gdy je raz inaczej rozstawiła, miały w całości wyraz tak głupi, jak gdyby

się z niej wyśmiewały. Wogóle — miała wciąż wrażenie, że ten dom zupełnie się z nią nie liczy, w niczem się do niej nie chce zastosować.

Za to ona stosować się musiała do wszystkiego. Tryb życia, pożycie z ludźmi, wychowanie dzieci, potrawy, ich sposób przyrządzania, podania, sposób wyrażania się, ruchy, intonacja głosu — wszystko było poddane krytyce, naginane do woli lub upodobań męża. Nie miała kawałeczka ściany do własnej dyspozycji, nie mogła nigdzie bez pytania powiesić czy to jakiegoś obrazka czy robotki. Cały dom stanowił dziwną całość, zwartą tak silnie, że pani Zagórskiej trudno było znaleźć kątek, w któryby mogła wbić choć odrobinę swej duszy. Niewątpliwie, męża kochała, wiedziała, że i on ją kocha i jest człowiekiem dobrym, jednocześnie jednak nienawidziła go czasem za przedziwnie żelazny upór, z jakim ją łamał, odbierając jej każdą cząsteczkę duszy, najmniejszy atom woli. Żyjąc z nim razem, nie można było żyć życiem własnym, a taka już w tem wszystkim była niesłychana konsekwencja, że najmniejsze uchylenie się, najmniejsze odstępstwo ni stąd ni zowąd wyrastało w dramat i wywoływało bardzo przykre rozdzźwięki. I otóż, chodząc po domu, wpatrując się w portrety, przyglądając się niemożliwym do przedstawienia grupom mebli, młoda kobieta spostrzegła, że wszystko tu jest takie, jak Józef, wrażliwe, przeczulone a jednocześnie trwałe, nieustępliwe, jakimś nieuchwytnym wspólnym życiem czy wspólną wolą przepojone.

Nieraz myślała nad tem wszystkim głęboko, szczerze, uczciwie. Tu był jej dom. Dom, który miał swą tradycję, swój charakter, swą duszę. Nie

można było żyć w nim, jeśli się z tym jego charakterem, z tą jego duszą spłynąć w jedno nie chciało. Trzeba zatem było wchłonąć ten dom w siebie, własną duszę mu nawzajem oddając. Chcąc żyć w nim, trzeba było żyć nim i tylko nim. Trzeba go było nadewszystko ukochać, trzeba się mu było oddać bez zastrzeżeń. I pani Zagórska czuła, że inaczej się to skończyć nie może. Jednocześnie jednak ogarniał ją pewien niepokój. Czy ten dom jest odpowiednim ekwiwalentem za jej duszę, za jej „ja“, za wszystkie jej marzenia niespełnione, a których teraz będzie musiała się wyrzec?

A z drugiej strony czuła, że mimo najzacieklejszej obrony, prędzej czy później i tak padnie. Indywidualność jej protestowała, burzyła się, nie chciała się poddać, ale w tej walce siły jej wyczerpywały się z każdym dniem coraz bardziej beznadziejnie. Zresztą — nie było nawet powodu bronić się. Ten dom, to jakaś potężna organizacja duchowa. To nieodgadnione, srogie, niemiłosierne życie wołało ją, potrzebowało jej, przerabiało ją i ugniatało w swych trybach — ale poza tem cóż mogła z tą swą indywidualnością począć? Życie było już napoczęte. Jeśli mu się odda bez zastrzeżeń i spłynie z niem w jedną całość, walka ustanie; jeśli nie, będzie i tak zwyciężona, z tą różnicą, że wtedy stanie się niewolnicą zwycięzcy.

Zatem walka zgóry przegrana.

Wobec tego — pocóż ją dalej prowadzić?

Oto marzenia, świat pięknych, kuszących iluzji. Jak ona sobie do niedawna jeszcze to życie wyobrażała — a do czego doszła, co osiągnęła! Rzecz prosto niesłychana, nie do wiary, nieprawdopo-

dobna. Zupełnie co innego sobie układała, a co innego zrobiła. Ani nawet nie zauważyła, kiedy i jak, idąc drogą, która niby najprościej prowadziła do wymarzonego celu, znalazła się nagle w miejscu, do którego nigdy iść nie chciała. Zdawać się mogło, że to jakaś nieodgadniona siła ją tu przywiodła — ależ nie, wszakże to ona sama, krok za krokiem, i to nieraz walcząc ciężko, schodziła z promiennego szlaku marzeń w kolący gąszcz życia, w zaślepieniu niepojętem wierząc, iż to droga jedyna.

Więc co teraz?

Z jednej strony świat, oświetlony różnobarwnymi lampionami złudzeń — niech się to nazywa kinematografem, ładną suknią, koncertem i tanim, łatwym flirtem — coś, co może nie ma sensu, ale ma wdzięk, wydaje się, jakby miało wdzięk, coś, co tak samo z siebie przychodzi, że nigdy myśleć nad niem nie potrzeba, — a z drugiej strony to tragiczne oddanie się bez zastrzeżeń na śmierć i życie, z bezwzględnością i bezwarunkowym wyrzeczeniem się wszystkiego, a bez żadnej gwarancji.

Ściemniło się za oknami. Zrobiła się zupełna noc.

Milcia postawiła na stole zapaloną lampę.

— Milciu, pal już na podwieczorek.

Lampa naftowa, stara. Gdzie jej do złotych róż elektrycznych, płonących po kawiarniach, restauracjach lub salonach wielkich miast! Czy ona potrafi na twarz pięknej kobiety rzucić ten blask, który czasem staje się najwyższą glorią piękności? Ona swe światło słabe i blade rzuca na stół, na talerz, książkę lub raptularz z domowymi rachunkami, ale ciemności nie rospraszają a tylko rozszerzają je i zmie-

nia w mgłę, tajemniczo zgęszczającą się w kątach i łyskającą nieprzyjemnie niespodziewanemi przeblaskami sprzętów czy obrazów, zapomnianych a wciąż uporczywie trzymających się życia. Lampa stoi na stole, a człowiek krąży dokoła niej wciąż w mrokach.

— Poddać się? Nie poddać się? Życ? Nie żyć? Czy to jest życie, tu, gdzie wszystko właściwie wegetuje tylko? Czy życie jest tam, gdzie każda godzina przebiera się w inny strój, jak baletnica na scenie, a właściwie, prócz światła zwodniczych, niema nic?

Pani Zagórska siedzi przy starej lampie naftowej z robótką w ręku.

— Jasne jest jedno. Lata mijają, młodość się kończy. Przy kuchni zniszczyłam sobie ręce, zmieniłam się w wyschłą mumję. O czym marzyłam? O tem, o czym wolno marzyć każdemu człowiekowi: o życiu. Co mam? Coś, co także nazywają życiem, ale czem ja żyć nie mogę. Pusto. Zupełnie pusto. Jeśli takie jest życie — po co mam dzieci? Och, jakże ja byłam lekkomyślna, jak głupia! Po co dzieci? Gdzie życie? Józef mówi: jeśli mąż lubi zupełnie grochową, a żona nie, małżeństwo musi się rozlecieć. Linje pozornie równoległe prędzej czy później muszą się przeciąć w powietrzu. To kultura. Na moich grządkach w ogrodzie jednocześnie kwitły bratki i gwoździki, ale w świecie, w ludzkim świecie — jeśli mąż lubi zupełnie grochową, a żona nie, prędzej czy później małżeństwo musi się rozlecieć. Ja nie chcę tu żyć, ja tu żyć nie mogę, ja przywykłam do ludzi, a on — widzę, widzę — on chce mieszkać w tej dziurze. Obłoży się słownikami, jak pierzynami i będzie nad nimi drzemał i będzie mi za-

chwalał: — Widzisz, Anielciu, jak to miło siedzieć przy (starej, naftowej, często kopcającej) lampie i pisać różne niezrozumiałe, głupie słowa. — Ale tę lampę ja mu nalewam, czyszcze, przynoszę i mnie czuć ręce naftą! A jednocześnie — ani bielizny, ani pościeli, ani choćby tego marnego wieprzka, niedostatki, braki, oszczędzanie, cerowanie, łatanie, żadnych ludzi, żadnych przyjemności, ani nawet tej babki czy torcika na święta.

Wszystko się w niej nagle wzburzyło.

— Nie! Ja się tak nie dam! — postanowiła naraz bezwzględnie.

*

*

*

Józieczku, ksiądz dziekan przyszedł.

— A, to doskonale! Proś go tu!

— Kiedyż ty w łóżku leżysz!

— Leżę, bo jestem niezdrów, ale cóż to ma do rzeczy? Przeproś go i już. Co za burżujka z ciebie! Koniecznie potrzebny ci salon, dyganie i siedzenie dokoła stolika.

Sredniego wzrostu, silnie zbudowany, dziekan wszedł do pokoju, a raczej, jak to czasem bywa u księży, których ruchy w sutannie tracą swą ostrość i wyrazistość, wśliznął się. Czarny, obły, wychynął z półmierzchu i wniósł w krąg światła swą pogodną, jasną twarz, szeroką, okoloną przedwcześnie posiadłą, gęstą czupryną. Ładne, ciemne oczy uśmiechały się dobrotliwie z pod cienkich, pięknie zarysowanych łuków brwi.

Zagórski przywitał dziekana bardzo serdecznie. Miał słabość do tej twarzy regularnej, czystej, bez zmarszczek ani grubych rysów, gładkością, cerą delikatną i białą włosów przypominającej portrety w stylu „rococo“. Lekki, ironiczny czy sceptyczny uśmiech światowca w żelaznej dyscyplinie trzymał mięśnie tej twarzy, odrobinę swobody zostawiając tylko prawej brwi, reagującej na wszystko łukiem zdziwienia, niby znakiem zapytania. Ponieważ dziekanowi było z tem do twarzy. Zagórski o resztę nie pytał.

— Wracalem z klasztoru — mówił dziekan przy-ciszonym głosem — a widząc u państwa światło we wszystkich oknach, domyśliłem się, że pan przy-jechał.

— Inaczej oczywiście nigdybym się księdza dziekana nie doczekała! — odezwała się pani Zagórska. — Pomyśl, Józiczku, jakie tu dzikie obyczaje. Przez całe cztery miesiące twej nieobecności nikt do mnie nie zaglądał. Nie wolno odwiedzać żony, jak męża niema w domu.

— Stara francuska zasada! Ma na celu nienarażanie domu na plotki.

— Ale do jakiej przesady ludzie w tem docho-dzą! — mówiła dalej pani Zagórska. — Niedawno temu przyszedł pan Pudłowicz. Szedł przez werandę. Otworzyłam mu drzwi, a on, nie przechodząc pro-gu, przedewszystkiem pyta: — Czy mąż w domu? — Jak się dowiedział, że nie, natychmiast się cofnął i w żaden sposób nie mogłam go namówić, aby choć na papierosa wstąpił.

— W tem zacofaniu jest niemało czcigodnej de-likatności! — wtrącił Zagórski. — Po miastach już

się tak z cudzym honorem nie ceremonjują. Tam się przychodzi przeważnie wtenczas, kiedy męża nie ma w domu.

— A cóż nowego słyhać na szerokim świecie? — zapytał ksiądz. — Co pan widział nowego, co sły-szał de publicis?

Zagórski uśmiechnął się.

Bo ze strony dziekana to nie była wyłącznie chciwość nowinek. Informacje przecież miał, prenu-merował kilka pism. Naturalnie, w małym miasteczku ludzie zawsze byli ciekawi, co się w wielkim świecie dzieje. Teraz jednak ta ciekawość miała zupełnie odmienny, szczególny a bardzo miły charakter. Za-leżało nie tyle na tem, co się w kraju dzieje — bo to było wiadome powszechnie — lecz jakie kto przywozi wrażenia. Widać już gdzie poprawę? Ukła-da się jakoś to życie? Gdzie się dzieje lepiej? Gdzie już czystiej, jaśniej? Niby — można mieć nadzieję, można mieć wiarę?

Naturalnie, Zagórski opowiadał. Że przecie mi-mo wszystko, pod wielu względami poprawę już znać. Że jest bardzo wiele łajdactwa, ale także bar-dzo wiele pracy. Że naogół dusza polska nabiera śmiałości, rozmachu, rozpędu, że polskość twardnieje, krzepnie, zyskuje sobie coraz to nowe tereny, że życie rozwija się i mnoży coraz bardziej.

— Nie do wiary poprostu, jaki wszędzie kolo-salny ruch, jakie masy ludzi na dworcach, w restau-racjach, na ulicach, w teatrach, w kawiarniach, w kinematografach. Wszystkiego wciąż zamało, wszystko przepełnione. Warszawa to poprostu Pa-ryż!

— Nie może być! — woła dziekan zachwycony. — Znam Warszawę, ale i Paryż też znam. Byłem tam, jak jechałem z pielgrzymką do Lourdes.

— No, to ja księdzu dziekanowi mówię, że co się tyczy tempa, rytmu życia, jego bogactwa i różności Warszawa wcale tak bardzo za Paryżem w tyle nie jest. Ale i w innych miastach naszych ruch nadzwyczajny, nie do porównania z przedwojennym. Drożyzna, a ludzie się bawią, stać ich na wszystko! — Życie nad stan! A właściwie — cóż tu znowu jest tak bardzo nad stan! Że ktoś się chce dobrze ubrać, dobrze zjeść, że w wolnych chwilach chce się zabawić — to nie jest wcale nad stan, tak jest wszędzie. Inna rzecz, że nas, którzyśmy właściwie przed wojną trochę dziadowali, poniekąd to wszystko przeraża. Ale cóż? Skoro ludzie się bawią, widać stać ich na to, zarabiają. Wszędzie tłumy! Gdziekolwiek się wejdzie, ma się wrażenie, że jest zaciasno. Zaciasno w teatrach, cukierniach, kinach, kawiarniach, zaciasno w aulach uniwersyteckich, zaciasno na ulicy — wszędzie! Jest nas dużo, księżę dziekanie, bardzo dużo!

— To znaczy, że pan pewnie długo tu nie popasie, ale po kilku miesiącach znowu ucieknie!

— Czy ja wiem! — odpowiedział Zagórski. — Życie w mieście jest dziś bardzo ciężkie.

— Nie rozumiem cię, Józieczku! — odezwała się pani Zagórska. — Niekonsekwentny jesteś. Opowiadasz, że ludzi w wielkich miastach na wszystko stać, że dużo zarabiają, a potem znów mówisz, że życie jest tam bardzo ciężkie.

— W mieście trzeba pracować do upadłego, a prawdę mówiąc, niewiele się za to ma.

— Jak to — niewiele? Stroje, zabawy, teatry, koncerty — to nic?

— Zamało, znacznie zamało, aby to życiem przepłacać!

— A przecież sam mówisz, że ludzie wszędzie chcą się bawić, że każdy człowiek chce mieć jakąś przyjemność, czegoś użyć.

Zagórski poprawił się niecierpliwie na łóżku.

— Już się gniewasz! Więc wszystkim wolno się bawić, a tylko ja jedna mam żyć bez najmniejszych rozrywek, bez przyjemności, nie śmiać nawet zapytać, dlaczego to tak ma być?

Dziekan spojrzał na panią Zagórską ze zdziwieniem, w którym jednak było coś z aprobaty.

— Co ty mówisz! Co ty wygadujesz! — mitygował żonę Zagórski. — Co znów za przyjemności!

— Zawsze — teatr, kino, dancingi...

— Idjotyzy! — rzucił się Zagórski. — Życie na tem nie polega.

— To zależy!

— Nie, nie zależy! — zaprzeczył jej mąż stanowczo. — To są fraszki, któremi się społeczeństwo w mieście ogłusza, podobnie jak narkotykami. Jednego i drugiego jest teraz po miastach aż nadto i to dowodzi najlepiej, że życie w mieście zdrowe nie jest. Ach, jakież ja okropne rzeczy widziałem! Lotników wachających kokainę, młode kobiety, które dla kokainy rzuciły mężów, dom i zeszły na ulicę... Mam wszędzie tylu znajomych... Kulturalniejsi ludzie giną w oczach, starzeją się niezmiernie szybko, zsycają się po kątach... a za to wszędzie na pierwszy plan wybija się mocne, twarde chamstwo.

— To jest wszędzie! — wtrącił proboszcz. — Żeby pan widział na przykład, jak się Amerykanie zachowują, zwłaszcza ci, którzy coś o kościele narodowym zaś'yszeli!

— No, nie powiedziałbym! — odrzekł z pewnem wahaniem Zagórski.

Zaś proboszcz potrząsnął przecząco głową.

— Nie! Nie! Nie zgadzam się z panem! — mówił. Przecież i ja często wyjeżdżam!

— Dla księdza krótki pobyt w mieście jest pro-
 prostu rozrywką, ale ja jestem stałym, rodowitym
 mieszkańcem wielkich miast. Księdza życie miej-
 skie bawi swą powierzchowną barwnością i ruchli-
 wością, ja znam je do głębi. Dawniej nie miałem
 wyboru, musiałem trzymać się miast, bo cóżbym
 robił na wsi.

— I dziś też nie masz na wsi nic do roboty! —
 przerwała mu żona — Mieszkasz tu tylko dlatego,
 że cię do tego zmuszają okoliczności.

— Po części tak, ale cóż to ma do rzeczy? Od-
 biegamy od tematu. Sprawa ma się tak: Mimo, iż
 posiadam technikę życia wielkomiejskiego, byłem
 w mieście stale niesłychanie zdenerwowany i po-
 drażniony. Już jadąc o świcie podkarpacką koleją
 z Tarnowa do Promnika, doznałem na sam widok
 pól, gór i lasów pewnej ulgi. Czekaając na stacji na
 konie, uspokoiłem się i ochłonałem zupełnie. Mia-
 łem wrażenie, jakbym się wyrwał z piekła lub ja-
 kiejś wielkiej bitwy...

— Oczywiście, życie w mieście denerwuje...

— A właśnie nie powinno denerwować, bo im
 większe miasto, tem dokładniej zautomatyzowane
 jest życie. Człowiek żyjący mechanicznie, porusza-

jący się jak automat, nie ma się czem denerwować. Ale w naszych miastach jest obecnie coś, co nazwałbym tymczasowością a co bardzo ujemnie na człowieka wpływa. Na każdym kroku widzi się konieczność przebudowy, a nikt nie wie, w jakim kierunku ona pójdzie. Jest to zarazem mdła, trupia atmosfera, przywodząca na myśl zapach liści butwiejących jesienią, atmosfera marniejącego pokolenia. O, bo to ginące pokolenie nie jest ani złe ani niezdarne, ono tylko nie umie dostosować się do nowych warunków i dlatego marnieje. Słowem — w mieście ma się wrażenie, jak gdyby się mieszkało w wałącym się domu. Wszędzie ciasno, wszędzie przepełnienie, niewygodą, nic nie wystarcza, w przestarzałych, źle zbudowanych domach brak najniezbędniejszych, nowoczesnych urządzeń kulturalnych... Miasta wiedzą, że muszą się przebudować, a nie wiedzą jak, bo nie wiedzą, jakimi będą, nie mogą sobie jeszcze jasno uświadomić ani swych przyszłych zadań, ani swego przyszłego charakteru.

— Jest w tem dużo racji — przyznał proboszcz.— Weźmy na przykład choćby taką rzecz: Dawniej zdarzało się często, że ludzie starsi, ziemianie, osadziwszy na roli młodszych, przenosili się do miast, aby spędzić stare lata w spokoju, jaki wypływał z dobrze ustawionego i uregulowanego życia mieskiego. Dziś inaczej. Dziś miasto istotnie nie tylko wre ruchem i życiem, ale równocześnie męczy się. To widać i to jest przykre. Zatem kochany pan byłby tego zdania, że na prowincji stosunki są zdrowsze?

— Trudno mi o tem sądzić! — odpowiedział Zagórski. Wiem tylko, że po czterech miesiącach

pracy w mieście doszedłem do zupełnego wyczerpania, krótka zaś półtoragodzinna przejażdżka sanokami dodała mi więcej sił niż tydzień kuracji. Tu życie jest niewątpliwie zdrowsze.

— Jeśli vegetację życiem nazwać można — zaczął proboszcz.

— Vegetacja! To już od danego osobnika zależy, czy potrafi w swe życie włożyć tyle, aby ono vegetacją nie było.

Długie, czarne brwi księdza uniosły się w górę, jakby na znak zdziwienia. Zagórski milczał chwilę, sądząc, że ksiądz chce coś odpowiedzieć, ale proboszcz zapałzył się w płomień lampy i milczał przez dłuższą chwilę.

— Tak! — rzekł wreszcie, jakby ocknąwszy się z zadumy. — Wszystko to bardzo ciekawe. Ale ja tu jeszcze z czem innym przyszedłem. Panie Zagórski, czy nie chciałby pan pomóc nam w pewnej sprawie?

— Z całą chęcią, jeśli tylko będę mógł.

— Idzie tu o naszego „Sokoła“, który jest w bardzo ciężkiem położeniu.

— To znaczy, którego właściwie zupełnie nie ma! — zaśmiał się Zagórski.

— No, tak! — cedził ksiądz z wolna, wciąż z tymczasowym, niby zdziwionym wyrazem twarzy. — „Sokół“ jest, istnieje, ma nawet pewien majątek w postaci placu, sąsiadującego z pańskim domem, a na którym to placu miał stanąć gmach.

— Gmach i dziś może stanąć!

— Może! — przyznał ksiądz. — Może! A tylko trzeba tę akcję ożywić!... W tym celu chcieliśmy

urządzić większe zebranie, na którym mamy nadzieję, iż pana ujrzymy.

— Ależ oczywiście! — zapalił się Zagórski. — Koniecznie trzeba zacząć coś robić! Wszędzie ludzie organizują coś, tworzą, a my tu żyjemy jak dzicy!

— Doskonale! Wiedziałem, że nam pan nie odmówi!

Porozmawiawszy jeszcze chwilę o sprawach potocznych, dziekan pożegnał się i wyszedł. Pani Zagórska, zarzuciwszy szal na ramiona, z lampą w rękę wyprowadziła go na werandę.

— Ależ to ciemno! — zawołała.

— A jak do państwa szedłem, świeciły gwiazdy. Dziękuję pani, niech pani ucieka, zaziębi się pani. Mróz!

— Mróz zelżał trochę.

— Zdaje się, odwilż będzie.

— Może być. Niech ksiądz dziekan przy furtce uważa, tam ślisko.

— Już! Już! Dziękuję pani, moje uszanowanie!

— Dobranoc!

* * *

Istotnie, mróz zelżał, a od południowego wschodu dał miękki wiatr, który snać pędził masy chmur, bo wszystkie gwiazdy na niebie zagasły. Mimo, że po obu stronach gościńca leżał śnieg, drogi zupełnie widać nie było.

Potykając się i macając laską w ciemnościach, ksiądz szedł machinalnie gościńcem ku rynkowi. Po

głowie chodziły mu jeszcze echa rozmowy z Zagórskim.

— Dziwny człowiek! — myślał. — Wciąż jeszcze nie wie, czego chce. To ucieka do miasta, to znów na miasto narzeka. Niespokojny duch — liberał.

Wtem doznał wrażenia, że zeszedł z drogi.

Niepewnie zrobił kilka kroków to w tę, to w drugą stronę, wreszcie obejrzał się za siebie, chcąc się zorjentować według światła, płonącego w pokoju Zagórskiego, ale kiedy odwrócił wzrok od oświetlonego okna, zrobiło mu się jeszcze ciemniej przed oczyma.

Ksiądz znał dobrze swe miasteczko, a jednak w tych ciemnościach zgubił drogę.

Nagle uderzył głową o coś twardego. Wyciągnąwszy ręce przed siebie, namacał słup. Słup od latarni.

— Prawda, przecie tu dawniej była latarnia! Zwykle sobie latarnie z naftowymi lampkami na szarych słupach — ale świeciły. I jedna z nich stała właśnie w tem miejscu.

Cóż się z nią stało?

Przyszła wojna, porządki się rozluźniły, latarni nie zapalano. Nie było ludzi, nie było nafty. Dziś są ludzie, jest nafta, ale latarni się nie zapala. Tak więc latarnia stała smutna i ciemna. Wicher otworzył ją. Odchylona kłapa zwisała żałośnie, jak postrzelone skrzydło i latarnia na tym słupie wyglądała, niby wrona na postrach innym wronom do płotu przybita. Potem oczywiście szkło popękało i wyleciało. Został blaszany szkielec. Długo tak sterczał, aż wreszcie ktoś z miasta się nad nim uli-

tował i — zdjął latarnię. Niepotrzebna. Jeszcze komu na głowę zleci. Został tylko słup. Słup bez latarni jest zupełnie zbyteczny. Zawadza. Łeb sobie o niego można rozbić ciemną nocą. Więc przyjdzie ktoś z miasta, wykopie słup, przeniesie go na swe podwórze i postawi sobie na nim gołębnik. I obejdzie się bez latarni. Ale to się nie nazywa kulturą.

— Ile to takich zaniedbanych latarni!

Tak rozmyślając, dziekan odgadł naraz, że jest w rynku.

Poznał to instyktownie po tem dziwnem czuciu, po którym człowiek odgaduje, iż dokoła niego jest wolna przestrzeń, dalej, po zmienionym odgłosie kroków. Zresztą panowały ciemności nieprzeniknione i niczem niezmacona, martwa cisza. Noc zrobiła się czarna i gęsta jak smoła. Choć oko wykol — nie widać było nic.

Ksiądz stanął.

Rynek dwutysięcznego miasteczka. W tym rynku jest sąd, urzędy, ratusz, sklepy, kooperatywa, kilka sztyldów, restauracja, szkoła, tu mieszkają też urzędnicy, inteligencja. Godzina wczesna, a ciemno jak w grobie. Nawet w oknach domów światła nie było.

— Głucha noc w ciemnościach wiekuisłych brodzi! — sparafrazował ksiądz wiersz z kolędy.

I cisza zupełna.

Wzrok księdza zaczął się powoli przyzwyczajać do ciemności. Zamajaczył niewyraźnie ratusz z wieżyczką, przechyloną w tył, jak żydziak siedzący na koniu, wynurzyły się w mroku wysokie, śpiczaste facjaty starych domów. Ale wszystkie te kształty były tak widmowe, tak jakoś cmentarne i martwe,

że księdzu zrobiło się nieprzyjemnie. Nie chciał iść sam, na przełaj, przez ten milczący rynek, koło kasztanów, na których Austriacy wieszali rzekomych zdrajców, dalej tą czarną, wydrążoną drogą niby kurylarzem podziemnym — zapragnął towarzystwa, głosów ludzkich.

Skreślił i idąc pod ścianami domów, skierował się ku szkole.

— Wprawdzie to po jarmarku, ludzie są pomęczeni — myślał — ale Pudłowiczów jarmark niewiele obchodzi i spać kładą się późno. Może tam będzie wikary, poszlibyśmy razem do domu.

Pudłowicze, z którymi dziekan żył w przyjaźni, przyjęli go ze swyktą sobie gościnnością. Był wikary, był też Bruczkiewicz, kierownik jednej z okolicznych szkół, szczwany lis o twarzy i zachowaniu się Milczka z „Zemsty“, ale doskonały i niestrudzony partner do preferansa, i ze wszystkiego widać było, że pulka się zapowiada. W tej chwili jednak panował przedwstępny „Wersal“.

Mimo, że wszyscy byli swoi, starzy i dobrzy znajomi, odwiedzający się wzajemnie prawie że codzień i spędzający zimowe wieczory prawie stale razem, Pudłowicz, kierownik sześcioklasowej szkoły w Zawalu, jak zawsze dostojny i pełen namaszczenia, zmusił ich do przejścia do salonu, gdzie zareżysrował wieczór; dziekana usadowił na kanapie, rozmieścił ze znawstwem ogromnego, czerwonego wikarego i skulonego we dwoje, żylastego, chudego Bruczkiewicza, przysunął stolik z papierosami, wreszcie usiadł na fotelu naprzeciw dziekana. Tak to lubiał. Nie chciał, aby go tylko odwiedzano, pragnął, aby u niego bywano. Na to miał przecie salon, urządzony tak,

aby w nim nic nie przypominało szkoły, lecz raczej dworek szlachecki, w tym salonie dywany, kilimy, makatki, obrazy, fotele, bibelociki, na ścianach wszelaką broń myśliwską, pod oknem pianino, w którego pudle chował przed służbą tytoń. W tym salonie teraz pan dyrektor Pudłowicz królował, przybierając wyszukane, salonowe pozy, gładząc długą, czarną brodę — dziwnie długo czarną — i wodząc majestatycznie po gościach wielkimi, orzechowemi oczyma, mocnymi jak u pogromcy zwierząt, a swoją drogą wiecznie podpatrującemi momenty w którychby można przytaknąć.

Pani Pudłowiczowa, młoda jeszcze, tłuściutka, ślamazarna kobietka, pośpieszyła z cytrynowką własnej roboty i z tartinkami ze śledzia, do tego zaś poczęstunku dodała skarżącym się, pieszczotliwie śpiewnym głosem kilka komplementów i parę omdlewających spojrzeń ładnych, podłużnych, agrestowozielonych oczu; mimo jakiegoś sztucznego grymasu, mającego prawdopodobnie pokryć zakłopotanie, twarz jej mięka, okolona jasnymi, złocistymi włosami, była miła i sympatyczna.

— No, bierzcież, pijcie, jedzcie, nie dajcież się prosić! — zachęcała pani Pudłowiczowa gości głosem rozkapryszonej dziewczynki. — Maselko świeżutkie, doskonałe, śledź — pycha! Księżę dziekanie, moiściewy, na cóż czekacie? Wikary — wódeczki!

Pocciwy wikary zacierał mocno potężne dłonie, chylił w ukłonach krótko ostrzyżoną głowę, okrągłą jak kula kręglowa, i pocąc się, rumieniąc, wymawiał się, jak umiał, bo nie pił — panią Pudłowiczową to snać bawiło, bo kusila, łasiła się tym swym głosikiem, uwodziła zamglonemi, zielonemi oczyma.

— Po co ty tak księdza wikarego kuszysz, kocino! — odezwał się mąż — On ci się uwieść nie da! Wikary wybredny, na mężatki nie patrzy, do panien tylko chodzi...

Pani Pudłowiczowa uśmiechnęła się i niby zawstydzona, spuściła powieki.

Bruczkiewicz uśmiechnął się pod wąsem. Widział, jak jej oczy pod powiekami zazezowały.

— Będzie awantura! — ucieszył się.

Zaś dziekan zaczął mówić:

— Jak pięknie, jak idyllicznie wyobrażają sobie i opisują nieraz literaci nasi poezję, cichych wieczorów zimowych na prowincji — ten skrzypiący pod nogą suchy, lśniący śnieg, orzeźwiający tchnienie mroźnego powietrza, czerwono świecące okienka ciepłych domostw, przy lampce pracę ręczną i śpiewy dziewczynki lub też naiwne i niewyszukane, lecz tak szczerze i prawdziwe opowiadania starszych, którzy niejedno już widzieli i żołnierzy, którzy świat cały przeszli. W rzeczywistości zaś niema nic z tego wszystkiego. Na ulicach ciemno, okna pozabijane na glucho, nigdy nie otwierane, a w dusznych izdebkach zawzięte chrapanie.

— Tak, nie! — potwierdził dyrektor Pudłowicz z ostrożnym blaskiem zgody w oczach.

— Kto śpi, ten nie grzeszy! — wsunął zcicha Bruczkiewicz z lisim wyrazem twarzy. — Co ludzie mają robić? I co komu szkodzi, że sobie śpią?

— Dajcież panowie spokój! — obruszył się dziekan.

— Tak, nie! — pośpieszył szybko ze swą zgodą Pudłowicz, zastanawiając się równocześnie nad tem,

co się znów dziekanowi stało; takie wybuchy były u niego rzadkie.

— Ciemności egipskie! — mówił ksiądz dalej.

— Przed świętym Florjanem na rynku światło się pali! — wtrącił Bruczkiewicz.

— Tak, nie! — potwierdził dyrektor, gładząc swą czarną brodę.

— Dziś nie! — zaprzeczył dziekan.

— A, to, widać, zgasło! — zrejterował Bruczkiewicz.

— Ani policjanta, ani stróża, nikogósienko na ulicach niema — za to po polach uganiają psy łańcuchowe, półdzikie, rozżarte, do szczucia złodzieji chowane, psy tak straszne, że ludzie w miasteczku za żadne skarby świata do apteki ani po doktora w nocy nie pójda, a jeśli już koniecznie muszą, choćby mieli parę kroków wszystkiego, jadą końmi! Straszne rzeczy!

— Nie, bo — wtrącił Pudłowicz. — Trudno, to nie Paryż, to dziura!

— A przecie psy tu nikogo jeszcze nie rozszarpały! — zauważył skromnie Bruczkiewicz.

— Tak, nie! — podchwycił z widocznym zadowoleniem dyrektor Pudłowicz. — Swoją drogą. Nie zdarzyło się.

— E, bo ksiądz dziekan dzisiaj jakoś nie w humorze! — przerwała z poufałą szorstkością pani Pudłowiczowa. — Poco sobie krew psuć. Lepiej wypijmy jeszcze po jednym kieliszku wódeczki, zaraz się jaśniej na duszy zrobi! No, księżo dziekanie, trąćmy się! Nasze kawalerskie!

Z oczu zielonych i słodkich, jak ogień w konfiturze, strzelił przymilny, łaszący się promyczek.

Dziekan zaczerwienił się z lekka, uśmiechnął się, jakby z pewnem zakłopotaniem i wypił. Jednakże nie uspokoił się jeszcze.

— Moi drodzy państwo! — perorował rozżalony. Co tu dużo gadać! Gorko się człowiekowi na duszy robi, jak na to wszystko patrzy! Jeździłem ja swego czasu do Ziemi Świętej, do Egiptu. Wiadoma rzecz: arabowie, murzyni, niby — kolorowi ludzie — to w naszych oczach dzikusy! Ale jakże szeroko otwarłby swą wiecznie zaspaną gębę z temi przekrwionemi od snu, zagapionemi oczami, nasz burmistrz, gdyby zobaczył, że te dzikusy kolorowe, półgoli kramarze wędrowni noszą w swych koszach małe baterje przenośne i walęsają się, oświetleni rżęsiście lampkami żarowymi. Bacciarze — w całym znaczeniu słowa jasno oświeceni. A cóż dopiero mówić o takich rzeczach, jak telefon!

— Tak, nie! — dodał od siebie dyrektor Pudłowicz. — Austrja podczas wojny zaprowadziła u nas połączenie telefoniczne, ale nasz rząd je zniósł.

— Otóż to! Otóż to! — mówił gorąco dziekan. — Za austrjackich czasów były tu latarnie, było oświetlenie, naftowe wprawdzie, ale było! Co dziś? Dlaczego dziś niema oświetlenia? Słupy po latarniach zostały — latarń niema! Moznaby pójść do burmistrza — powiedzieć — bo oni z pewnością w rubryce wydatków miejskich notują jakąś sumę przeznaczoną na oświetlenie miasta — te nieistniejące latarnie pochłaniają prawdopodobnie ogromną ilość nafty, znacznie większą niż przed wojną, ale żaden z nas tego nie robi.

— Tak, nie! — ożywił konwersację dyrektor Pudłowicz.

— Albowiem boimy się zaryzykować swą popularność — wtrącił Bruczkiewicz. — I słusznie. Poco świecić komuś, kto chce spać!

— Tak, nie! — przytaknął gorąco dyrektor.

— Tak mówić nie można — mówił dziekan — bo w ten sposób, chcąc nie chcąc, kryjemy sobą nadużycia i niedbalstwo. I tak idzie wszystko nie ku lepszemu, lecz ku gorszemu, moi panowie!

— Tak, nie! Choć któż to może wiedzieć? Jedno zmieniło się na gorsze, drugie na lepsze. Człowiek nic nie wie.

— A ja myślę, że księdza dziekana ktoś ziryłował! — odezwała się, wiedziona kobiecym instynktem, pani Pudłowiczowa. — Ksiądz dziekan mówi tak, jakgdyby się z Zagórkim widział.

— Skąd pani wie? — zdziwił się ksiądz dziekan, a jego piękne brwi znów uniosły się w górę.

— Tak, nie, to Zagórski przyjechał? Kiedy?

— Nie widziałeś? Rano. Duda jechał.

— Przyjechał i nawet byłem u niego po południu. Ale o niczem takim nie rozmawialiśmy.

— On zawsze wszystko krytykuje. Dlatego, że układa słowniki, wyobraża sobie, że jest od wszystkich mądrzejszy! — zadecydowała pani Pudłowiczowa. — A sam właściwie nie wie, czego chce.

— To prawda! — potwierdził ksiądz. — Co za zmysł spostrzegawczy!

— I cóż gada? Co nowego? Na długo przyjechał?

— No, nic. Chory jest. Mówi, że się w mieście przemęczył.

— Przemęczył! Wyobrażam sobie! — rzekła pani Pudłowiczowa ze szczerem zadowoleniem. — Oni

przecie nie mają z czego żyć. Myślał pewnie, że w mieście sumy bajońskie znajdzie. Komu dziś potrzebne słowniki? Wróciłby na posadę do gimnazjum, zostałby nauczycielem. Ale on się dmie, służyć nie chce, nauczycielski chleb — kole w ząbki. Czemu? Bo zna tych parę głupich języków. To niech portjerem w hotelu zostanie! — Muszą być bardzo przygnębieni?

— Nie zauważyłem tam tego! — odrzekł dziekan. — Jest trochę zmęczony, leżał. Ale zresztą w jaknajlepszym usposobieniu.

— Oczywiście, chce ratować pozory.

— Nie widziałem tam żadnego ratowania.

— Tak, nie! — przerwał ostrożny dyrektor, zauważwszy podjazdowe ataki swej żony. — Może zagramy jedną pulkę? Ksiądz dziekan się irytuje.

— Panowie! Panowie! — bronił się dziekan. — Otwórzcie okna, wyjdźcie za próg, spojrzycie w tę ciemność i powiedzcie mi, że ja się irytuję! Głucha noc w ciemnościach wiekiustych brodzi!

— A co nam do tego? — odezwał się Bruczkiewicz. — Nam jasno. Czem się ksiądz dziekan tak przejmuje?

— Widzisz pan! Nawet Robinson Cruzoe, samotny na swej wyspie i nie mający ani dzienników, ani książek, zmajstrował sobie jakiś kaganek. Ale światła trzeba chcieć, trzeba go na coś potrzebować, a do czegoż ono potrzebne ludziom — śpiącym?

— Et, co nam do gulonów! Niech żyją, jak chcą! A my chodźmy na partyjkę.

Zasiedli przy stoliku i wszystko było dobrze. A naraz ksiądz odezwał się:

— Wiecie, panowie, jaka jest różnica między nami a gulonami w tej chwili?

— Tak, nie, no?

— Że my tu gramy w preferansa, a oni w szynku w dwadzieścia jeden!

— No, temu można zaradzić! — uspokoił dziekana Bruczkiewicz. — Zagramy sobie w dwadzieścia jeden. Ja trzymam bank.

*

*

Zagórski zbudził się nagle, czemś dziwnie zaniepokojony.

Noc była głęboka, ciemna, czarna, za oknami wyl wicher, potrząsał bezlistnymi konarami grusz i jabłoni, grał jak organy w gałęziach starego modrzewia.

— Jak tam teraz musi być straszno na polu! — pomyślał Zagórski.

Ale jednocześnie niepokój jakiś dawał się odczuć w domu. Było niby cicho, a przecie zdawało się, jakby ktoś krążył po pokojach, przystawał pod drzwiami i znowu krążył, niewidzialny, nieodgadniony.

Zagórski przypomniał sobie, iż w jego domu ktoś się kiedyś pono powiesił.

— Żebym tylko wiedział, w którym pokoju! — przyszło mu na myśl. — Kto wie, czy on się nie powiesił właśnie w tym kącie, gdzie ja leżę.

Bał się spojrzeć w górę, jakgdyby w obawie, że tam ujrzy nad sobą to coś.

W tej chwili z pod podłogi, od strony pieca, dało się słyszeć stłumione, ale wyraźne ćwierkanie. Ćwierkanie to powtórzyło się kilka razy.

Zagórski drgnął.

— Psiakrew, kanarek! — mruknął półgłosem.
— Jeszcze się nie wyprowadził!

Był to wąż, zaskroniec, który mieszkał pod podłogą i żył sobie spokojnie między przyciesią a fundamentami, wędrując, gdzie mu ciepłej było. Dziwne ćwierkanie jego, ni to stłumiony tryl kanarka, ni to silnie powiększone ćwierkanie świerszcza, rozlegało się dniem i nocą. Gdy je czasem usłyszała któraś z kobiet wiejskich, siedząca właśnie przypadkiem w kuchni, otwierała drzwiczki od pieca i patrząc w ogień, pytała:

— Czegóż chcesz, powiedźże, czegóż chcesz?

Bo była to jej zdaniem dusza potępiona. Naogół jednak przeważała opinja, że to jest wąż — trochę może niesamowity i niekoniecznie ziemskiego pochodzenia, lecz przynoszący szczęście i czyszczący dom z rozmaitego plugastwa.

Zagórski nigdy tego węża nie widział, ale słyszał go bardzo często. Sprzyjając szczerze wszelkiemu stworzeniu, nieraz zastanawiał się nad tem, jakby mu przyjść z pomocą jaką czarką mleka, jakby mu egzystencję ułatwić. Śledził uchem jego wędrówki, próbował odgadnąć warunki jego życia, jego dzieje. Kiedy w dzień siedział przy pracy, zatopiony w swych słownikach, a naraz usłyszał w którymś kącie łagodne, dźwięczne ćwierkanie, uśmiechał się, bo było to dla niego jak gdyby pozdrowienie z jakiegoś innego świata. Ale w nocy rzecz przedstawiała się trochę inaczej. W ciszy nocnej słyszało

się wyraźnie nietylko ćwierkanie, lecz nawet pełzanie pod podłogą. Ten szelest w ciemnościach, szelest pod deskami, sprawiał bardzo niemile wrażenie i wywoływał uczucie grozy.

Zagórski leżał, wstrzymując oddech i wsłuchując się w noc. Ciemności zaczynały mu dokuczać, stały się przykre, jakgdyby tały coś, jakgdyby się w ich gąszczu coś wrogiego ruszało. Jednocześnie Zagórski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że i na zewnątrz domu jest jakiś ruch. Wstał i, nie zapalając światła, wyjrzał przez najbliższe okno. Ujrzał daleko światelko i to przywróciło mu spokój. Wiedział, że to za długim polem, dzielącym jego dom od rynku, świeci się lampa w pracowni masarskiej Rogacza; niemal że go widział w koszuli z zakasanymi rękawami i rozchełstaną na kudłatej piersi, z zakrwawionymi rękoma pracującego wraz z pomocnikami. Noc jeszcze, ale już wstali, wypili po kieliszku wódki, zagryźli kielbasą i paprzą się w krwi i ścierwie.

Teraz i Zagórski zapalił świecę i w koszuli, bosy, trzęsąc się trochę z zimna, przeszedł przez dom.

W każdym pokoju na pierwszy rzut oka здавало mu się, że coś przed nim ucieka. Dostrzegał wszędzie niby echo czy cień pierzchającego ruchu. Ale w starym domu pełno było myszy, a może to też ciemności uciekały przed światłem!...

W obszernym salonie było istotnie trochę posępnie, tak, że Zagórski podniósł w górę świecę i bacznie powiódł wzrokiem po obrazach, jakby w obawie, czy któryś z nich figla mu złośliwego nie spleta. Obrazy milczały dostojnie i wgardliwie, wo-

góle — wszędzie był spokój. A przecie — światło jakieś błysnęło za oknem!

Zagórski poskoczył ku oknu.

Za płotem, tuż nad ziemią, chwijając się w takt kroków niewidzialnej postaci, skakała latarka. To u Staranków, w sąsiedztwie, już wstali i zabierali się do roboty.

— Pewnie Starankowa idzie krów dojrzyć! — pomyślał Zagórski. — Jak skrzętnie, jak niezmordowanie ci ludzie pracują!

Starankowa! Chuda, płaska, żylasta, kości i mięśnie, dragon z męskim głosem i męskimi ruchami. Staranek, chodząca bryła, ludzie wiecznej pracy, harujący od trzeciej zrana do jedenastej w nocy.

— Oj, sąsiedzi, przykrzy, drapieźni! — rzekł sobie Zagórski. — Ale czy nie idealni ludzie, czy nie najlepsi ze wszystkich, pokorni, choć nie bez poczucia godności, produktywni, choć chciwi, twardzi dla innych, ale i dla siebie, zawsze niezłomni, a tak znoszą ciosy, jak znoszą burzę lub wichurę... Ludzie z kamienia... Granitowi!

Zahuczały głucho żarna.

— Co za chciwcy! Wolą się w domu pocić nad żarnami, niż stracić kilka kilogramów mąki we młynie!

Stał i słuchał groźnej, posepnie warczącej, twardej pieśni chleba. Bochen chleba, do tego kamienia podobny! Jak te żarna, tak i chleb ściera siłę człowieka.

Przypomniało się Zagórskiemu usłyszane raz w miasteczku zdanie:

— Choćbyście mi do kości twarz na kamieniu starli — nie powiem!

Do kości twarz zetrzeć na kamieniu — co za straszny pomysł! Ale gdyby nie było faktu, nie byłoby i tego powiedzenia, zatem zdarzyło się, że w okrutnym gniewie twarz komuś na kamieniu aż do kości starto.

— Twardzi ludzie! Kamienie! — powtórzył w duchu Zagórski.

Przypomniała mu się żebraczka, jednoręka staruszka. Siedział w swym ciepłym pokoju przy pracy, a na dworze był bardzo jasny i słoneczny, lecz do szpiku kości chłodem przejmujący, wietrzny, kwietniowy dzień. Przez ruszające się nieustannie za oknem, jakby drapieżne gałązki jabłoni, widział czasami chłopców, grających na polu koło jego domu w kiczę. Pracował, ale coś mu wciąż w tej pracy przeszkadzało. Wtem zauważył jednoręką starowinę, krzątającą się po polu, na którym niedawno ścięto stary jesion. Z drzewa pozostały tylko cienkie gałązeczki, które starowina jedyną swą ręką zbierała, starając się ułożyć je na kupkę. Silny wiatr rozrzucał jej za każdym dmuchnięciem tę kupkę, tak, że biedaczka wciąż na nowo musiała swą pracę zaczynać. Licho ubrana, w koszulinie i letniej spódnicy, w bawełnianej chusteczce na głowie, biegła po twardych grudach boso; tylko jedną stopę, snąc zranioną czy chorą, owinęła gazetą. Patrzył na to ze zdumieniem Zagórski, aż wreszcie pomyślał:

— Co za nonsens! Sześć polan drzewa oszczędzi jej tej tortury!

Kazał kobietę zawołać i dać jej trochę drzewa. A w kuchni dali jej chleba i kawy.

— Widzisz, jak łatwo zrobić coś dobrego! — mówił do żony. — A popatrz, jacy ci ludzie tu dziwni: Przecie widzieli, jak ona się tam męczy na polu i czy przyszło im na myśl dać jej choćby polanko? Pomyśl, gdyby każdy dom z sąsiedztwa dał jej parę polan raz na tydzień, babina miałaby ciepło w domu — a cóż to jest kilka polan!

Ale tych kilku polan nie chciał dać nikt. Ludzie, pracujący ciężko, a nad którymi zmiłowania nie ma nikt, są też dla siebie wzajemnie niemiłosierni. Zagórski znał wypadki, gdzie matka, żyjąca na dożywociu u syna, umierała w ostatecznem zaniedbaniu, podczas gdy syn, który jej cały majątek zawdzięczał, do mieszkania swego puścić jej nie chciał. Ludzie starzy lub chorzy, ubodzy lub słabi, ginęli tak, jak giną drzewa, na oczach obojętnych i nieczułych.

— Co nam do ubogich? — odezwał się raz burmistrz do Zagórskiego. — Ubogich powinno się wybić, ażeby ich nie było. Poco ubodzy mają żyć na świecie!

Robiło się coraz chłodniej. Zagórski zmarznięty uciekł do łóżka, ledwie jednak zagrzał się i zaczął drzemać, znowu zbudził go jakiś ruch i brutalne, głośnie charkotanie.

— To Wurmery wywożą do Tarnowa wiktuały, nakupione na jarmarku! — odgadł. — Te żydy zawsze wszystko wywożą. Trzebaby, psiakrew, jakoś, kiedyś, nareszcie...

Tu zasnął.

*

*

*

ROZDZIAŁ II.

Zagórscy siedzieli w jadalni po śniadaniu i rozmawiali o interesach. On palił papierosa, strzegając popiół do skorupy z jajka i popijając mocną herbatę, ona, w białym czepeczku i granatowym szlafroku, zebrała talerze, talerzyki i filiżanki, ustawiła z nich wysoką piramidę i tak siedziała, niby już odchodząc, wpatrzona w stół, na którym machinalnie toczyła kulkę z chleba.

Omawiali swą sytuację finansową, która, według optymistycznych obliczeń Zagórskiego, przedstawiała się dość pomyślnie. Sprzedał nieźle swój podręcznik języka litewskiego i w niedalekiej przyszłości będzie musiał napisać chrestomatję lub antologję. Dalej miał pisać podręcznik języka angielskiego i wreszcie zabrać się do układania solidnego słownika kieszonkowego angielsko-polskiego i polsko-angielskiego. Te prace były zakontraktowane. Zagórski, filolog z zamiłowania, zawód swój kochał, a pysznił się tem, że zdołał go wyzwolić i uniezależnić od nienawistnej belferki. Udało mu się znaleźć wydawców, którzy poznali się na rzeczy i zawarli z nim umowę, zabezpieczającą mu utrzymanie i możliwość spokojnej pracy. Pensja miesięczna nie była

wielka, jednak — jak Zagórski myślał — wystarczająca na utrzymanie.

— Ale — mówił z naiwną radością — na tem jeszcze nie koniec! Bo ja im wystrzełę takimi rzeczami, jakich się nie spodziewają. Litewskiego to ja się uczyłem naprzód na Litwie, u ciotki, kiedy rodzice umarli, a ze służbą inaczej się dogadać nie mogłem, potem na uniwersytecie w Krakowie, więc nie dziwota! Ostatecznie — przerobiłem poprostu podręcznik niemiecki. Ale ja umiem też po rumuńsku, a kto może wiedzieć, że znam „Ki-Suahili“, kto wie, że ja byłem cztery lata pomocnikiem handlowym w Bagamoyo u tego starego handlarza niewolników, wuja Aleksandra? I pomyśl tylko, jak im wytnę gramatykę „Ki-Suahili“, pierwszą w Polsce... Każdy kupi! Ktoby nie chciał się dowiedzieć, jak te czarne warjaty afrykańskie gadają... Choćby dla ciekawości. Byczo, byczo, teraz już można coś robić na świecie!

Pani Zagórska nie cieszyła się tak bardzo; za to wykazała mężowi, że obliczenia jego nie odpowiadają rzeczywistości. Miała słuszność. Mąż się istotnie przeliczył, wydatki przewyższały dochody. Był to fakt bardzo smutny, ale prawdziwy i Zagórski zmartwił się nim niemało; czuł się upokorzony, zawstydzony. Postąpił nie jak ojciec, nie jak głowa rodziny, nie jak pan domu, ale jak student — liczył tylko jedzenie, opał i coś na drobne wydatki, a zapomniał o pościeli, bieliźnie, jakiejś sukni dla żony, obuwiu; a rzeczy te były bardzo drogie i przy wciąż wzrastającej drożźnie trudno było coś na nie odłożyć.

— Do diabła! Dajcież mi coś zrobić na świecie!
— wykrzyknął zniecierpliwiony.

— Rób co chcesz. Któż ci broni? — odpowiedziała mu sucho żona. — Więc tego roku o jakimś wyjeździe do miasta marzyć nawet nie mogę.

— Do miasta? Po co?

— Mamy dawno nie widziałam.

— Mamy! To napisz do mamy, niech ci przyśle na drogę.

— Wiesz przecież, że mamę na to nie stać!
Czasy ciężkie!

— A skądże ma być stać mnie? Czy dla mnie te czasy są łżejsze, niż dla mamy? Dłaczegóż dla mamy wynajdujesz okoliczności łagodzące, a dla mnie tylko ciężary? Zrozumieże: udało mi się względnie zinnę jakoś zabezpieczyć, ale na wyjazdy nie mam.

Nastrój zrobił się przykry. Zagórski widział, że żona z trudem się hamuje. Zbierało się na płacz lub na awanturę. Skończyło się na wzgardliwym odęciu ust.

— Jakoś to może będzie! — pocieszał ją mąż. — Nie zginęliśmy dotąd, to i dalej jeszcze jakoś po- ciągniemy.

Zebrała stos talerzy, wstała i odeszła w mil- czeniu.

Zaś Zagórski zmartwiony i trochę jeszcze zmę- czony, zaczął się wałęsać po domu.

Dom swój lubiał. Nie był to żaden pałac, o nie, zwykły parterowy dworek biały, z werandą i czer- wonym dachem. U wejścia, w starej, murowanej lecz odrapanej kapliczce z rozbitym barokowym gzymsem, stał święty Jan Nepomuceński — czeski

konsul, jak go żartobliwie Zagórski nazywał — a tuż był ogromny, czarny, stary modrzew. Niewielki ogródek, ogrodzony sztachetami, teraz zasypyany śniegiem, oddzielał dom od gościńca, zaś za domem ciągnął się sad, pełen grusz i jabłoni. Pod dachem gruchało kilka gołębi.

Zagórski wyszedł przed dom i stanął w swoim ulubionym miejscu koło modrzewia, na wzgórku, przed kaplicą. Widać stąd było gościniec, stojące po drugiej stronie domki sąsiednie, ciągnące się długim szeregiem aż do rynku, gdzie na rogu sterczały czerwone mury wielkiej, nieskończonej kamienicy piętrowej, wreszcie studnię i drogę wiejską, prostopadłe uchodzącą do gościńca. Widok nie był wcale nadzwyczajny, zwłaszcza już zimą, a jednak Zagórski lubiał go. Wiedział, że rano, o wschodzie słońca ta droga wiejska to nie droga, lecz srebrno-złoty szlak słoneczny, a kto nią wtedy idzie, wygląda, jak gdyby zstępował wprost z nieba. Wiedział, że studnia jest punktem zbornym dziewcząt, nieprześcięgnionych plotkarek i że woda jej szmerze echami wszystkich wypadków z życia okolicznych domów. On sam niemal widział przez ściany tych domów. Widział jak Ponikowska w spacerowej sukni a bez fartucha — żeby jej kto, Boże broń, za służącą nie wziął — doji krowy, myśląc równocześnie, skądby wziąć pieniędzy na najmodniejszą nową suknię, widział małego, zawsze żwawego Maślaka, otoczonego gromadą dzieci i rysującego na wielkim, białym stole plan tartaku, młyna czy chałupy, widział pannę Zosię, pomagającą w kuchni cioci a myślącą o swem niedalekiem już weselu, widział młodą pretensjonalną, siejącą kokieterijnie bokami Sal-

cię Wurmerównę, w chwilach wolnych od zajęć domowych wygrywającą sentymentalnie na mandolinie pieśni rosyjskie, widział wreszcie jej sąsiada, młodego Duwcia, wiecznie obdzierającego ze skóry zakrwawione ciało — wszystkich znał, po dymach, idących z kominów mógł był niemal odgadnąć, co w którym domu na obiad gotują, i kochał to małe, proste życie ludzi cichych, pracą swą żyjących.

— Mali ludzie? — myślał o nich Zagórski z ciepłym, życzliwym uczuciem. — Niech sobie będą mali. Ale na przykład taki budowniczy Maślak. Zdawałoby się, że to nic. Malutki, niepozorny. Mieszka sobie w małym domku, pracuje, jak może, czasem się zakropi, że aż mu nos świeci, jak rubin, pomyślałby kto — wróbel, gil czy płaszyna jaka — a duszę ma konstrukcyjną, twórczą. Gdzie się ruszyć w promieniu wielu mil — on buduje stodoły, domy, tartaki, młyny — inni spekulują, kradną, szachrują — a on wciąż coś stawia, na swój sposób Polskę buduje. Prawdziwy budowniczy, z pewnością więcej wart od niejednego wielkiego kupca - zdzierusa, mieszkającego we własnym pałacu.

Wiatr dał, modrzew szumiał poważnie, rozgłośnie.

Zagórski słuchał z rozrzewnieniem.

— Dziękuję Ci, — szepnął w duchu — nieznany, dawno umarły człowieku poczciwy, któryś tu ten modrzew śpiewający dla mnie zasadził.

Ten modrzew był mu absolutnie do życia potrzebny. Kiedyś, gdy był małym dzieckiem, pamiętał przed gankiem białego dworku takich czarnych, wysokich modrzewi sześc...

— Nie wiem, co się stało z tym dworkiem — myślał — i dokąd poszły modrzewie, ale przecie jeden z nich przyszedł do mnie i stanął w furtce mego ogródka. Prawda, przynajmniej jeden mi się należał.

Słuchał jeszcze chwilę a potem ruszył powoli ku rynkowi.

Białe miasteczko. Ciche, niebrzydkie. Obszer-ny rynek, ratusz z pociesznie przekrzywioną wieżyczką, śliczny, zadumany święty Florjan w krytej dachem kapliczce na czterech białych słupach, stare domy na podsieniach z drewnianymi, czarnymi od starości, śpiczastymi fasadami, kilka fur chłopskich z drzewem niedaleko szynku. Przez otwarte na przestrzał sienie widać czasem błękitny świat boży, pola, a w głębi zawsze dalekie góry i lasy, lub zrosnięte z sosnami, melancholijne ruiny starego zamku. Niby nic. Mieścina, jak tysiące innych, zalatująca swędem dymu i smrodem gęsiego gnoju, rozbrzmiewająca głównie pokrzykiwaniem dzieci, szczekaniem psów, paniem kogutów, fagotowemi krzykami gęsi, gruchaniem gołębi. Tam, gdzieś, daleko, jest Polska rządząca, radząca, kłócząca się, a tu Polska cichej i skromnej pracy codziennej w ogrodach i w polu, w słońcu, na powietrzu, ta Polska, taka sama prawie co do wyglądu zewnętrznego i zwyczajów, jak była przed stu czy dwustu laty. Polska niezwyczęzona, niezmienna.

Zagórski, powałęsawszy się trochę, chciał wracać, bo było zimno i wiatr dał nieprzyjemny, przypomniawszy sobie jednak, że nie ma tytoniu, wstał do „trafiki“.

„Trafika“ mieściła się w małym, murowanym domku pani Mandlowej, wdowy po kimś tam, który bardzo już dawno umarł, pozostawiając syna i córkę oraz kilka morgów gruntu. Zagórski dokładnie stosunków tej rodziny nie znał. Wiedział tylko, że pani Mandlowa, żwawa, małutka staruszka o główce małej i ciemnej, jak ziarnko pieprzu, uchodziła za osobę bardzo skrzętną i gospodarną, że zrobiła na tytoniu majątek, zaś córka jej, ładna, ale próżna i pretensjonalna elegantka, skończyła gimnazjum. Z synem, studentem medycyny, można się było czasem spotkać w kołach miasteczkowej inteligencji, córka mało gdzie bywała, ponieważ naogół stosunków towarzyskich z panią Mandlową — ponoć niegdyś służącą we dworze — nie utrzymywano.

Sklep był, jak się to często zdarzało, zamknięty. Mieszkańcy miasteczka kupowali przezornie większe ilości tytoniu, tak, że rzadki gość, który chciał kupić paczkę tytoniu, pudełko tutek lub kilka papierosów, szedł zwykle do kuchni, albo do mieszkania pani Mandlowej. Wiedząc o tem, Zagórski zapukał do drzwi, wiodących do mieszkania prywatnego.

Zastał towarzystwo dość liczne.

W pokoju stołowym, urządzonej z małomieszcząnską elegancją tak, aby mógł jednocześnie uchodzić za salon, siedziała pani Mandlowa, jej córka, Wanda, syn Ryszard, doktor miejscowy, Bromiński i jakaś osoba płci żeńskiej, która szlochała, oparłszy głowę o stół. Na stole stała butelka wina, kilka niedopitych kieliszków i talerz z pierniczkami.

— Bardzo prosimy, panie profesorze! — zawołała pani Mandlowa, zauważywszy, że Zagórski się

cofa. — Jesteśmy tu sami swoi. A i tak się pan o wszystkim dowie!

— Ja tylko po tytoń... Przepraszam bardzo... Nie chcę przeszkadzać!

Doktor Bromiński, starszy już człowiek, o łysej czasce, dużej twarzy i bujnym, siwym, polskim wąsę, zwrócił ku niemu zlekka głowę i uderzył go jasno-niebieskimi, aroganckimi oczyma tak, jakby chciał powiedzieć:

— Ty durniu jeden!

A potem, nie bąknąwszy ani słowa powitania, podniósł swój kieliszek do ust i syrpnął odrobinę wina.

— Proszę bardzo! Pan profesor będzie łaskaw chwileczkę poczekać. Zaraz pójdę po tytoń. Proszę tymczasem siadać.

Aroganckie spojrzenie doktora, niewyraźne miny obecnych, płacz nieznanym i wreszcie istotna konieczność zaopatrzenia się w tytoń, wszystko to skłoniło Zagórskiego do wejścia. Nie rozbierając się, aby swej obecności nie nadać charakteru wizyty, usiadł na pierwszym lepszym krześle przy stole.

— Może kieliszek wina? — spytała pani Mandłowa, chwytając gościnnie butelkę. — Wandziu, daj panu profesorowi kieliszek. Proszę się nie obawiać, panie profesorze, to nie przypawiony jabłecznik, jaki teraz zamiast wina podają, to wino prawdziwe, przedwojenne, austriackie!

— Winko aż ha! — oświadczył kategorycznie doktor.

Panna Wanda, rosła, bujna, przystojna dziewczyna, o wielkich, ciemno-niebieskich oczach, orlim nosie i ubarwionych ustach, w strojnej matince,

która za każdym ruchem odsłaniała lub akcentowała mocno jakąś tajemnicę jej dziewiczych ponęt, podała Zagórskiemu wdzięcznym ruchem duży, kryształowy kieliszek, trzymając go w smukłych palcach tak, aby wszystkie, niewątpliwie piękne, kamienie jej pierścionków mogły się jaknajlepiej sprezentować.

Jednocześnie szlochająca dotychczas osoba płci żeńskiej dzwignęła ze stołu swą twarz i Zagórski, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, poznał w niej Elzę, córkę aptekarza.

— Panno Elzo! Czegóż pani tak płacze! — zawołał.

— A, ba! — odezwał się doktor.

Panna Elza Majsztrykiewiczówna, drobna i w porównaniu z panną Mandłówną niepokazna, nie miała ani w swej twarzy, ani w postaci nic nadzwyczajnego. Była to sobie zwykła panna, z buzią o trochę ostrych rysach, drobna, szczupła i kanciasta. Zagórski, choć ją znał, nigdy nie wiedział, nie pamiętał, jakie ona ma oczy lub włosy. Może nawet nie ma włosów! Ale w tej chwili to była tylko zapłakana panna. Oczy miała czerwone, policzki mokre od łez.

— Niech-że pani da spokój! O co płakać? Co się niby takiego stało?

Doktor pokiwał znacząco swą łysą, lśniącą czaszką.

— Bydło! — mruknął pogardliwie. — Rozumiesz pan? Bydło!

Zagórski doktora znał i ani myślał sprzeciwiać się mu.

— Dobrze, że bydło! — zgodził się. — Ale cóż się stało? Dlaczego panna Elza płacze?

— Bo jest głupia! — objaśnił doktor. — Nie powinna płakać, ale śmiać się!

— Jednakże?

— Jednakże? Cóż za straszna historja, że jej matka pokazała „starą panią“ pani Mandlowej! To każda przekupka potrafi!

— Co takiego?

— Nic znowu tak nadzwyczajnego! Wypięta na nią „starą panią“. Nie widziałeś pan tego jeszcze w życiu?

— Doktorze! Jakże można! Przy pannach!

Doktor spojrział na niego zimno i odpowiedział:

— Mój panie! Czy to ja co pokazywałem? Czego pan ode mnie chcesz?

Panna Elza znowu zaniosiła się od płaczu.

— Ale cóż się właściwie stało? — pytał zaciekawiony Zagórski.

— Głupstwo! — warknął doktor.

— Pani aptekarzowa wyrządziła mamusi publiczny afront na rynku! — odezwał się Ryś.

— Wstyd mówić!

— Pobily się panie może?

— Dajże pan spokój! Pobily! Powtarzam panu: aptekarzowa pokazała pani Mandlowej na rynku „starą panią“! — objaśnił doktor.

— A w dodatku miała czerwone, barchanowe majtki! Coś obrzydliwego! — oburzała się panna Wanda.

— Tak w biały dzień, na rynku, przy ludziach? — dziwił się Zagórski.

— Miała panią Mandlową może na tę demonstrację do swego salonu prosić? — przyszpilił Zagórskiego doktor.

— Jabym na miejscu mamusi natychmiast skarżyła o obrazę honoru! — namawiała gorąco piękna panna.

— Moje dziecko, cóż ty znów za brednie wygadujesz! — oburzył się stary doktor. — Co czyjś honor może mieć wspólnego z czerwonymi majtkami aptekarzowej! Aptekarzowa postąpiła, jak ostatnia przekupka i tylko sama się ośmieszyła.

— Ale o cóż poszło? — pytał Zagórski.

— Aptekarzowa ma do mamusi urazę za to, żeśmy przyjęli Elzę!

— Pannę Elzę? Przyjęli? Nie rozumiem.

— Co pan, z nieba spadł, czy co? Tażebo hej! — huknął na Zagórskiego doktor.

— Nie spadłem z żadnego nieba, ale dopiero wczoraj przyjechałem i o niczem nie wiem! — zniecierpliwiał się Zagórski.

— No, to ja panu powiem, jak wyjdziemy.

Tu zwrócił się do wciąż jeszcze płaczącej Elzy.

— A ty, Elzo, nic sobie z tego nie rób. Wogóle gwizdźcie na starych. Jeśli oni bezwzględnie chcą łamać was, łamcie ich wy. I tak djabła są warci. Życie do was należy, nie do nich. Stawiajcie na swoim, wbrew wszystkiemu, a zobaczycie, że się wam jeszcze zaczną kłaniać. To stare pokolenie, przedwojenne, to pokolenie niewolnicze, podłe. Oni tylko siłę szanują, uznają tylko wymuszenie. No, to jazda! Wymuszajcie! Musicie sobie na nich wymusić swoje życie, inaczej pozdychacie. Ja tu jeszcze po południu wpadnę.

*

*

*

A doktor zawsze wojuje! — odezwał się Zagórski, kiedy wyszli na ulicę. — Jabym się na pańskim miejscu do spraw rodzinnych nie mieszał, to na prowincji bardzo niebezpieczne!

— Ja pana o radę nie proszę! — odpowiedział doktor opryskliwie. — Obejdę się bez doradców!

— To też ja wypowiadam tylko swój obiektywny pogląd.

— Gwiżdżę na pańskie poglądy!

— Doktorze, czemuż pan obraża?

Doktor stanął, jedną ręką oparł się na lasce, drugą wziął się pod bok, wyrzucił trochę naprzód prawą nogę i, stojąc tak w wyzywającej postawie na środku rynku, z marsową twarzą i oczyma białymi z irytacji, zaczął mówić:

— To wy mnie obrażacie, tak, pan, wy wszyscy, wszędzie, zawsze, na każdym kroku! Obrażacie mnie swą lekkomyślną obojętnością, swą tępą głupotą! Co to znaczy, nie mieszać się do spraw rodzinnych? Dureń ograniczony! Nie mieszać się! — powiada filozof! A ja mówię: Mieszać się, do wszystkiego się mieszać, wszędzie wtykać swoje trzy grosze, kontrolować, bo to wszystko jest moje, ludzkie, polskie, wszystko do mnie należy. Pan jesteś filister, ślepy mól książkowy, filolog, ale ja jestem lekarz, stróż zdrowia fizycznego i moralnego, i ja mam prawo i obowiązek mieszać się do wszystkiego, aby przeskadzać zbrodniom, tak, zbrodniom, które wy tolerujecie i uświęcacie swą obojętnością. Pana nic nie obchodzi, że pańska sąsiadka, nie chcąc, suka, chować dzieci, wyzbywa się ich w ten sposób, że je po gorącej kąpieli wynosi na mróz i zaziębia. A tak! Teraz to pan robisz głupią minę, ale pana nie za-

ciekawilo, dlaczego jej dzieci tak dziwnie gladko wymieraja. Pana nie obchodzi, ze ci wszyscy radni, rzadzacy miastem, to delirycy, od rana pijacy wodke. Pan nie wie nic o tem, ze ludzie tu prowadza takie interesy, ze chcac sie zabezpieczyc przed kryminalem, naprzod juz staraja sie o swiadectwa niepo czytalnosci. A poniewaz ja na to nie pozwalam, bo moim obowiazkiem jest temu przeszkadzac, mowi sie, ze sie mieszam do cudzych spraw!

Twarz doktora poczerwieniala z irytacji. Z jasnyc oczu tryskala mu sila i energia.

Zagorskiemu zrobilo sie wstyd.

— Panie doktorze, przeciez ja tylko — zaczal sie tlumaczyc.

Ale doktor przerwal mu wzgardliwym machnieniem ręki.

— O, tak, wiem bardzo dobrze, ze pan „tylko“ Ale ja — „nie tylko!“ I ta jest miedyzy nami roznicza. Chooby w tym przypadku.

Tu doktor machnal laska w strone trafiki a potem w strone apteki.

— Mieszam sie do cudzych spraw. Mam pozwolic na to, aby ojciec corkę rodzona gwalcil?

— Alez doktorze, co tez doktor mowi?

— Mowie, jak jest! Ten melancholijny pijaczyna duchowo corkę gwalci. Czy mam pozwolic szwabce dusze polska ukraac? A tak wlasnie jest, zebyś pan wiedzial! Ten dureń, Majstrykiewicz, ozenil sie z niemka, oczywiscie, dla pieniedzy. Typowy galicjanin, ktory juz sie narodowosciowo poddal i dla wygody chcial sie przylecic do niemieckiej duszy, do narodu panow, do Widnia, stolicy wspolnej — uwazasz pan — ojczyzny. Naturalnie, przyszlo, co

musiało przyjść. Szwabka wzięła wszystko w swoje kościste łapy, dzieci mu zniemczyła tak, że nawet dobrze po polsku nie mówią i tak dalej. Ale ci dwoje, ten Ryś, medyk i Elza, już jako dzieci przylgnęli do siebie, pokochali się. Patrzono na to na razie przez palce. Wtem przysła wojna, szalony zapał idjotów dla autrjackiej armji i wkradanie się w łaski bohaterskich oficerów. U aptekarzów ulokował się jakiś lotnik, wiedeńczyk, ponoć zamożny chłopak — naturalnie dla szwabki ideał. Trochę tam pannie głowę zawrócił, matka nacisnęła — tu felix Austrija nube! — sprawa gotowa — teraz już na zawsze nierozłącznie przylgnęliśmy do kochanego Widnia. Wtem przyszło jedno lanie, potem drugie, bohaterski lotnik dostał się gracko do niewoli i zamieszkał na Syberji, wobec czego — słuchaj pan tylko — ten stary idjota uzyskał pozwolenie — to w czasach wojennych możliwe — i w zastępstwie lotnika wziął ślub z własną córką. Pomyśl pan, co za warjat! Ci ciemni ludzie myśleli, że on się z własną córką ożenił. Robili jej afronty, obmawiali. Niby — ubrał ją, co się nazywa! Co za przyjemność iść do ślubu z własnym starym ojcem, patrzeć na jego przedpotopowy frak i udaną młodzieńczą dziarskość — taże to ślub z upiorem!

— A jednak ten stary doktor ma fantazję i dużo gorącego uczucia! — pomyślał Zagórski.

Głośno zaś rzekł:

— To istotnie dramat.

— Pewnie, że dramat — rzekł doktor, który w czasie opowiadania złagodniał trochę i zaczął wolno iść ku domowi. — W ten sposób stary związał córce ręce. Ale tymczasem Austrija wyciągnęła kopyta,

powstała znów Polska i austriacki lotnik zupełnie stracił na wartości. Dziewczyna się opamiętała i wróciła do swego pierwszego amanta. Nie chce już lotnika, domaga się rozwodu. Lotnik znaku życia o sobie nie daje, nic mu widać na tem nie zależy. Kto nie chce się zgodzić na rozwód? Matka, która wciąż jeszcze do Widnia się wybiera i ten stary idjota, który uważasz pan, nie chce złamać danego przez siebie lotnikowi słowa. Pochlebia mu, że może jakąś tragedję romantyczną urządzić i dlatego córka ma zmarnieć, uważasz pan? Zaczęli jej dokuczać, mścić się, dziewczyna się zgiewała i uciekła do Mandłów. Dziś ją Majsztrykiewiczowa spotkała z Mandlową na rynku, córkę skłęła od ostatnich dziek —

— Pannę Elżę?

— Rodzoną córkę, żebyś pan wiedział, a wobec Mandlowej zachowała się, jak ostatnia przekupka. Otóż...

Tu doktor znów przystanął, a z pod jego krzaczastych siwych brwi, strzeliły dwa mocne promienie.

— Otóż ja uważam to za gwałt i morderstwo, którego na ludziach żywych chcą się dopuścić trupy czy przynajmniej pół-trupy. I ja na to nie pozwolę.

— Może jednak udałoby się po dobroci?

— Po co?

— Nie można przecież tak brutalnie.

— Dlaczego nie można? Można i — trzeba. Jesteśmy za grzeczni. Pan tych ludzi nie znasz, wymagają twardej ręki. Wogóle — charakter trzeba mieć, postępować poprostu, jasno stanowczo, nie szachrować, nie politykować, iść prostą drogą, nie

kręcić, rozumiesz pan? nie kręcić!. A tu wszystko jedno ogromne kręctwo. Ludzie odwagi cywilnej nie mają — chyba tylko my, starzy.

— Panie doktorze! Siwe włosy! — poddał delikatnie Zagórski. — Wąs biały!

— Co mi pan będziesz mówił! — zachnął się doktor, wyciągając rękę na pożegnanie. — Siwe włosy! Duchem ja nigdy stary nie będę!

* * *

Doktor istotnie w swą wieczną młodość niezłomnie wierzył, ktoby go jednak baczniej obserwował, mógłby zauważyć, że dziwaczeje. Nie rzucało się to tak bardzo w oczy, ponieważ doktor był zawsze oryginał, trochę ekscentryczny i chodzący własnymi ścieżkami. Ale już sama porywczosć, nieprzebieranie w słowach i nieliczenie się z ludźmi mogłyby wskazywać na to, że doktor niezbyt już nad sobą panuje, że zaczyna może dziecinnieć.

Na pozór jednak trzymał się dobrze, chodził żwawo, a wrodzona wojowniczość i zaczepność ani na chwilę go nie opuszczała, przeciwnie, raczej wzrosła z chwilą, kiedy pokłóciwszy się z radą miejską, przestał być lekarzem gminnym i stał się zupełnie niezależny. Teraz już nie krępował się niczem, mówił co chciał i jak chciał, z kim wogóle mówić nie chciał, to go nie znał, a ponieważ miał pewien kapitalik, a żył bardzo skromnie, więc i o klientelę nie dbał.

Żył sobie w wynajętych kilku pokojach sam, może trochę zanadto sam, ale za to wolny. Dom

proceedziła mu stara, doświadczeni gospodyni, która jeszcze u jego poprzednika w tem samem miasteczku służyła, ale nawet ją doktor widywał rzadko, ponieważ chętnie zamykał się na klucz i nie lubiał, jak mu przeszkadzano. Co robił w długich godzinach samotności? Przedewszystkiem gimnastykował się długo i gorliwie, stojąc nago w pokoju przy otwartych oknach, nawet w chłodne dni. Gimnastykował się z całą zawodową sumiennością i wiedzą, wymyślnemi, mądremi ruchami rozgrzewając kończyny, naciągając mięśnie. Mógł być ułożyć znakomity system gimnastyczny, ale nie robił tego, wychodząc z zasady, iż każdy człowiek, obdarzony instynktem zdrowia, powinien sobie stworzyć swój własny system, odpowiadający danym potrzebom organizmu. Te obrzędy gimnastyczne odbywały się dwa razy dziennie, a doktor przestrzegał ich tak ściśle, że za nic na świecie nie pozwoliłby sobie przerwać.

Mimo, że w gruncie rzeczy ze swą gimnastyką się nie krył, zamykając się stale na klucz rozbudził ciekawość otoczenia. Nie mogła zrozumieć licznych stapań, tupań, skoków i innych odgłosów w jego pokoju stara gospodyni, naprózno dłuższy czas śledzili go sąsiedzi. Wreszcie któryś z chłopców, jadąc na wysoko wyładowanej furze, przypadkowo zajrzał w okna i omal z przestachu nie zleciał z fury, ujrzawszy tańczącego w środku pokoju gołego, brunatnego (doktor używał namiętnie kąpeli słonecznych) djabła z łysą głową, wykonywującego dziwaczne ruchy. W odkryciu nie było ostatecznie nic nadzwyczajnego, doktor nieraz publicznie o swej gimnastyce opowiadał, mimo to, gdy sobie go wyobrażano nagiego, wywijającego w pokoju maczugami, zaczęto go uważać

za dziwaka niespełna rozumu. Wreszcie pewnego dnia, gdy liczniejsze towarzystwo natknęło się na doktora, hasającego nago nad Dunajcem wśród nadbrzeżnych wiklin, całe miasteczko wydało wyrok nieodwołalny a połępiający: uznano doktora za wariata.

A doktor się o rehabilitację bynajmniej nie starał, przeciwnie, postępował tak, jakby się na miasteczko zawziął. Zaczął je prowokować swem ubraniem, chodził w sandałach, bez kapelusza, w miękkich koszulach, w ubraniach z ażurowego, szarego materiału. Musiano go tu i ówdzie zaprosić; nie odmawiał, przychodził, ale wówczas teroryzował wszystkich ciągłym otwieraniem okien nawet w trzaskający mróz. Przyszedszy do chorego w miasteczku lub na wsi, nie pytał nawet, co choremu jest, ale wszedłszy do izby biegł ku oknu z okrzykiem:

— Ludzie, tu się udusić można, na miłość boską, powietrza! — i otwierał je ku wielkiemu rozgoryczeniu mieszkańców, ubolewających w głębi duszy nad tem, że duszne, lecz drogocenne ciepło ucieka. Doprowadzał nieraz do wściekłości tem, że nie chciał robić cudów, nie zapisywał lekarstw, a za to uzależniał zdrowie pacjenta od czystości, powietrza i racjonalnego sposobu życia. Poprostu karał ludzi za zaniedbanie higieny i zdrowia. Karał ich okrutnie, kładąc cierpieć.

— Lekarza woła się, nie kiedy człowieka już djabli biorą, lecz kiedy się choroba zaczyna. Chciałeś na mnie swoim zdrowiem oszczędzić — teraz cierp!

Gdzie widział, że jego obecność będzie potrzebna, sam naprzód zapowiadał, kiedy przyjedzie, a gdy raz chłop oświadczył mu, że go sam zawezwie, jak będzie potrzeba, doktor wpadł w pasję i wyrzucił go za drzwi, mówiąc:

— To ty, dumniu jeden, lepiej odemnie, doktora, wiesz, kiedy ja mam ci być potrzebny? Ty myślisz, że ja jestem twój parobek, którego można zbudzić, kiedy chcesz? A czy ja ci mówię, kiedy ty masz orać, albo siać? Cholero jedna, ja jestem lekarz, a nie żydowski handlarz, a jeśli ci ćwierć metra żyta milsza od życia żony i dziecka, które ma przyjść na świat, to ja ci pluję w pysk i niech cię szlag trafi!

Ale z tem wszystkim nie było doktorowi dobrze w miasteczku, nie! Czuł, że atakując bezustannie, właściwie bezustannie broni tylko swej kulturalnej wartości. Był jak człowiek tonący w grzęzawisku. Wymachiwał gwałtownie głową, rękami i nogami, aby się na powierzchni utrzymać, a za każdym ruchem pogrążał się coraz bardziej w toni. Wiedział, że ma do czynienia z zacofaniem, ciemnotą, a także i biedą, nędzą, ale ta nędza, ciemnota i zacofanie występowały jako jakaś święta, nietykalna organizacja, jako życie uświęcone, obwarowane tradycją i zwyczajami, jako dzicz uprawniona i wymagająca dla siebie respektu. Widział dzieci małe, napół udużone w kuchniach, gdzie wiecznie kadził na blasze pod trójnogami węglowy żar — i cóż, że otwierał okna, że tłumaczył ludziom, iż, mając przecież piece z blachami, nie powinni zanieczyszczać powietrza węgielkami. Uśmiechano się pokornie, lecz jak tylko wyszedł, okna zamykano. A co do węgielków pod

trójnogiem — przecież to ogromna oszczędność opału! Więc huczał, beształ, wymyślał — na nic. Ludzie się go bali, ale i tak robili po swojemu.

Prócz tego atakowano go, anonimami, skargami sądowymi, oszczerstwami, korespondencjami do pism. Zorganizowana ciemnota bronila się, jak umiała. Niejeden cios trafił i zabolął, a doktor, choć wciąż jeszcze śmiało rzucał się do walki, był już stary i znużony. Potrzebował pomocy. Z właściwym sobie sprytem i energją zmobilizował i zebrał dokoła siebie młodzież miasteczka. Młodzi szli do niego chętnie, bo ich porywała jego energja, elastyczny, swobodny sposób myślenia, szerokość horyzontów, bujność inteligencji i zapał. Doktor żył swego czasu na szerokim świecie, dużo podróżował, znał ludzi, umiał opowiadać. Teraz o wszystkim, co widział i przeżył, opowiadał młodym. Odbywały się u niego wieczorki, liczne zebrania, na których doktor pouczał o obowiązkach wobec państwa, o konieczności natychmiastowej twórczej pracy, o solidarności, o postępie, o poczuciu godności narodowej, konsekwentnie, stale polemizując ze starszem pokoleniem, które, jego zdaniem, niegodne było wolnej ojczyzny oglądać. Wywoływało to oczywiście znowu kwasy i nieprzyjemności. I tak w miarę, jak przybywała pomoc, rozszerzało się pole walki.

W gruncie rzeczy doktor sam dobrze nie wiedział, z czym walczy. Siły wrogie zlokalizował w kilku starych austriackich urzędnikach, niepolskiego — jak mu się zdawało — pochodzenia i w ten sposób sprowadził wojnę na tory osobiste, przyczem w środkach nie przebierał. Ta walka musiała przybrać formy bardzo przykre, nie gwarantowała bynajmniej

łatwego zwycięstwa. Starzy, niestarzy — ludzie chcieli żyć i należało im dać żyć i umrzeć spokojnie. A stary doktor nie zdawał sobie sprawy z tego, że wrogami nowego życia nie jest tych kilku niedołęgów z austriackich czasów, lecz duch przeszłości martwej, a której miotłą z kraju wymieść nie można było.

Czasami doktor słabł. Zaczynał wątpić, upadał na duchu, zniechęcał się do ludzi. Świat wówczas tracił w jego oczach blask i barwy, szarzał, stawał się nieistotnym, marnym. Nawet wspomnienia ruchliwego, czynnego życia traciły swe ogrzewające ciepło, gasły, zamieniały się w popiół bez wartości. Dusza zsychała się z tęsknoty, czuła w pobliżu chłód śmierci. Wtedy doktor brał wielką książkę do modlitwy, klękał przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i modlił się jak dziecko, prostem, biednym sercem ludzkim, naiwnie już wierzącym we wszystko, pokornie odsuwającym pyszną i zarozumiałą lecz jałową pociechę świeckiego rozumu. Z początku modlił się tak w chwilach zwątpienia i zniechęcenia. Później przywykł do modlitwy, jak chory do morfiny; nie mógł się bez niej obejść. Otwierała mu całe światy promienistego spokoju, ciszy, błogiej jak cisza pogodnych wieczorów, a głębokiej, jak milczenie gwiazd. Zdawało mu się, że leci przestworzami przez słodkiej muzyki lub płynię przez oceany wody żywej, śpiewającej rozmodloną litanją. Gdy przez chude palce przesuwiał ziarnka różańca, miał wrażenie, iż każde ziarnko rozkwita mu w palcach w wonną, jasną różę. Stawał się znów dzieckiem i jak dziecko obcował ze swemi wspomnieniami.

To znów płakał — płakał z trwogi, z bólu, bo czuł, że zbliża się śmierć, a on tu samotny, pada po

tak ruchliwym życiu taki opuszczony i sam, bez niczyjej pomocy będzie musiał śmierci w twarz patrzeć. Ale potem myślał, że to nic, że to dobrze, że się to wszystko skończy — albo też nic się nie skończy — i będzie tensam cudowny wschód słońca i klaskanie białych skrzydeł gołębi w głębokim lazurze niebios i cicha pieśń starych, olbrzymich lip, niby ogromne liry grających radosnem brzęczeniem pszczół w ciche, parne południe.

* * *

Zagórski siedział przy biurku zavalonem słownikami i nibyto pracował.

Ale właściwie nie robił jeszcze nic. Wzywał się w atmosferę swego domu.

Stare sprzęty i wiszące na ścianach obrazy przypominały mu dzieciństwo i Kraków. Obrazy malował ojciec — nieudolne, twarde pejzaże, przeważnie na motyw Wisły z Wawelem, Kopca Kościuszki, Skalki, Krzemionek. Były to rzeczy naiwne, ale bez pretensji i jasno wyrażały intencję. Dalej wisiały portrety rodzinne, wśród których na pierwszy plan wybijały się portrety młodszych braci Zagórskiego w mundurach legjonistów Piłsudskiego. Tuż przy biurku stał oryginalny pomnik, jaki ojciec Zagórskiego wznosił w pokoju swemu najmłodszemu synowi, ułanowi Beliny. Było to niby dziwadło, pokraka jakaś, a niktby nie zgadł, że ta fantastyczna, groteskowa pokraka symbolizuje życie ludzkie. Na ziemi stał mały dziecinny stołeczek drewniany —

krzeselko najmłodszego brata Zagórskiego. Na tem krzeselku leżał bęben — pamiątka z czasów, gdy chłopak był skautem. Nad tem stała sztaluga malarzka — to, co ojciec Zagórskiego, skromny dyletant, najwięcej w swem życiu szanował, na szczycie sztalugi popielate czako ułanów Beliny, na sztaludze, niby piersi potworka, udekorowana spłowiałym jedwabnym szalem kaukaskim, podobizna Komendanta. Oto wszystko. Tak było. Życie ogromnie proste: Dziecko, skaut, potem żołnierz — i koniec.

Zaś przed biurkiem Zagórskiego szara, spłowiała makata, a na niej jego pamiątki: Fudzijama, biały, śnieżny szczyt, ujęty, jak w ramę, w tori, w drewnianą, podgiętą bramę japońskiej świątyni. Zielone, również podgięte dachy czerwonej, wyłącanej świątyni w Kioto. Szeroka, błękitna przystań Hong-Kongu i widne na drugim brzegu Kaulun, miasto chińskie, na tle łańcucha szarych, nagich gór, przypominających grzbiety słoni. Stary, cesarski gościniec chiński, tragiczne twarze aktorów japońskich, czarna dżonka na Maiko, pstra, pełna riksza ulica Jokohamy, ukryta w cieniu palm kokosowych wioska malajska...

— Mój Boże! — myśli Zagórski. — Tyli świat zlecieć i trafić prosto do jakiegoś cichego, prowincjonalnego miasteczka w głuchym zakątku? Gdzie tu logika, gdzie tu sens — jaki związek ma jedno z drugim? Jakiś sens przecie to z pewnością ma. Później się pokaże. Człowiek rzadko kiedy wie, co robi, los — zawsze.

Biblioteka. Niewielka, oszklona, zawsze zaciasna szafa.

— Ale, o! — i tu serce Zagórskiego nadyma się dumą — znajdźcie wy w promieniu pięćdziesięciu mil laką bibliotekę!

Złocene grzbiety równo ustawionych książek, połyskują w szafie wytwornie i ponętnie. Biblioteczka to niewielka, ale za to doskonale obmyślana i zorganizowana. Niema w niej książek o wartości nietrwalej, przemijającej. To są organy Zagórskiego. Wystarczy wstać, otworzyć szafę, wziąć pierwszy lepszy tom, a już w duszy budzi się jakiś ton. Zagórski czasem nie potrzebuje nawet czytać; stoi tylko przy otwartej szafie, patrzy na książki i duma o ich autorach, ich losach, ich nieśmiertelnej treści i o miastach, z których je przywiózł. W tej małej szafce zawierają się najdzwięczniejsze języki świata cywilizowanego, najcudniejsze barwy poezji, najszczytniejsze myśli promiennych duchów Europy.

Teraz praca. Taka, jaką sobie sam stworzył. Żmudna, ale zajmująca i pożyteczna, choć nieefektywna i niewdzięczna. Rozkopywanie granic, dzielących narody, kucie misternych kluczy do skarbów ich dusz, strzeżonych przez niezrozumiałe słowa zaklęcia. Słownik — rzecz cudna, las pojęć, myśli, obrazów, barw, dźwięków — ogromne morze życia narodu, wciąż falujące i to przynoszące na falach swych czarowne świeżością kwiatki nowych myśli, to odsłaniające dużo tajemniczej, zamierchłej przeszłości. Zagórski tak się zżył ze słownikami, że każda litera alfabetu ma w jego oczach swą własną, żywą indywidualność; dla niektórych, obdarzonych olbrzymią płodnością i siłą, ma uwielbienie i podziw, ale nie lekceważy żadnej, bo każda ma w jakimś języku nieskończone możliwości twórcze. Tak litery i słowa,

zdawałoby się, na pozór martwe, w jego oczach wciąż tańczą, barwne i dźwięczne, pełne nieśmiertelnego życia i niewyczerpanej radości twórczej.

Ale przede wszystkim — życie rodzinne. Dom w takim małym miasteczku, to rzecz najważniejsza. Żona.

Zagórski podniósł głowę i zadumał się głęboko.

— Dlaczego u nas pożycie małżeńskie jest przeważnie walką, w której obie strony wciąż sobie coś wzajemnie wydzierają i wyrywają? Silne indywidualności? Ech, nieprawda, silne indywidualności nie są małostkowe. Właśnie tu możnaby powiedzieć, że są to indywidualności słabe, a o małej kulturze — jak cały naród. Gdzieindziej, dzięki kulturze, nawet ludzie obojętni sobie i egoistyczni przez umiejętny sposób współżycia wytwarzają miłą atmosferę, u nas ludzie, którzy się niewątpliwie kochają, są dla siebie często nieznośni. Nie kochają życia, jak należy, nie umieją ocenić tego, co mają, wciąż się procesują, wciąż się czują pokrzywdzeni.

Przypomniało mu się opowiadanie żony, jak to ona, jako młoda panna chodziła na pogrzeby zupełnie obcych sobie osób i idąc za trumną rzewnie i szczerze płakała.

— I czegożeś płakała? — spytał ją mąż.

— Wyobrażałam sobie, że to mnie chowają i tak mi było żal, tak żal!

Oto jak ludzie marnują sobie życie, chodząc wciąż na swoje własne pogrzeby! Ale Zagórski do takich żałobników nie należy. On kocha życie i umie ze wszystkiego wycisnąć swą kroplę miodu. Jemu radością jest dom, radością uśmiech i pocałunek dziecka, radością ochotna pracowitość służącej, życz-

liwość, objawiająca się chociażby w podaniu szklanki wody, radością są mu figle małego kotka, oddana wierność poważnego, zawsze zadumanego Guzika. On umie żyć. On, oczy o świcie otwarłszy, cieszy się delikatnym brzaskiem w szybach, podbijającym niby atlasową podszewką, wzorzyste firanki. On po głosie poznaje, u którego sąsiada kogut pieje, z natężenia pierwszych promieni wschodzącego słońca odgadnie, czy dzień będzie pogodny czy nie. Czeka na przebudzenie się domu, na szybkie kroki śpieszącej po mleko służącej, na zgrzyt drzwi, szmer pantofli żony i wołające o chleb lub jabłka, zaspane, rozgrymaszone głosy córeczek. Gdyby jego otoczenie chciało, mogłoby w tem małym miasteczku żyć najzupełniej szczęśliwie. Tu człowiek istotnie może żyć sobą i dla siebie. W harmonijnem uzgodnieniu z różnobarwną muzyką przemijających dni i nocy, różnobarwnych miesięcy i symfonji zamkniętych w sobie pór roku nie będzie ani pustki, ani jednostajności. Jest praca zawsze — czy to sprzątanie, czy przygotowywanie skromnego, ale smacznego obiadu, czy szycie, czy bawienie dzieci — jest bezustanne zajęcie, mnóstwo czynności drobnych, ale sprawiających, że życie płynie wciąż naprzód z żywym rytmem króciutkich fal strumyka górskiego. Nawet tęsknota, cicha i bezbolesna, osnuwa tu z poetycznym wdziękiem dalekie błękitne góry na horyzoncie.

Tak, można żyć, spokojnie, zacisznie, byleby tylko serce utrzymać na wodzy...

Do pokoju wpadł czerwony odbłask zachodzącego słońca.

Zagórski spojrzął w okno, ujrzał na niebie obłoki, broczące szkarłatem, jak granaty, wstał i wy-

szedł na ganek za domem. Ganek ten wychodził na sad, skąd poprzez gałęzie jabłoni widać było cmentarz, podobny do pięknego, wesołego ogrodu. Poznać go można było po trzech smukłych topolach, strzelających wysoko w niebo, oraz po czarnych tujach. Zdaleka świeciły białe ściany kaplicy, wyglądającej raczej jak zaciszny pawilonik, ukryty w głębi ogrodu. Nad tym cmentarzem zachodziło słońce czerwone, kapiące złotem, purpurą, szkarłatem, pyszne, świetne, przebogate. Cmentarne pola rysowały się na tem tle, jak czarne różgi. Ile razy Zagórski wychodził na ten ganek, zawsze wzrok jego padał na te trzy topole a w myśli widział ścieżkę wśród bezimiennych mogiłek. W nocy księżycowe cmentarz wyglądał, jak tajemniczy Boecklinowski pejzaż. Teraz cały stał w ogniu.

Zawsze i zawsze cmentarz.

— A no, trzeba się powoli do tego widoku przyzwyczajać! — rzekł sobie w duchu Zagórski.

*

*

Nad wieczorem, widząc, że dzieci, już śpiące, grymaszą, nudzą matkę i przeszkadzają jej w przygotowaniu wczesnej kolacji, Zagórski zabrał je do swego salonu i zaczął wraz z nimi śpiewać „Wszystkie nasze dzienne sprawy.“ Basia ciągnęła energicznie swym nieustawionym, dziecięcym dyszkan-tem, ale mała Elżunia, śpiąca i naburmuszona, pomrukiwała tylko niewyraźnie pod nosem.

Wtem weszła żona, donosząc, że w kuchni jest krawiec, Antoni Szczygieł, który się z nim koniecznie chce zobaczyć.

— Późno już — dodała, patrząc mu w oczy. — Dzieci śpiące, kolacja wnet.

— Antoni Szczygieł? — przypominał sobie Zagórski. — Krawiec? Nie pamiętam. Nie miałem do czynienia z żadnym krawcem, któryby się nazywał Antoni Szczygieł.

— On mówi, że cię zna bardzo dobrze, że służył razem z tobą gdzieś na Syberji. Ten, co to się niedawno ożenił z Wyrębianką.

— Ach, Antoś Szczygieł! — zawołał Zagórski. — Brat Szczygieł. Przypominam sobie, doskonale pamiętam, mały, smagły brunet. Proście go, proś, to przecież kolega.

Do pokoju wszedł młody człowiek w wysokich butach, briczesach i kurtce cywilnej. Na pierwszy rzut oka można było poznać zdemobilizowanego żołnierza. Szczygieł był drobny, ale zgrabny, twarz miał inteligentną bujną, ciemną czuprynę, zaczesaną do góry, zmysłowe usta i ciemne, głębokie oczy.

Zagórski przywitał go jak brata, posadził koło siebie, przy biurku i zaczął wypytywać.

— Kiedyż brat wrócił?*)

— A dopiero w jesieni wypuścili mnie z wojska!

— O, do diabła! W jesieni! A którydyż brat wrócił?

— Ja wróciłem z transportem przez Japonję, Singapore, Cejlon, Port-Said, Malte, Anglję i Gdańsk.

* W dywizji syberyjskiej był zwyczaj, że żołnierze i oficerowie tytułowali się „brat“.

— To moja droga. Z transportem! Dużo was było?

— Ośmiuset.

— Z bolszewikami we Władywostoku biliście się?

— Nie. Ich Japończycy rozbroili. Ale potem byłem na bolszewickim froncie. Jak wróciłem, słyszę, mówią, że tu pan Zagórski mieszka. Jaki Zagórski? Nie wiedzą. Pokazuję żonie naszą wspólną fotografię, pytam się: Ten? Nie ten. Nie ten, to nie ten.

— To brat żonaty?

— Ożeniłem się, jak mnie z wojska wypuścili. Dziś wychodzę na rynek po „dodatki“, patrzę, aż tu pod świętym Florjanem brat z doktorem stoi. O rany boskie! Chciałem przystąpić, ale bałem się doktora Bromińskiego. W dzień wyjść nie mogłem, bo trzeba pracować, ale wieczorem tak mnie już zebrało, że nie wytrzymałem. Będzie się brat Zagórski gniewał czy nie, przywitać się muszę.

— O cóż bym się miał gniewać? — zawołał Zagórski. — A toż brat Antoś mnóstwo mi ciekawych rzeczy przywozi. — Ja wyjechałem przed wami, nie wiem, jak się to wszystko skończyło!

Zjawił się na stole grog i podczas gdy za oknami wiatr huczał, a z sypialni dolatywały senne głosy dziewczątek, odmawiających pacierz, brat Antoni Szczygieł opowiadał o losach bataljonu polskiego na Dalekim Wschodzie, o klęsce i rozbrojeniu dywizji syberyjskiej, o koleżeństwie z Japończykami i o dalekiej podróży żołnierzy polskich przez morza i oceany. Połyskiwały w tej opowieści nazwy dalekich miast i wysp, jak egzotyczne kwiaty wpięte w krakowską katankę, jak wschodnie ornamenty na

śluckim pasie, jak złoty, arabski napis na polskiej szabli.

— Żółci są chytry, mądrzy, ale paskudni — charakteryzował Szczygieł narody. — Anglicy, to twardy, zły naród, ale na jednej wyspie spotkali my ludzi czarnych — Arabami my ich nazywali — co mieli gęby takie pocziwe, a oczy takie dobre, jak nasi. Nie wie brat, co to mogą być za ludzie? — pytał Antoś z ciepłym akcentem w głosie.

— Wiem, Hindusi! — odpowiedział z uśmiechem Zagórski, uradowany spostrzeżeniem, iż mimo tylu wieków rasa się przecież odezwała. — Cóż dalej?

— Przyjechali my do Gdańska. Bardzo piękne miasto, ten Gdańsk, szkoda, że nam go nie dali, port urządzony tak, że okręty wpływają do miasta i wprost z okrętów można ładować ludzi na wąskotorową kolejkę i jazda dalej. Staliśmy dzień — nic nam jeść nie dali. Jedziemy do Polski, do Warszawy. Znowu po drodze jeść nie dają, a my też nic kupować nie mogli, bośmy już pieniędzy nie mieli, wydaliśmy je.

— Ale wam przecież żołd wypłacano uczciwie? — spytał zaniepokojony Zagórski.

— Żołd był dobry, wypłacano nam go w jenach, potem w funtach szterlingach, srebrem. Mieliśmy nieraz pełne kieszenie szylingów. Tylko że mówili, że u nas w Polsce bardzo drogo.

— Kto mówił?

— Ci tam, z tego konsulatu polskiego w Japonji czy poselstwa.

— To durnie!

— Oni sami nic nie wiedzieli. Jak my się ich zaczęli wypytywać, co w kraju po czemu, jak na wsi, co się dzieje, nie wiedzieli nic.

— Pewnie, jeśli sekretarzem misji był malarz!

— Co? — zapytał, jakby nie rozumiejąc, Szczygieł.

— No, rząd wysłał na Daleki Wschód misję, która miała wycofać dywizję... Sekretarzem tej misji był malarz z Krakowa...

— A, to ja wiem! — uśmiechnął się Szczygieł. — To oni się nawet do Charbina bali jechać z Władywostoku. Japończycy chcieli im dać pluton piechoty dla bezpieczeństwa, ale oni zmiarkowali, że jak pojedą z eskortą, to może być jeszcze gorzej i pojechali do Charbina przez Pekin, przez terytorjum chińskie.

— Cóż dalej? — przerwał znów Zagórski.

— Więc my, słysząc, że w Polsce drogo, kupowali po drodze wszystko, co można było. Ja kupiłem sobie w Anglii materiału na ubranie, liche a bardzo drogi. Za te pieniądze mógłbym mieć tu trzy porządne ubrania. Wydali my po drodze wszystko, a gdyby my te pieniądze do kraju przywieźli — można było rodzinie pomóc. No i tak my przyjechali do tej Warszawy.

— Przyjmowali was? — spytał Zagórski i podniósłszy głowę spojrzał Szczygłowi w oczy.

Oczy Szczygła były zupełnie twarde, zimne, twarz spokojna jakimś urzędowym spokojem. Ale głos mu odrobinę drżał.

— Ano — po tylu latach włóczęgi, niewoli, służby na Syberji przyjechaliśmy wreszcie do samej Warszawy. Eszelon przyszedł w nocy. Otoczyli nas

żandarmi i nikomu nie pozwolono wysiąść. Późno w nocy przyszedł jakiś generał z muzyką. Oficerowie wysiedli. My nie. Generał coś mówił — myśmy nie słyszeli nic, bo daleko. Potem muzyka zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła“, a myśmy zaśpiewali „Rotę“. Jeść nie dali. Rano wysadzili nas z wagonów.

Głos Antosia znów zadrzał.

— Rozbroili.

— Psia krew!

— I zapędzili na kwarantannę do obozu, otoczonego kolczastym drutem.

— Antoś, trzeba zrozumieć, że kwarantanna była konieczna! — tłumaczył Zagórski. — Mogliście za wlec dżumę!

— Ano nic! — zgodził się Antoś. — Po ośmiu dniach poodbierali nam wszystkie legitymacje i puścili nas na sześciotygodniowy urlop z tem, że po sześciu tygodniach każdy ma się zgłosić w swoim D. O. G. Ani nawet szarż nie zanotowali. Ani że służył w syberyjskiej dywizji. Nic. Jakby nie było. Że ja się tam poniewierał — to nic nie znaczy. Ani odznaki żadnej choćby na to, żeby powiedzieć, że tam byłem. Ale ja sławy nie łakomy.

— Znamy to, bracie! — uśmiechnął się Zagórski. — Martwemu bezimiennemu żołnierzowi buduje się za grube pieniądze pomniki, ale dla żywego bezimiennego żołnierza niema nic! Gdzieżeś był na urlopie?

Szczygieł chwilę milczał, jakby coś jeszcze w pamięci przeżuwał, a potem odpowiedział:

— We Zdoni, u matki.

— Toś ty ze Zdoni? A ja myślałem, że z miasteczka! Czemu żeś mi nie powiedział?

Teraz znów uśmiechnął się Szczygieł.

— Ja pamiętam, jak mi się brat pytał, skąd pochodzę. Ale brat nawet nazwy tego miasteczka nie znał. A cóżby brat wiedział, gdybym powiedział, że — ze Zdoni. Kto zna Zdonię? A tam moja matka ma haupę i dwa morgi gruntu. W domu dawno nie byłem. Wyjechałem do Polskiej Ostrawy, jak mi było dwanaście lat.

— Ależ ja Zdonię bardzo dobrze znam! — mówił Zagórski. — Cicha wieś wśród gór, domy ukryte w zieleni, a cisza taka, że słyhać, jak bąk przez pola leci.

— A tak, cicho i to mi się nawet w pierwszych dniach bardzo podobało. Spałem, odpoczywałem. A potem zachciało mi się niby osiąść, przestać się włóczyć, żyć jak inni. Chciałem się ożenić, starałem się o różne panny. Wszystko szło dobrze, tylko ten koniec był zawsze najgorszy — uśmiechnął się.

— Czemu? Chłopi nie szanują rzemieślnika?

— To nie. Ale że tyle jeździłem, nie mają do mnie zaufania. Jagem opowiadał, słuchali ciekawie, ale córki dać żaden nie chciał. Nazywali mnie obieżyświatem. Więc się zaręczyłem z jedną panną, gulonką z miasteczka — a potem znowu do wojska, na Pomorze mnie posłali. Jak wypuścili, ożeniłem się, założyłem pracownię krawiecką, no i szyję i żyję...

Skończywszy swe opowiadanie, Szczygieł podniósł swe duże głębokie oczy na Zagórskiego i patrzył nań przez chwilę jakby surowo czy z wyrzutem.

Zagórski zmieszał się, choć nie wiedział dlaczego.

— No i cóż? Żle się bratu powodzi?

— Ja nie wiem, ja się może na tem nie rozumiem, ale ogromnie ciężko żyć. Porządku nima. Wszędzie paskarstwo, złodziejstwo, oszustwo, wyzysk, nędza, niedbalstwo, niedołęstwo, każdy robi co chce. Co to znaczy? Dlaczego tak? Nie kradnie ino głupi. A zawiść! Jeden drugiemu przeszkadza — wszystko idzie, jak z kamienia. Na Syberji łatwiej było coś zrobić, niż tu. Żyje się, jak wśród wrogów. Jagem otworzył warsztat, to mnie bić chcieli. To my się o to bili, za to my się ofiarowali? Ludzie starej Austrii żałują!

Pocieszał go Zagórski, przekonywał, tłumaczył, Szczygieł słuchał, ale w końcu rzekł:

— Brat Zagórski tłumaczy. Rozumie się, nic nie jest bez przyczyny. Ale co mnie po przyczynach! Ja wiem tyle, że mi bardzo ciężko i że tego wszystkiego zrozumieć nie mogę. W gazetach wszystko tłumaczą co, jak i dlaczego, a ja mąki dostać nie mogę, cukru też nie, nieraz nawet i soli nie, cóż bede jad?

Zagórski zmienił temat rozmowy — znowu zaczął wypytywać Antosia o stosunki we Władywostoku, o podróż, czy widział to, czy tamto — i Szczygieł odpowiadał chętnie, ożywił się, rozochocił. A wtedy Zagórski zrozumiał, że ten żołnierz, podobnie jak i on sam, najchętniej ucieka od rzeczywistości w świat wspomnień, pełnych słońca i nadziei drogich, choćby one zawiedzione zostały. I zrobiło mu się bardzo smutno, bo nie mógł oprzeć się wrażeniu, jak gdyby odpowiedzialność za bolesny zawód na niego samego spadła.

*

*

*

ROZDZIAŁ III.

Wmieście to człowiek nawet już nie wie, co to wichura! — pisał Zagórski do brata. — Najprzyzwoitszy, najsolidniejszy wiatr zmienia się tam w mniejszy lub większy, zawsze ordynarny i zapaskudzony przeciąg. Ale na wsi wiatr wciąż jeszcze jest wiatrem. Niebo zaciągnięte olbrzymiami, czarnemi, ciężkiemi chmurami, światło dnia zgaszone, mętne, żałobne, gościniec prawie że pusty, a od zachodu, z poza grzbietów górskich leci polami wicher i wyje - wyje, ryczy czasem, znów gwizdże, chichocce, pośpiewuje, a potem znowu rzuca przed siebie masę wstrząśniętego powietrza, wiatr potężny o szerokich piersiach i zdrowych płucach. Zbija się na podwórzu w gromadki drób, szukający zacisznego kącika — i piszczy żałośnie. Wiatr huczy w bezlistnych suchych koronach jabłoni i grusz, roztrzępuje je, mierzwi brutalnie, bezwzględnie, że aż żal patrzeć na sponiewieranie szanownych, czcigodnych, starych drzew; wyglądają jak stare kobiety, bite i szarpane za włosy przez nieokrzesanego brutala. Ze stromych, wysokich strzech stodół gwizdże coś, że przysiągłbyś, iż ukrył się tam chór złośliwych, rozpustnych djablików. Z hukiem zatraskują się lub

otwierają opatrzone pocziwemi sercami drzwi dygocących komórek, modrzew nad domem kłania się wciąż — ale dom stoi i tylko gołębie przycupnęły pod dachem i pogruchują zaniepokojone.

Wicher wzmaga się nad wieczorem. O tym czasie chmury, zmęczone czy zziębnięte oddalają się do jakiejś poczekalni, zostawiając na opuszczonem boisku niebieskiem parę zaledwie czarnych mamutów czy innych potworów, krzywo i nieżyczliwie patrzących na srebrny rogalek księżyca, który nie wiadomo skąd się wyrwał i znalazłszy się naraz w samym środku nieba, sam, bez gwiazdzistego sztabu, nawet bez Wenery, odwiecznej swej adjutantki, zażenowany leci gdzieś, jakby się okropnie śpieszył. Wygląda zupełnie, jak zaproszony trochę tancerz, który wyrwał się z kąta i na środku sali zaczął solo właśnie gdy muzyka skończyła, teraz zaś chce to obrócić w żart i uśmiechając się dowcipnie, lawiruje ku drzwiom.

Za to na zachodzie otwiera się nad górami płomienisto-czerwona czelusz, niby rozpalone wnętrze pełnego płomieni pieca — i z tej czelusci rozżarzonej bucha wiatr.

Gościniec ożywia się. Ludzie wracają z poczty, z roboty, wszyscy trzęsący się, zziębnięci, przerażeni, o matuleni, w grubem ubraniu. Są stanowczo mniej zahartowani od mieszkańców wielkich miast. Kiedy my mówimy: — Psia krew, chłodno dziś na dworze! i owijamy szyję szalem, chłop bierze kożuch i woła do każdego spotkanego po drodze: — Ale dziś mrrrróz! — Pogoda działa na chłopka psychologicznie. Wreszcie — gościńcem leci Flak, inaczej mówiąc, pan Flakowicz, bardzo uprzejmy i nie-

strudzony listonosz. Ludzie czyhają na niego w drzwiach, u furtek, u okien, wszyscy na przeciw niego wybiegają. Jest to jeden z tych poczciwych, wyjątkowych listonoszów, którzy przejmują się swą rolą i stają się serdecznym łącznikiem między dalekim światem a swoją gromadą. Niosąc depeszę, z daleka już ogłasza jej treść: — Pieniądze nadane! — Jeśli ma pieniądze, woła: — Niosę hopy! — Listy urzędowe doręcza ostrożnie i z pewnem zakłopotaniem. Mam wrażenie, że on z taką przyjemnością obchodzi domy swego miasteczka, z jaką pszczelarz obserwuje swój ul.

Ja osobiście wiatr bardzo lubię. Ma szelma ton, ma zadęcie, co się zowie. Prócz tego lubię go, jako gościa z daleka. Wiem, że podróżuje prędko, a choć mija mnie i leci dalej, nie zwracając na mnie uwagi, przynosi mi pozdrowienia ze świata. Czczę w nim także rozmach szeroki, rozpęd na wielką skalę, brak drobiazgowości, głośną, otwartą szczerłość i — zapamiętanie. Kiedy się rozwściekli i zaczną wyć, warto słuchać, i jest czego słuchać — zwłaszcza w nocy. Wtedy opowiada historie straszne o zapomnianych ścieżkach w leśnych wąwozach górskich, o głuchej rozpaczycy chłopa, wieszającego się na rzemieniu w czarnym gąszczu leśnym, o żalostnej spowiedzi sieroty pijaka u konfesjonału pokracznej, spróchniałej wierzby przydrożnej, o smętku wojennych cmentarzy wśród pól, z krzyżami wyciągniętymi w szeregi, jakby na komendę „równaj się w prawo!“, z podoficerami na skrzydłach i z większemi, osobno wzniesionemi krzyżami dla oficerów.

Ale ten wiatr przyniósł nam zimę, okropną, dziką, rozjuszoną. Mrozu wielkiego niema, zato bru-

talne rozbewstwienie pogody przechodzi wszelkie wyobrazenie. W przerażonych, wciąż kołyszących się ruchach drzew jest patetyczny rytm tragicznej rozpacz, w ich szumie zawodzenie tak elegijne, że mimowoli przychodzi na myśl grecka płaczka, szary, popielaty kolor nieba z kłębiącymi się czarnymi chmurami ziele twardą surowością, śnieg twardnieje w lodową skorupę. Świat jest szary, nużący, przykry.

Oczywiście, ludzie kulą się po domach, przy piecach.

I tu dzieje się rzecz nadzwyczaj ciekawa.

Wilków w naszych stronach zupełnie niema — a jednak naraz ktoś wilka wspomnie. Dość słowa — zaczyna się wilcza sensacja. Gdzie tylko się jakiś pies pojawi — zaraz wilk. Naprzód opowiadają, że to tu to tam widziano pojedynczego wilka, później uganiają po wsiach i polach już całe stada. Kogoś zjadły! Kogoś — nieznanego ani z nazwiska, ani z miejsca zamieszkania — jakiegoś chłopca! Jakiś chłop wogóle jest znakomitą osobistością i mimo, że spotykają go wciąż niesłychane przygody, grasuje po okolicy nieśmiertelnie. Wilki ośmielają się, napadają na czyjaś chałupę, wreszcie:

— Wczorajszej nocy zjadły księdza z Janowic, który jechał z Panem Bogiem do chorego. Tylko buty zostały.

Wilcza sensacja na tem się kończy, bo rzecz zbyt łatwo zbadać. Ale nie koniec zimowej panicy psychologicznej. Dzień coraz krótszy, nocie długie i potężne swą ciemnością. Z ciemności nocnych wypełzają naraz na widownię duchy.

Duchy na prowincji nie umarły jeszcze; żyją wciąż i straszą. Czasem jest to chłop bez głowy,

kiedyindziej człowiek goły, który przysiada się na wóz i prorokuje. Najczęściej jednak są to dokuczliwe, a mojem zdaniem, głupkowane straszdyła, nie świadczące zbyt korzystnie o fantazji naszego ludu: Więc na przykład figura jakiegoś świętego, zabiegająca drogę z tyłu stron, iż wóz wciąż jeździ w kółko, albo — przykład klasyczny — koło od taczki czy kula jakaś, samotnie pędząca przez łąki za wracającą do domu z roboty młodzieżą — rozumie się — o zmierzchu. Coby to goniące koło czy kula oznaczała, nie mogłem wysondować, prawdopodobnie djabła. Jedy-
nym ratunkiem przed tem zjawiskiem ma być ucieczka ku najbliższemu rowowi. Tam wszyscy muszą się wziąć za ręce i razem przeskoczyć rów z okrzykiem „Jezus, Marja, Józef!“ Ktoby pozostał w tyle, ten roku nie doczeka. (Rzeczy, których pod grozą niedoczekania roku robić nie wolno, jest bardzo wiele, zwłaszcza na wilję).

Zabobony liczne i bardzo ciekawe. Jeśli dzieci, bawiąc się w kościół, śpiewają pieśni kościelne i udają księży, mówi się, że wywodzą, rozumiej, wywodzą duszę z człowieka. Jest to niedorzeczność, a jednak — dzieciom swym musiałem zabronić tej zabawy, gdy parę osób w sąsiedztwie zmarło. Kościelny śpiew dziecka i — puszczyk — to jedno. Ostatecznie, w dzieciach jest siła nadziemska — zatem niech milczą — ich najniewinniejsze zabawy są zawsze okrutne. Ale dalej: Jeśli w jednym garnku zmieszasz mleko od dwóch krów, jedna krowa przestaje dawać mleko. Tak tu gulonki powszechnie wierzą — i sprobójże założyć w tym kraju spółkę mleczarską.

Są też w mojej okolicy błędne ogniki, podobno bardzo częste...

— Józeczku, kolacja na stole! — odezwał się głos pani Zagórskiej. — Chodź, bo ci wystygnie.

Zagórski posłusznie położył pióro i wstał.

W jadalni jasno płonęła lampa, szła para z półmisków, stojących na stole. Dzieci głodne stały przy swych krzeselkach. Za oknami kłębiła się rozpętana burza zimowa.

— Coś strasznego, co się tam dzieje! — żalonym, przerażonym tonem mówiła pani Zagórska. — Zgroza ogarnia, jak się słucha tego wycia.

— A możebyśmy, dzieci, wyszli na werandę zobaczyć, jak taka noc wygląda! — zaproponował ojciec.

— Daj spokój, zaziębia się! — zlekła się matka.

— Ja pójdę! — zgodziła się Basia.

— I ja pójdę! — zawtórowała Elżunia.

— Wyjdziemy na chwileczkę, nie bój się, nic się im nie stanie.

Okrył dzieci czemś, co było pod ręką i wyszedł z niemi na werandę.

Porwała ich w tej chwili w swe objęcia wichura, okręciła dokoła, obsypała śniegiem, zawyła i zagwiżdżała w uszach. Ogromne, białe widma tańczyły w powietrzu, drzewa ryczały, jak z bólu, wysoki modrzew buczał żałośnie.

— Boję się! — szepnęła Basia, tuląc się do ojca.

— Pewnie! — zgodził się ojciec. — Ja się też boję.

Cofnęli się ku drzwiom i w popłochu uciekli do ciepłej jadalni, wystraszeni, obsypani śniegiem. Pani

Zagórska zamknęła za niemi oboje drzwi na dwa spusty z takim pośpiechem, jakby się obawiała, że zima może ich ścigać aż do pokoju.

Po tem wzruszeniu zadowoleni zasiedli do stołu.

— Straszna zadyмка! — mówił Zagórski, nalewając sobie kieliszek wódki, aby się godnie przysposobić na przyjęcie dymiącej, gorącej kiszki z kapustą. — Nie chciałbym się w taką noc znaleźć gdzie w drodze.

— I pomyśleć... i pomyśleć — głos pani Zagórskiej zadrgał łzami — coby było, gdyby tak teraz, w tę straszną noc, te dwa robaczki małe... znalazły się same na gościńcu... i musiałyby iść...

Tu pani Zagórska wybuchnęła płaczem.

— Kobieto, czemu wyjesz! — oburzył się mąż. — Patrzże, przecież siedzą w ciepłym pokoju, jedzą zacierkę na mleku... Nie chodź na swój własny pogrzeb! Zwarzjowałaś?

Pani Zagórska przestała płakać, otarła łzy, ale nie uśmiechnęła się; przeciwnie, na jej twarzy zjawilo się przykre, lekceważące odęcie.

*

*

*

I czego ty się tak ciągle dmiesz? — spytał Zagórski zabierając się po kolacji do pasjansa, podczas gdy pani Zagórska pracowała nad ulubionem „Richelieu“. — Wiem dobrze, że wolałabyś mieszkać w mieście, ale nie moja wina, że ci na prowincji źle. Jesteś obrzydliwy mieszcuch, wyzbyć się tego nie chcesz, i dlatego źle się tu czujesz. Ale to twoja wina.

— Moja wina?

— Oczywiście. Boisz się krowy, konia i tak samo boisz się deszczu, wichru, chłopa. Na dalszą przechadzkę nie pójdiesz, bo niema trotuarów, bo sobie buciki zniszczysz.

— Może to nieprawda?

— Prawda, ale ty sobie nie sprawisz trzewików do chodzenia, tylko do paradowania po promenadzie, a tu niema promenady, niema parad, jest gościniec, błoto, śnieg.

— Sama o tem najlepiej wiem.

— I do tego trzeba się przystosować. Trzeba się pogodzić z tem życiem, jakie jest. Inaczej, nic dziwnego, że się jest zawsze pokrzywdzonym.

Pani Zagórska milczała.

— Ty jesteś bardzo mądry, Józieczku! — odczywała się po chwili. — Bardzo mądry. Ty masz swoje słowniki, różne książki, a w wolnych chwilach pisujesz listy. Reszta cię nic nie obchodzi.

— Trudno, musi być jakiś podział pracy.

— Zapewne, ale mleko do śniadania musisz mieć, a wiesz ty, że mi tego mleka odmawiają? Z głupiej złośliwości, z zawiści. I że dziewczyna aż na przedmieście musi chodzić wczesnym zimowym rankiem po mleko? A wiesz ty, że mi odmówiono chłopa, który mi rąbał drzewo i że teraz ja sama z Milcią na mrozie piłuję i rąbię drzewo? Patrz, jakie mam ręce.

Pokazała mu grube odciski na dłoniach.

— Czy ty wiesz, że gdy w klasztorze o mleko dla dzieci poprosiłam, to mi odmówiono, mówiąc, że im mleka dla warchlaków potrzeba?

— Nie może być! — wybuchnął Zagórski.

— Nie może być! — uśmiechnęła się gorzko pani Zagórska. — A toż gospodyni mleko świniom raczej wyleje, a nie sprzeda po cenie, która się jej nie podoba. Ty lubisz jajecnicę na śniadanie — idź, spróbuj kupić jaja. Pełno kur w miasteczku, a nie sprzeda ci nikt ani jednego jajka — chyba żyd. Co się dzieje z mięsem? Rzadko kiedy możesz coś dostać. Jaja skupuje spółka jajczarska, żyto skupuje burmistrz, świnię wywożą rzeźnicy, wszyscy wszystko wywożą, a nie przywiezie nikt nic. Bogu dzięki, tego roku jest nafta, a pamiętasz, jakieśmy zeszłego roku biedowali? Idź, poszukaj jakich kasz, sera, grzybów suszonych, makaronu, choćby musztardy — cóż ja ci, człowieku, dam zjeść? Kluski ze słoniną? A toż nawet słoninę czasem chowają, gdy ma podrożyć. Proszek do zębów mi wyszedł — byłam w aptece — pomyśl, proszku do zębów dostać nie można. Niema!

Pani Zagórska mówiła już przez łzy.

— I co mi z tego, że mi dajesz na dom, kiedy ja za te pieniądze niczego dostać nie mogę? Kazać sobie przysłać pocztą — połowę rzeczy w drodze rozkradną, albo też przyślą Bóg wie co. A jeździć do miasta i robić większe zapasy, na to trzeba większych pieniędzy, których nie mamy. A tu są ludzie nieuczynni, niechętni i nieżyczliwi. Nie zrobią ci nic, bo choć tu dom masz, uważają cię za przybłędę. Nie jesteś gulonem. Przecież panią Mandlową, która tu od trzydziestu lat już mieszka, zwymyślali niedawno od przybłędów. Każde twoje niepowodzenie ich cieszy, czyhają na twoje nieszczęście.

— Jest przecież kooperatywa.

— Wielkie słowo! Kooperatywa sprowadza towar tylko dla chłopów, wódki, chustki i takie tam rzeczy... Zresztą, ci ludzie sami żyją tylko chlebem, ziemniakami, kapustą... To skąpcy, którzy sobie wszystkiego odmawiają... Dobrze, jeśli raz na tydzień w niedzielę, ugotują rosół z cielęciny i tak jedzą potem tę wygotowaną, mdłą cielęcinę z kapustą i ziemniakami... Przecież to zupełni barbarzyńcy, dzicy ludzie... Na dwa tysiące ludzi łaźni niema... Tylko w żydowskiej łaźni można się kąpać, ale — dziękuję. Ci ludzie się nie kąpią nigdy. Jak dziewczynę gulonkę wezmę do domu, to ma wszy. Tobie dobrze, siedzisz spokojnie przy biurku, patrzysz na tych ludzi przez szyby, jesteś mądry i mówisz o demokracji, ale ja mam do czynienia z ich złośliwością, gruboskórny chamstwem, z pogardą, gorzej, nienawiścią do inteligencji, z szachrajstwem, zdzierstwem, paskarstwem, brudem... Nie masz pojęcia, jakie to jest obrzydliwe...

Zagórski zdumiał się. O tem nie myślał.

— Więc niby właściwie co ja mam? — skarżyła się pani Zagórska. — Słowników nie układam, jestem zwykłą, przeciętną kobietą. Nie mam nawet zadowolenia z gospodarstwa, bo te ciągłe braki psują mi wciąż humor, i w gruncie rzeczy żyjemy, jak nędzarze.

— No, no!

— Ty — nie. Tak. Ale ja muszę się tulać od Annasza do Kajfasza i wprost żebrać, ażeby mi sprzedano tam parę jaj, tu trochę masła, tam trochę karpieci — żebrać i płacić paskarskie ceny. To życie inteligentnego człowieka na prowincji! A poza tem co? Bywać właściwie nigdzie nie można, wypoży-

czalni książek niema, z miasta książek też nie sprowadzisz, bo na prowincję nie wysyłają — więc co robić? O wyjazdach ani mowy, nawet na prenumeratę pism nie stać! Człowiek w tem wszystkim kapcanieje, dusi się, ginie! To nie jest przecież życie!

Zagórski słuchał w milczeniu, bezmyślnie układając karty.

Tak, tak, to była istotna prawda, tak rzeczy stały, takimi czarnymi a nie różowymi barwami należało je malować. Wyzysk, paskarstwo, chciwość, ciemnota, brak kultury, samolubstwo i zawiść.

Poczerwieniał ze wstydu.

Zaczął szybko w głębi duszy szukać jakichś argumentów — napróżno.

Mącił mu myśli wichher, który wył za oknami, jak wzburzone morze.

Ułożył karty, posiedział jeszcze chwilę, a potem rzekł:

— Chodźmy spać.

Pani Zagórska oblarła lzy, wstała i wzięwszy lampę, zaczęła obchodzić dom, sprawdzając, czy wszystko pozamykane i na swoim miejscu.

*

*

*

Przez dłuższy czas było ciemno, ponuro, zimno, śnieg spadł, potem stopniał, błoto zrobiło się niemożliwe, niebo było stale zachmurzone, ludzie — zgryźliwi i bez humoru.

Zdawało się, że to już musi być tak.

Pewnego dnia po południu Zagórski wyszedł trochę przed dom, aby odetchnąć świeżem powietrzem. I zobaczył cudną rzecz.

Na zachodzie ciężkie, czarne sklepienie chmur zostało trochę podniesione, jakby uchylone, a przez ten otwór tęgim pękiem promieni jasných rzuciło w świat słońce.

Widok, niezrównany co do spokoju, a szarmonizowany i jasny w tonie, jak stara litografia angielska, był niemal orzeźwiający.

Naprzód — gęsto spleciona, czarna, węzłowata sieć konarów starych dwóch jabłoni, na dole zaś, pod niemi, jasne teraz w słońcu, gęste balaski, podobne do złotych rzęs. Przed temi balaskami czerwono-ceglasty kawałek papieru, świecący jak drogocenny klejnot i otoczony przez kury, które zbiegły się podziwiać jego świetność.

Dalej piękne, zielone, równe pole. Za tem polem stalowe sylwety drzew na cmentarzu, głównie trzy smukłe różgi topolowe, koło nich zaś trochę niższe, szersze i ciemniejsze tuje. Za cmentarzem ciemno-zielone wzgórze — potem, niby wata, świecąca w słońcu biała mgła, za nią góra szara, a z poza jej pleców wynurzony daleki grzbiet, błękitny, rozpromieniony. Nad tem wszystkim niebo stalowo-niebieskie, podłużnymi szalami białych chmur lekko przegowane, zimne, niemal odbijające świat, jak lustro lub czysta woda. A naraz — czarne obramowanie ciężkich, skłębionych chmur. Powiedziałyby kto: Ciężkie futro niedźwiedzie, z którego wygląda jasna, uśmiechnięta, niebiesko-oka twarzyczka.

Zagórski odwrócił się i spojrział w drugą stronę.

Gościniec błotnisty, nad nim karminowe czupryny wierzb. Na ziemi tu i ówdzie błękitnawe płyty śniegu — wszystkie błyski stalowe, zimne. Ściany domów rozjaśnione, białe okna połyskujące, dachy czerwone naraz rozgorzałe, ściany niższych domków siwe. Ale na pierwszy plan wybija się stary domek parterowy o ścianach białych z niebieskawym odcieniem i ze strzechą, zupełnie na oczy nasuniętą — jak czapka albo kapelusz zafrasowanego czy drzemiącego chłopca. Ta strzecha-czapa jest precudna, miękka, jak z aksamitu czy pluszu, ciepła, puszysta, gruba ciemno-zielona, z prześlicznymi, pawłowymi odcieniami. Tak pięknymi, rzadkimi farbami maluje tylko czas. A nad tem wszystkim znowu, silniej i mocniej rozgorzałem, niebo posępnie chmurne i uparcie czarne, mimo ostrzeliwujących je promieni słonecznych.

Błysnął czerwonymi oczyma dwóch małych okienek poczciwy, stary dom pod zieloną strzechą. Jużci, mieszkają tam ludzie...

Zagórski ich zna. Troje wszystkiego, zamożni, dobrze się im powodzi, mogliby być szczęśliwi. A nie są. Czemu? Bo się kłóć. Kłóć się tak, że nieraz zwarty tłum otacza dom, a przysłuchując się gniewnym głosom, pokłada się ze śmiechu.

A tedy — lepiej nie mówić o ludziach, lecz patrzeć na zachód, w słońce...

Ściekające powoli z rynien krople, dogadują dźwięcznie i rytmicznie:

— Tak, tak, tak, tak, tak, tak...

Na zachodzie góry, przepasane w biodrach białymi szarfami mgieł, zdają się rósć. Niebo nad nimi czyste, chłodne, seledynowe, śmieje się. Uchy-

liło trochę czarnej pokrywy chmur, spojrzęło, śmiejąc się, co się tam pod nią dzieje i — zniknie.

— Kiedy indziej do was przyjdę! — żartuje. —
Dziś nie mam czasu!

Ciemne niebo odwinęło się po obu brzegach, pokazując płomienisto-szkarłatną podszewkę.

Słońce zaszło.

Ale w chmurach pozostał jeszcze jego gorący blask i oto nad światem wznosi się przedziwne, kunsztowne sklepienie z ciemno-granatowego marmuru, żyłkowanego czerwono.

Czarnemi, upstrzonymi śniegiem polami rozlażą się na wszystkie strony złote żuki. To dziewczki, ugięte pod snopami słomy tak, że widać tylko suwające się ciężko nogi i wypukły złoty grzbiet, połyskujący w słońcu.

W niedalekiej stodole zaczyna rytmicznie grać sieczkarnia. Jest to niby jednostajny, wciąż w tym samym rytmie powtarzający się równo akord na skrzypcach i wioli — coś w rodzaju włoskiego akompanjamentu do bardzo starej, ale wiecznie słodkiej, rzewnej kawatiny.

Błysk słońca zgasł.

Zagórski westchnął i szybkim krokiem skierował się ku domowi.

* * *

G

ościniec.
Trudno, aby go Zagórski nie obserwował. Ma go przecież wciąż przed oczyma.

Jest to długa, dość szeroka, jasna taśma. Coś w rodzaju wstęgi filmowej. Widać na niej wszystkich

mieszkańców miasteczka. Każdy musi tędy od czasu do czasu przejść.

Tło stanowią dwa parterowe domki, między niemi, przysypana śniegiem, prostopadła do gościńca, idzie droga polna, w głębi drzewo dość dziwnego kształtu, przypominające, rzekłbyś, zwierza, który stanął na tylnych łapach, a przedniemi niezgrabnie wywija w powietrzu. Nad tym ubogim i skromnym pejzażem niebo obwisłe, szare, posepne.

U przecięcia drogi polnej z gościńcem, znajduje się staroświecka, prymitywna studnia cembrowana, z której czerpie się wodę za pomocą długiej żerdzi.

W lecie, w dni jarmarczne i podczas żniw, unoszą się nad studnią obłoki pyłu; w zimie woda jest lepsza. Czerpanie z tej studni nie należy do rzeczy łatwych, przytem, ile razy ktoś napelnione naczynie wyciągnie i postawi na cembrowaniu, woda oblewa mu nogi. Ludzie klną wówczas, na czem świat stoi, zwłaszcza w zimie, gdy woda zimna jest, jak lód, dziewczęta zaś z domów, zgrupowanych dokoła studni, wybiegają po wodę przeważnie w pantoflach, nałożonych na boscie nogi. Zdaleka już widać na śniegu ich czerwone nogi i obnażone po łokcie, czerwone z zimna ręce. Każda z nich chwytą kulę czyli żerdź, wywija nią w powietrzu, spuszcza w studnię, wyciąga wiadro, piszczy, znowu wywija żerdzią, kładzie ją na studni i ucieka, jak oparzona.

Najczęściej jednak widać na ulicy panią Maślakową. Wysoka, zdrowa, dorodna kobieta tanecznym, trochę sztucznym krokiem wciąż krąży koło domu, trzymając cały gościniec pod bezustanną kontrolą. Ma donośny, dźwięczny, melodyjny głos, któ-

rym też świetnie włada, słyhać go wciąż wibrujący, przenikliwy, wszechobecny. Żywa, wesola, pomysłowa, pani Maślakowa zaczepia każdego chłopca, każdą kobietę wiejską, wszystko targuje, każdego musi wybadać, co ma, skąd i dokąd idzie, wszystko ją obchodzi. Jak pieski uganiają za nią dzieci, wśród nich stale trzymająca się za ręce para bliźniaków, tak podobnych do siebie, że matka podczas kąpieli zawiązuje jednemu z nich wstążeczkę na szyi. Cieszy się opinią znakomitej gospodyni, a o jej tucznym wieprzku, którego chętnie ciekawym pokazuje, mówi, że jest wielki, jak słoń.

To są figury z najbliższego sąsiedztwa, widziane najczęściej.

Ruch kołowy na gościńcu dość duży. Przejeżdżają przeważnie wozy z gór z drzewem. Na długich pniach siedzą osowiali i obrzękli z zimna parobcy o czerwonych twarzach. Ten i ów, siedząc na pniu, jak woltyżer, bije się po bokach wielkimi łapami w czarnych rękawicach. Za wozem musi się koniecznie wlec po ziemi zielony czub sosny. Prócz tego jadą chłopskie wozy, czasem sanie z drzewem na opał, rzadko kiedy bryczka z kimś z obywatelstwa lub księżmi. Koło południa i po południu ruch na chwilę się wzmaga; jedzie poczta, podróżni na kolej, a tu i ówdzie cwałuje na pocztę posłaniec konny z odleglejszych wsi.

Prawie codziennie odzywa się od strony rynku głośnie, głuche: łup-łup-łup-łup-łup! To policjant miejski, waląc w stary bęben, ogłasza, że ma coś do obwieszczenia. Z każdej chałupy wypada ktoś na drogę, najczęściej dziewczęta, za nimi dzieci i psy. Wszystko staje na gościńcu w oczekującej,

uważnej pozie. Huk bębna milknie i od strony rynku, z odległości dobrych kilkuset kroków leci donośne, jak dźwięk trąbki: Poda—je się du pu—blicznej wiadomości!

Co się podaje, nie zawsze zgadnąć można, bo w tej chwili, jak na złość, albo się wichur zerwie, albo pies zacznie szczekać, albo wozy z góry nadjadą. Więc sąsiedzi klną policjanta, ale przecież wieść idzie dalej z ust do ust, jak hasło: Podatek gruntowy! Asenterunek! Asekuracyjo! Licytacyjo na drzewo! Cukier w składnicy! Padnie kilka uwag, poczem ludzie wracają do roboty.

Od czasu do czasu zjawi się na gościńcu kilka bab zakutanych, lub silne, twarde, krzepkie figury chłopów. Ale chłopami Zagórski się nie interesuje. Jego świat kończy się u ostatnich domów miasteczka, to, co jest dalej, to już świat zupełnie inny, nieznan, obcy, rządzący się innymi prawami, niemal rasowo odmienny.

Idzie z miasta do domu pan leśniczy w zielonkawym mundurze leśników niemieckich, w kapełuszu zielonym, z kitką z tyłu, na grzbiecie dźwiga wypchany plecak. Spotkał się z wracającym do miasta z patrolu policjantem. Policjant ubrany jest doskonale, ciepło, zgrabnie, na mocnej głowie ma płaską czapkę z białym orzełkiem, na ramieniu krótki karabin z bagnietem. Widać jego kańciastą, ogoloną, czerwoną z zimna twarz. Leśniczy częstuje policjanta papierosem.

A oto sensacja:

Ni stąd ni zowąd zjawił się na gościńcu rzeźnik, młody chłopak, napół po wojskowemu ubrany, z nożami rzeźnickimi, wetkniętymi za skórzane sztylpy.

Idzie powoli, zmęczony, a na drążkach niesie kilka-
naście kielbas do wędzenia. Ludziom to nic, ale
psy uważają takie zapowietrzenie ich dzielnicy za
bezczelną prowokację. Zrywa się powszechne uja-
danie, widać nawet coś w rodzaju agitacji. Pewien
czarny kundys w białe łaty, znany zresztą powszech-
nie jako ostatni tchórz, szczeka najzjadlej i obla-
tuje z pyskiem wszystkie podwórza. Najwidoczniej
agituje. Bez powodzenia. Rzeźnik znika — psy też.

Przez jakiś czas jest zupełnie pusto. Białą dzień,
a na gościńcu ani żywej duszy. Po lewej stronie
widać narożne domy rynku, po prawej gościniec
pnie się zlekka w górę między wierzbami czerwono-
brunatnymi na granatowym tle gór. I tylko wicher
wyje tak, że w konarach drzew gra coś nakształt
trąb.

Gromadkami wracają ze szkoły dzieci. Nie śpie-
szą się bardzo, przeciwnie, zbytkują po drodze. Ot,
gościńcem wlecze się dziaduś ubogi. A że to kraj
twardy, bezlitosny i na biednych wcale nie łaskawy,
więc dziadusie bywają tu opryskliwi, źli, warkliwi
i skorzy do zmacania kości kijem. Wiedzą o tem
dzieci, dziadusiów się boją. Wszak-ci tu gadka mówi,
że jeden dziaduś wziął dziewczynkę niby na służbę
do siebie, zaprowadził ją do lasu i nożów jej w oczy
nawbijał. Więc tu i ówdzie z gromadki kamień
gwizdnie, szczute pocichu psy następują na pięty
dziadom, którzy się opędzają od nich koszturami
i głośno łąją dzieci, wygrażając im czarami i urokami.
I dzieci przelęknione uciekają, bo a nuż dziaduś
chleb w kamień zamieni lub odmieni krowie mleko,
tak, że krew będzie dawała! Zwykle odprawia się go
delikatnie ceremonjalnem: — Niech Pan Bóg opatrzy!

Za to jest nowa rozrywka: Z chederu idą dzieci żydowskie. Zbite w gromadkę, trzymając się mocno za ręce, drepce kilkanaścioro żydźiąt, spłoszonych, nieśmiałych. Z za płotu wypada nagle malutki Maślaczek i sam jeden rozpoczyna gwałtowną ofensywę na żydowski legjon. Z pasją rzuca kamieniami, grudami ziemi, śniegiem. Za każdym takim „strzałem“ cała żydowska gromadka podrywa się i pierzcha, oglądając się tchórzliwie za siebie, wreszcie zmyka cwałem.

Po raz może pięćdziesiąty w jednym i tym samym dniu sunie do miasta majestatycznie Palpieron, czcigodny i poczciwy gulon, z zawodu szewc, z zamiłowania furman, a między innymi także i radny miasta. Szewstwem się już nie trudni, partolą zamiast niego buty na jarmarki trzej synowie, on zaś, w kozuchu, butach z cholewami i czapie albo pozieleniałym ze starości meloniku, z czerwoną gębą i fioletowym nosem, godzinami wystaje w pobliżu narożnych szynków, czekając na pasażera albo sposobność wypicia. Chłop dobry, filozof, zawsze się ironicznie uśmiecha, z niczego sobie nic nie robi i na wszystko odpowiada: pal pieron!

Sztywnym krokiem, szeroko rozstawiając nogi, wypinając brzuszek i ze srogim obliczem, pełnym namaszczenia, dąży ku domowi z sądu pan Romaniszyn. Siedemnaście lat już chodzi tak z domu do sądu i z sądu do domu pan Romaniszyn, punktualnie, regularnie i zawsze temi samymi ulicami.

Znowu zgiełk w psiej gromadzie. Elastycznie, w drobnych podskokach biegnie gościńcem dumny, biały, rasowy chart o cienkiej, wydłużonej mordzie i długiej, gęstej sierści. Nazywa się Rigo. O tego psa

pogniewała się panna Wanda na Zagórskiego, tak, że na zawsze straciła do niego serce. Zagórski zapytał ją raz, czy wie, skąd pochodzi nazwa psa, a gdy się pokazało, że panna nie wie, opowiedział jej pikantną historję o pięknej księżniczce Chimay i skrzyпку cygańskim, nazwiskiem Rigo. Myślał, że panienkę ubawi, ale panna Wanda, jak większość prowincjonalnych piękności, nie potrzebowała żadnych „nauk“ i obraziła się. Tedy ten właśnie Rigo biegnie sobie gościńcem, obszczekiwany zajadle przez wszystkie psy, które go nienawidzą. Za nim panna Wanda, strojna i siejąca bujnemi bokami, przy niej Elza, ze smutną miną zakochanej szwaczki wiedeńskiej, drepcząca jak kura.

Nadchodzi czas promenady.

Wiecznie w tę samą stronę, ku klasztorowi, bo tam sucho, nie patrząc już nawet ani na góry, ani na pola, znane, nudne, obrzydłe, z głowami spuszczone na dół, wychodzą mieszkańcy miasteczka użyć dla higieny trochę ruchu i powietrza. Siejąc wydatnie idą panie prowincjonalne, gnąc się w traversach i ukłonach, wymijają błoto, wdzięcznie unoszą sukienki i na tym wiejskim gościńcu są tak urocze i pełne szyku, jak na promenadzie w Kołomyi lub Brodach. Z miną łaskawie uśmiechniętego Cezara, wygolony, starannie ubrany, kroczy pan radca, nie zrównanie uprzejmy, a tak grzeczny, jak gdyby nie było ani wielkiej wojny, ani rewolucji. Człapiąc olbrzymiemi kaloszami, czerwony, uśmiechnięty do brotliwie a nieśmiało, wali w stronę klasztoru ogromny ksiądz wikary. Znowu kilku inteligentów. Czarni, dostojni, w futrach, z podniesionemi wysoko kołnier-

rzami, idą godnie i poważnie, rozmawiając z sobą uprzejmie.

Szybkim krokiem podąża naprzód pan rejent. Spozrzęglszy Zagórskiego kłania się, chce się zatrzymać, nie może się zdecydować, mijając go mruga filuternie prawem okiem, na co Zagórski odpowiada niewyraźnym uśmiechem. Wobec tego pan rejent podchodzi do niego i wita się:

— Jak się macie, towarzyszu!

Zagórski nie jest socjalistą, ale pan rejent należy do P. P. S. i — „pour épater le bourgeois“ — zawsze to zaznacza.

— Przyjechaliście już, przyjechali?

Zagórski miałby wielki gust odpowiedzieć, że nie, ale — nie może. Więc obwieszcza:

— Przyjechałem!

Rejent zdaje się zgadzać z tem twierdzeniem.

— A widziałem was przed kilku dniami na rynku, jakeście rozmawiali ze starym Bromińskim. Pomyślałem sobie zaraz, żeście widać przyjechali!

Błękitne oczy rejenta uśmiechają się łaskawie.

— I cóż ta słyhać? Gadajcież! Byliście na zjeździe?

— Na jakim zjeździe? O niczem nie wiem...

— No, tego tego tego tego tego ten! — zatrajko-
tał szybko rejent. — W Łodzi był przecie zjazd
lewego odłamu partji.

— Rejencie, zrozumiejcież raz, że mnie partje
nic nie obchodzą... Tyle razy wam mówiłem!

— Tak? — pyta rejent, zaglądając Zagórskiemu
głęboko w oczy. — Ja myślałem, towarzyszu, że się
przyłączycie do nas...

Ta mała propaganda to niby dowód politycznej żywotności rejenta.

— Nie przyłączę się do nikogo! — odpowiada cierpliwie Zagórski.

— No, to do widzenia, towarzyszu!

— Do widzenia!

— Cześć! — woła pan rejent, a w duchu sobie mówi: — Krypto-endeck!

Skoro panie mogą iść na przechadzkę, to Czarna Zośka może też. Więc idzie — ubrana dziwacznie, fantastycznie, jak warjotka, którą też jest. Warjotka, szalona, dlaczego? Któż może wiedzieć? Kto tam w to kiedy wchodził! Wiadomo tyle tylko, że matka Czarnej Zośki, ponoć bardzo ładna dziewczyna, służyła kiedyś w jakimś dworze i z tego dworu, z tej służby pochodzi Czarna Zośka — smagła, mocno zbudowana, z ciemnymi, szalonymi oczami. Biedac two, służy, myje po domach, najmuje się do różnej roboty, a wciąż myśli o tem, żeby wyjść zamaż. Wszyscy ją znają, wiedzą. Przyjdzie pierwszy lepszy chłopak, powie na śmiech: — Zośka, ożenię się z tobą! — zaraz go do swej izdebki prowadzi, za ostatnie marki posyła po wódkę i kielbasę — i już jest wesele! A chłopcy się potem śmieją! Czarna Zośka już tak przywykła, że nawet nie płacze. Ubierze się w łachmany pstrokate, włoży na głowę niby kapeluszek i znowu idzie na spacer — szukać.

Od strony rynku pojawia się skombinowana figura: Człowiek ślaniający się na czterech nogach. Zrazu nie wiadomo, co to takiego, po pewnym czasie widać: Ktoś pędzi ciele. Oczywiście — Duwcio. Popędza opierającą się ofiarę, wreszcie wpycha ją do sieni swego domu.

— Jutro będzie znowu cielęcina na obiad! —
myśli z niechęcią Zagórski.

A wtem — coś wesołego!

Gościńcem w dziwnych podskokach, w łamanym łańcu pijackim zatacza się człowiek. Wywija szeroko i zamazyście rękami, szeroko i ryzykownie przestępuje z nogi na nogę. Ubranie w strzępach, kapelusz ma fantastycznie zwarjowany, stopy w nieprawdopodobnych fragmentach czegoś, co nawet na wspomnienie obuwia nie wygląda, z tyłu zatknięta za pas siekiera. Czerwona, obrzękła gęba straciła już wogóle wszelki kształt, cechuje ją tylko szeroka, czarna linja wąsów, przecinająca ją na dwoje. Strasznie wygląda ten człowiek, miotający się po gościńcu, jak bijący skrzydłami, postrzelony, ciężko ranny ptak. I istotnie — jest ciężko ranny, jest na śmierć skazany i sam wie o tem dobrze — nieuleczalny alkoholik. Ale dopóki żyje — płaci, nikomu nic nie jest winien. Niema pilniejszego i uczciwszego od niego robotnika, pracuje niezmqdowanie cały dzień, ale za to wieczór należy do niego; upić się musi. Żyje jak pies? Nie. Jest zupełnie szczęśliwy. Ma wszystko, czego potrzebuje, nikomu niczego nie zazdrości, niczego mu nie żal, cieszy się życiem znacznie częściej, niż drudzy.

Przytoczył się wreszcie pod figurę świętego Jana i snąc biorąc ją za człowieka żywego, zaczął bełkotać.

— Jo? Jo jezdem Rościcha. Franek. Mnie tu wszyscy znajom. Jo nikomu nic nie robie. Jezdem grzeczny — Rościcha, Franek. Upiłem się? A popiłem, popiłem — świen-ta prawdo! Ale jo nikomu nic

nie robie — do haupy ide... Rościcha... Kuźden
mie tu zna... Popilem — za swoje...

Tak tłumacząc się i usprawiedliwiając, zato-
czył się na drogę wiejską i zniknął między chału-
pami.

Sciemniało się. W chatach i domach rozżarzają
się czerwone światła. W powietrzu czuć suchy za-
pach dymu, bijącego z kominów.

Jeszcze ktoś wypada po wodę. Wiadro z brzę-
kiem uderza o cembrowinę studni. To Zosia.

Jakby na dany znak wybiega Paolka od Maśla-
ków i Salcia od Wurmerów. Rozmawiają półgłosem.

— Jadę jutro do Wiśnicza po metrykę! — oświad-
cza panna Zosia. — Koniecznie potrzebna do ślubu.

— Przykrą będzie miała dziewczyna drogę! —
myśli z współczuciem Zagórski.

Przy studni wciąż jeszcze szepty, chichoty, po-
tem głośny, nieszczerzy śmiech, urągliwe, zły.

— Bardzo jej już śpieszno! — mówi czyjś głos.

Szybkim krokiem idzie od miasta zakonnik, ka-
techeta; wygląda jak kula, tocząca się gościńcem,
prawie równocześnie odzywa się w klasztorze dzwo-
nek.

Wicher wyje.

Gościniec puścieje, zdaje się wyciągać, tężeć,
wreszcie zasypia, obumiera.

Przykrywa go noc.

Zagórski podniósł w górę kołnierz kurtki i po-
szedł ku rynkowi na kieliszek wódki.

*

*

*

Szynków w mieście było dość i rozmaitych, zwłaszcza w rynku. Co do jakości trunków i szynkar-
skiej kultury, prym trzymała stara arendarska ży-
dowska rodzina Huppertów, kiedyś nawet dość po-
pularna w miasteczku; Huppertowa, stara, ociężała
Żydówka, ze śladami niezwyklej piękności na twa-
rzy, miewała kiedyś pono znakomite trunki w wiel-
kim wyborze, niezłą kuchnię i co najważniejsze,
umiała się dobrze obchodzić z piwem, tak, że nawet
najwyżsi dostojnicy w miasteczku szynku jej nie
omijali, ale od czasu „wybuchu Polski“, kiedy jej
chłopi całe urządzenie zdemolowali, towar rozkradli
a nawet o mało szynku nie spalili, wszystko się
zmieniło. Miasteczko jakby straciło serce do Żydówki,
goście szynk omijali a i stara Huppertowa, zniechę-
cona i dotknięta do żywego, nie dbała o interes tak
jak dawniej. Piwo było tam wciąż jeszcze znośne,
ale atmosfera przykra i ponura. Zachodzili do Hup-
pertowej tłumnie w czasie jarmarku chłopci, także
ludzie z miasteczka brali od niej spirytus, wiedząc,
że jest najczystszy, ale nie chodzili już do niej nie
tylko z jakiejś niewytłumaczonej niechęci, lecz sto-
sownie do nowego powojennego zwyczaju picia
wódki w domu, w samotności, tak, aby nikt nic nie
widział i nie wiedział.

Był drugi szynk, niby renomowany, również
w rynku, założony przez burmistrzą i w którym zgro-
madzali się guloni. W lokalu ciasnym, ciemnym, źle
opalanym, brudnym, znajdowało się zaledwo parę
stołów, za którymi na kiwających się ławach sie-
dzeli goście, zabawiający się przy świetle łojówki,
wetkniętej w szyjkę butelki a umieszczonej wysoko
na szafie. W głębi, w ciasnym przejściu do ciemnej

alkowy, gdzie wśród beczek stał stół dla gości, pragnących wypić czy porozmawiać spokojnie na uboczu, huczał a częściej dymił mały piecyk żelazny, na którym czasem syczał czajnik z herbatą, czasem gotowała się kielbasa. Przy tym piecyku grzali się piwosze, siedzący na nielicznych krzeselkach i na łęczułkach. Tuż w kącie szczękała w beczce z piwem pipa. Była to właściwie ciemna, zimna nora, źle zamiatana, cuchnąca spirytusem, zwietrzałem piwem, moskalami, tanim tytoniem i wyziewami z piecyka. Twarzy się w półmroku nie widziało, kontury postaci ludzkich zamazywały się, a poruszający się po ścianach i powale gąszcz niespokojnych, czarnych cieniów sprawiał wrażenie, jakgdyby szynk był natłoczony jakimiś figurami z pod ciemnej gwiazdy. Na pierwszy rzut oka szynk wyglądał jak bar górników w Klondyke lub kantyna nadwiślańskich czy kolejowych barabów. Zagórski zaglądał czasem do tego szynku, aby się zbliżyć przyjrzeć gulonom, porozmawiać z nimi i dowiedzieć się, o czym ludzie mówią w miasteczku.

Najchętniej jednak chodził do restauracji Wykupa, właściciela również obszernego szynku w starej narożnej kamienicy w rynku. Prawda, tam też nie było nic nadzwyczajnego, wódka kiepska i otrząsająca, jak wszędzie, piwo w zimie zimne, w lecie ciepłe, ale za to ten szynk miał swą historję i to nawet historję sentymentalną. Stary Wykup, typowy szynkarz czy raczej oberżysta prowincjonalny, tłuśty, okrągły jak faska, na gębie czerwony i z nosem purpurowym a gąbczastym, rozumie się, w czapeczce na głowie i z długą fają w ręce, człeczyna,

lubiący wypić i naprawdę przywiązany szczerze do swego szynkfasu, na starość ożenił się i miał żonę nie tylko młodą, ale istotnie ładną, brunetkę o ognistych oczach, w miarę korpulentną a przytem sentymentalną i wielce poetyczną. Starego Wykupa Zagórski znał i lubiał jako typ; lubiał go za jego nieskrywane umiłowanie swego wdzięcznego zawodu. Wykup był szynkarzem starej daty i cenił sobie nie tylko zarobek, ale i gościa; kiedy podawał ociekającą pianą szklankę dobrze nalanego piwa, robił to z radością, wiedząc, że schlebi spragnionemu podniebieniu. Gość był mu równocześnie towarzyszem, któremu służył ale z którym się też i bawił i stąd w całym zachowaniu się starego szynkarza była jowialna dobroduszość, życzliwość dla ludzi, szorstka lecz nie obrażająca poufałość i niczem niezmacona pogoda. A przy jego boku, schludna, elegancka i pełna uśmiechów, dreptała jego czarująca żonka, słodziutko gdacząca pulardka prowincjonalna, dodająca sobie w swem przekonaniu szczególnego wdzięku szerokiem rozłożeniem ramion na zewnątrz i zaciśnięciem piąstek. Gdy tak maszerowała, wymachując pulchnemi ramionami, błyskając różem delikatnych fałdzików w ich przegubach i siejąc umiarkowanie i zgrabnie (a miała czem), wszystkie oczy do niej się śmiały, zaś stary Wykup promieniał.

W tem licho przyniosło do miasteczka na wakacje jakiegoś studenta, prawnika, który u Wykupów zamieszkał. Zbytecznym byłoby rozwodzić się szeroko nad tem, co dalej nastąpiło, jako że nastąpić musiało. Pani Wykupowa zaciskała piąstki coraz silniej, wzdychała coraz rzewniej i „siała“ coraz rozkoszniej. I Bóg wie, jak-by się to skończyło, gdyby

nie mądrość, dobroć i niezmacona pogoda starego Wykupa.

— Ty jesteś młoda, ja stary — rzekł raz do żony — nic ze mnie nie masz. Wiem, że się z tym młodym kochasz, no, więc się kochajcie a ja już szynku będę pilnował. Baw się, jak chcesz!

Strasznie to rozrzewniło i wzięło za serce parę kochanków, którzy też, z czystem już i spokojnem sumieniem biegając po okolicznych gajach i wiklach, wielbili gorąco wielkoduszność poczciwego Wykupa i odwiedzali mu się, jak tylko mogli. Ułożono we troje, że student ma się jaknajpilniej uczyć, aby był gotów na wypadek śmierci Wykupa czemprowadzić wziąć ukochaną pod swe opiekuńcze skrzydła. Tak uspokojony co do losu swej małżonki stary szynkarz, patrzył pogodnie w przyszłość i bez trwogi czekał śmierci.

Minęło parę lat, zaczęła się i skończyła Wielka Wojna, student posunął się w nauce o kilka egzaminów, poszedł na wojnę, został audytorem, czuła miłość wciąż trwała, stary Wykup wyszynkował dobrych parę dziesiątek tysięcy piw wielkich i małych i pewnego pięknego, gorącego dnia wiosennego przyszła śmierć, łagodna i bezbolesna. Stary Wykup przestał żyć. Oczywiście, postanowiono mu sprawić pogrzeb wspaniały. Miejscowy chór zarządził nalychmiast parę dorywczych prób w celu przypomnienia sobie repertuaru. Czas był cudowny. Zagórski pamiętał, jak spotkał wracającego z próby terminatora krawieckiego, który, nie mogąc na widok błękitu niebios i świetności słonecznej powstrzymać rozpieającego go uczucia radości, nucił wesoło „W mogile ciemnej...” Rozumie się, tuż za trumną Wykupa z bo-

leściwemi minami szła młoda para, szczęśliwa wdówka w czarnej sukni i w pożyczonym od aptekarzowej długim welonie z krepy...

Czy naprawdę jednak welon ten był własnością pani aptekarzowej? Głos publiczny twierdził, że nie, że to od pani sędziny wszystkie panie w miasteczku welonu pożyczają. Szczegół ten nie był tak mało znaczący, jakby się zdawało, bo kiedy w trzy miesiące później wdówka wraz z narzeczonym udała się na plebanję, aby dać na zapowiedzi, zły pies księdza dziekana podarł jej welon, skutkiem czego w miasteczku wynikła kwestja, co na to sędzina powie i kto jej welon odda — aptekarzowa czy Wykupowa.

— Będzie musiała Wykupowa po welon do Tarnowa jechać — zakonkludowano. — Ale to nie szkodzi, ona jeździć lubi.

W kilka miesięcy później pani Wykupowa została panią kapitanową czy audytorową i wyjechała z mężem na Pomorze. Z gulonki stała się panią i poszła w świat szeroki, bywać w teatrach, na koncertach, kąpać się w morzu, składać z mężem wizyty w domach pułkowników, majorów, kapitanów i przyjmować w swym salonie pułkowników, podpułkowników, majorów i kapitanów. Ale szynku nie zwinęła; zostawiła go rodzicom, których sprowadziła z Krakowa i osadziła w swym mieszkaniu. W ich rękach spoczywało też kierownictwo „restauracji“.

Kiedy Zagórski zbliżał się do rynku, wybiegła naraz z za rogu gromada chłopczyków. Widać uciekali przed kimś, snadź jednak niebezpieczeństwo nie było wielkie, bo chłopcy biegnąc, chichotali, a roz-

sypawszy się, po kilkunastu krokach przystanąli i zaczęli coś drwiąco pokrzykiwać. Odpowiedziało im na to silne trzaśnięcie drzwiami, z których popywał się na rynek drobniutki, jasny dźwięk dzwonka — ni to śmiech szyderczy, ni to bolesny jęk.

Zagórski zmacał laską schody, wszedł ostrożnie i otworzył drzwi. Znow się dzwonek nad jego głową rozdzwonił.

Na środku obszernej, mrocznej sali stał mały, karłowaty człowieczek, który na dźwięk dzwonka odwrócił się tak gwałtownie, jak gdyby go coś ukłuło. Od dużej czapki z czarnego baranka, zsuniętej trochę na tył głowy, padał taki cień na twarz, że jej widać nie było, a mimo to Zagórski wyczuł, że twarz ta wykrzywiona jest grymasem gniewu.

— Co się panu stało? — zapytał zdziwiony.

— Nic! Nic! — zaskrzeczał zcicha staruszek. —

Sługa pana filologa, cześć. Ja myślałem, że to znów te łapserdaki. Dawno już pana filologa nie widziałem.

— Nic było mnie kilka miesięcy w domu. Cóż u pana słyhać? Żona zdrowa? — pytał Zagórski, podając staremu rękę.

— Ot, jakoś się tę biedę klepie! Aleśmy, Bogu dzięki, zdrowi. Bóg zapłać panu filologowi za uprzejme zapytanie.

Staruszek, prawie karzeł, z nogami wykrzywionymi od kolan na zewnątrz, jak się to mówi „po piekarsku“, w grubej kurtce, dodający sobie wzrostu wysoką czapą, wyglądał niesłychanie komicznie i potwornie zarazem, jakby żywcem wyjęty z opowieści Hoffmanna. Kiedy podkręcił knot i światło lampy padło na jego szeroką mongolską twarz z wystają-

ceni kośćmi policzkowemi i z krótko przyciętym, biało-szarym wąsem, zdawało się, że to jakiś demon paskudny przystawił do lampy swą obrzydliwą mordę, drgającą jeszcze ostatniemi błyskawicami złości; ale blado-niebieskie oczy tego człowieka były jasne a czyste i naiwne, jak oczy dziecka, Zagórski zaś wiedział, że jest to śmieszny, ale bardzo pocziwy i dobroduszny staruszek.

— Daj mi pan kieliszek wódki, tylko czystej.

— Większy?

— Niech będzie większy.

Zagórski usiadł przy szynkfasie i rozejrzał się po sali. W ciemnym kącie trzech woźniców dopijało półkwaterek wódki.

— Co się otrząsasza? — mówił jeden wielkim basem. — Jak ci wódka nie lubuje, to nie pij...

Wstali. Jeden z nich podszedł do szynkfasu.

— Co się należy?

Stary oparł się rękami o ladę, wpatrzył się w stojącego swemi okrągłemi wodnistemi oczyma i wyskrzeczwał jakąś sumę.

— Aż tyle! — zdziwił się chłop. — I za cóż to?

— Jak ja wam mówię, że tyle, to tyle! — oburzył się staruszek. — Wy mnie nie będziecie uczyć rachować!

Chłop się nadał, zapłacił i wyszedł bez pożegnania.

— Bardzo krótko pan trzyma swych gości! — zauważył Zagórski z uśmiechem. — On ma przecież prawo wiedzieć, ile za co zapłacił.

Stary zirytował się.

— Poco to udawać, kiedy on rachować nie umie!
— wykrzyknął. — Żyd mu wyliczy: To tyle, tamto
tyle, chłop kiwa głową, udaje że rozumie, a Żyd go
przecież oszuka. Ja nie kradnę, za stary jestem,
czysty muszę na sąd boski iść...

— Jakże się panu powodzi? — zmienił Zagórski
temat.

— Sam pan widzi. Pusto. Żywej duszy niema,
a drożyna coraz większa i konkurencja dokucza.

— No, przynajmniej w jarmark pan zarobi...

— W jarmark? — zaśpiewał stary. — Albo to
pan nie wie, jacy tu ludzie są? W ostatni jarmark
przyszła podwyżka cen na spirytus, w sam jarmark.
Ja nic o tem nie wiedziałem, sprzedawałem po sta-
rej cenie. Widzę — strasznie u mnie spirytus ku-
pują — i Huppertowa bierze i burmistrz i Rogacz
i Blumenfeld — cała konkurencja. Dopiero po jar-
marku się dowiedziałem. Nietylko, że mnie nie
ostrzegli — sąsiedzi! — ale jeszcze po niższej cenie
spirytus u mnie wykupili, a po wyższej sami sprze-
dawali! Tak ja, panie filologu, w ten jarmark za-
robiłem!

— Albo, proszę pana filologa, naprzykład takie
podstępny: Wszyscy zdawna wiedzą, że wesela chłop-
skie zawsze do Wykupa zajeżdżały. A Rogacz mi
wesela odmawia. Tam u niego, za tem przepierze-
niem miejsca nawet niema, nie szkodzi, byle tylko
odmówić. A onemu, panie filologu, nawet wódki
sprzedawać nie wolno, koncesji niema.

— Zróbcie doniesienie!

— Nic nie pomoże! Sam pan doktor u niego był
na inspekcji i zakazał mu szynkowania wódki przy
jalce, że to wbrew przepisom, to wyleciał za do-

ktorem na rynek i tak go skłął, jak ostatniego psa! Do bicia się rwał. On paskarz, świnie do Czech i do Niemiec wywozi, jemu nikt nic nie robi. Pieńędzy ma, jak lodu, zdaje mu się, że całe miasto jego.

W tej chwili zajęczał przeraźliwie dzwonek, ktoś pchnął drzwiami, które się rozleciały i z brzękiem i hałasem uderzyły o ścianę, a młode głosy zaczęły wykrzykiwać jakieś dziwne słowa.

Zagórski spojrział zdziwiony, staruszek zaś zerwał się i krzycząc głośno, pobiegł ku drzwiom:

— Wy paupry uprzykrzone, łajdusy, Antki, urwipołcie, wy smarkacze nieznośni, pójdziecie mi stąd!

— Majster Bobo! Majster Bobo! Majster Bobo!
— wołały rozbawione pacholęce głosiki.

— Ja wam dam majstra Boba! — krzyczał staruszek, pieniąc się ze złości.

— Majster Bobo! Majster Bobo!

Zadudniały kroki uciekających.

Znowu zadźwięczał dzwonek drzwi, które stary z pasją zatrzasnął.

Człapiąc wydeptanemi pantoflami, wyłoniła się z mroku sąsiedniej izby jakaś postać w ciemnych szatach niewieścich, z głową, okutaną czarnym szalem włóczkowym, z pod którego wyglądała twarz żółta, przekrzywiona na bakier od różnych fluksji, z nosem jak zagaszajka i z miną niepokieszoną na wieki. Istota ta, widząc podrażnienie męża, zaczęła mruzczyć, jak niedźwiedź; co mówiła, trudno było zrozumieć. Była to żona staruszka.

— Dobry wieczór pani! Jak się pani ma? — odezwał się na jej widok Zagórski.

— Sami! Sami! — odpowiedziała głucha babcina. — Córka się w morzu kąpie. Pani.

— W zimie się w morzu nie kąpie. Zimno! — krzyknął Zagórski.

— Pani wszystko może! Stary się znowu gniewa.

— Pan nie wie nawet, co to za łajdaki! — pienił się stary.

— Dzieci! Dzieci!

— Dzieci? To nie dzieci! To starzy winni! Wysyłają dzieci, podjudzają, szcują mnie niemi, jak psami, a sami się śmieją, niech pan pomyśli! Ja stary jestem, ja dzieci lubię, sam już na świecie z chorą, starą żoną, a oni na mnie posyłają swoje dzieci! Do żadnego dziecka podejść nie mogę, żadnego nie mogę pogłaskać po pysiu, cukierka dać, bo one się mnie boją, żebym ich nie bił za to „Majster Bobo!“ Staremu człowiekowi świat zatruwają. Ze mnie, starego dziada, straszdyło robią i chochoła, na który dzieci kamieniami rzucają...

Znów dźwięknął przeraźliwie dzwonek i drzwi się otwarły.

— Ciocia Drypcia! Ciocia Drypcia! Ciocia Drypcia! — wołały rozbawione głosy.

— Majster Bobo! Ciocia Drypcia!

— Daj mi wódki, majster Bobo, to nie będę wołał! — odezwał się ordynarny głos. — Daj na rozgrzywkę!

— Ja ci dam rozgrzywkę kijem! — krzyknął stary, lecąc ku drzwiom.

Ale drzwi zatrzasnęły się w porę z żalonym jękiem, a pod oknem rozległ się śmiech uciekających.

Stary wrócił powoli na swe miejsce za szynkfasem i zaczął machinalnie przestawiać kieliszki

i szklanki. Ręce mu drżały, lzy miał w oczach. Czarny tłumok w czarnym zawoju wypuścił z złotej przekrzywionej twarzy kilka krótkich serji żalonych lamentów.

Zagórskiemu zrobiło się przykro.

— I o cóż się pan tak irytuje? — próbował pocieszać starego. — Cóż to znów za straszne przewisko — majster Bobo?

— Majster Bobo to znaczy kominiarz, mój panie, kominiarz, rozumie pan?

— A pan był kominiarzem, czy co?

— Byłem, miałem zakład kominiarski na Podgórzu.

— No więc cóż z tego? Przecie to nie jest żadne hańbiące zajęcie!

— Ale ta złość, ta złość! Nie idzie o przewisko, tylko o tę złość i o to, jak oni się cieszą, jak widzą, że człowieka zabol. Jak chcą dokuczyć, byle czego się czepią. Paskudny naród! A ten ostatni, co o wódkę wołał, to parobek od Rogacza, niby zbikowany. Rogacz go na mnie wysyła, że to niby warjata zamknąć nie można, rozumie pan, ale my to jeszcze zobaczymy!

Kiedy Zagórski wyszedł od Boba, gromadka chłopczysków skradała się znów ku drzwiom szynku. Zagórski skreślił za róg i stanął, a gdy po chwili chłopcy, wrzeszcząc na całe gardło, rzucili się do ucieczki, wypadł na nich i sprawił wśród nich sroga rzeź.

— A swoją drogą przewiska dobrane gienjalnie!
— myślał, wracając do domu — Majster Bobo i ciocia Drypcia!

* * *

Tuż przed świętami nieznośna wichura umilkła, niebo się przetarło, wyrzało z za chmur słońce a błoto ścisnął lekki przymrozek. Zrobiło się na świecie cudownie a szeroka dolina Dunajca stanęła w całym, należnym sobie blasku. Góry z jednej strony zapłonęły złotem słonecznym, z drugiej strony zagrały delikatnym, kobaltowym błękitem; ku wieczorowi te stały się złotawo-fioletowe, tamte, przy zachodzie słońca czarne, po zachodzie zarysowały się na tle złocistej łuny ciemnym granatem — zaś wszędzie świeciły mocno białe ściany wsi, gęsto rozsypanych postokach górskich. Gościniec roziskrzył się zimnemi, niebieskimi refleksami błota i schnących kałuż, zaś wierzby stanęły, jak w ogniu, w szkarłacie swych nastroszonych czupryn.

Zdaleka już widziało się, jak dymią kominy nad czerwonymi dachami miasteczka. Jeszcze-by też! Przez cały tydzień przed świętami młyn był w obłężeniu a po domach do późnej nocy huczały żarna. W składnicy było wszystko, czego dusza zapragnąć mogła: wódki, koniak, wina, rodzynki, orzechy, figi, daktyle, migdały, i wszystko rozchwytywano. A nie tylko mieszczanie. Przed składnicą stało nieraz po kilka nawet wozów chłopskich a zamożni gospodarze kupowali wszystko, co im w rękę wpadło — rzeczy potrzebne na święta a także „coś dla dzieci.“ Sklep stałe był pełny i już w piątek wszystko było wyprzedane. W piątek dlatego, że kto w dzień wilji kupuje, ten cały rok wydawać będzie pieniądze.

Tydzień przedświęteczny zaznaczył się też masywnym mordem co tuczniejszych wieprzków i świń. Rzeźnicy nurzali się w ich tłustej krwi. Ciemno jeszcze było, gdy kwiki żalodne, a jednak mile łech-

całe srogie serce gulona, uderzały o czarne sklepienie nieba w kilku miejscach miasteczka naraz — i noc była nieraz późna, a kwiki te wciąż jeszcze nie ustawały. Napęłniały się krwawe niecki kiszkami i marynowanem mięsem, ustawiano za oknami jędrne, płaskie salcesony, śpieszono do wędzarni z długimi zwojami kielbas, wieszano w śpiżarni długie połcie słoniny.

Oczywiście, w miarę, jak się święta zbliżały, ceny rosły. I to nie tylko ceny na towary, ale także na posługę. Rozrywano biedotę, żywiącą się codzienną, dorywczą posługą, jak rąbanie drzewa, noszenie wody, bielenie ścian i mycie podłóg, kuszono ich dobrymi obiadami, słowem, starano się ich skaptować wszelkimi możliwymi sposobami. Rozumie się, ci specjaliści natychmiast shardzieli i stali się nadzwyczaj wybrednymi.

Łatwo sobie wyobrazić nastrój w domach podczas tych gwałtownych przygotowań świątecznych i nic dziwnego, że mężczyźni chwytali flinty i uciekali w pole straszyć zające. To też całymi dniami rozlegała się dokoła miasta żywa strzelanina, jak gdyby tam walną bitwę toczono.

Ruch świąteczny na gościńcu był wprawdzie niezbyt żywy, ale charakterystyczny. Dziewczęta częściej niż zwykle skupiały się dokoła studni z wiadrami, raz dlatego, że wody trzeba było więcej niż kiedyindziej, powtóre, aby się dowiedzieć, co która z ich pań na święta piecze. Dreptały też żywo gospodynie, pożyczając sobie wzajemnie garnki, formy na babki i inne statki kucharskie. Jednego dnia chodził z opłatkami zakrystjan, drugiego zakonnik z klasztoru. Kręcił się między domami stary Ginda,

olbrzymi, siwowłosa, krzepki żyd, który sprzedawał ryby. Wreszcie zaczęły się pokazywać służące, wraz z paniami dźwigające wanny do stanowczo już nieodzownej kąpieli przedświątecznej, oraz chłopcy, sprzedający choinki.

W dzień wigilji padła na miasteczko powszechna trwoga. Wszystkie, wietrzące się codzień w ogrodach, poduszki, pierzynki, kołdry, kołderki, koce, zniknęły, pochowano najmniejsze, najdrobniejsze przedmioty, a baczne oczy nieustannie czuwały nad domem i jego najbliższym sąsiedztwem. Wiadomo powszechnie, że kto w dzień wilji coś ukradnie, będzie miał cały rok szczęście — należy się zatem baczniej, niż zwykle, wystrzegać złodzieji.

Ale nareszcie wszystko gotowe, gościniec jest już zupełnie pusty, ścichły kroki ludzkie, niebo pociemniało, roziskrzyło się gwiazdami — i już tylko domy brzęczą stłumionym gwarem. Cicha jest ziemia, ciche niebo, czy nie słyszać na wysokościach miękiego szelestu skrzydeł anielskich?

Objąwszy ramieniem pień swego czarnego mdrzewia, Zagórski stoi i słucha. Słucha ciszy, wśród której łagodnie szumią górne konary starego drzewa. Stał tak, wspominając minione i nieobecnych, żałując zmarnotrawionego, wążąc w myśli marną szczyptę tego, co uczynił. Ogarnęło go uczucie pokory tak wielkiej, że myśląc o sobie, aż się litośnie uśmiechnął.

— Józieczku! — dał się słyszeć z werandy głos pani Zagórskiej. — Gdzie ty siedzisz?

— Tu jestem! — zawołał Zagórski z pod mdrzewia.

— Chodźże na wilję! Już podaję.

— Zaraz idę! W tej chwili!

— Zmarzniesz!

Drzwi od werandy zamknęły się i Zagórski został sam.

Noc zgęstniała, gwiazdy świeciły coraz jaśniej.

Modrzew szumiał tak cudnie, jakby w ekstazie śpiewał jakąś modlitwę. Wiatru niby nie było, ale w górnych rejonach każda gałązeczka drzewa śpiewała swą własną pieśń, wszystkie zaś śpiewały zgodnie.

Zagórski odwrócił się.

Za nim płonęły jasno oświetlone okna jego domu — skromnej, cichej świątynki, w której za chwilę miał celebrować cudowne, wzruszające misterjum czarownej nocy Bożego Narodzenia.

— Błogosławię! — przemknęło mu przez myśl.

— Dobre usta i pracowite ręce żony, najukochańsze główki i świecące oczątka dzieci, służącej posłuszną wolę. Guzika wierność oddaną, Kici łagodny wdzięk, gołębi słodkie gruchanie i radosne klaskanie w skrzydła, jabłoni łaskawą szczodrość, drzew szum gęsty i melodyjny.

*

*

*

Wieczór był trochę hałaśliwy, bo po miasteczku zaczęli krążyć kołędnicy. Zagórski odprawiał ich bez żadnych ceremonij, raz dlatego, że dzieci się ich bały, a powtóre, ponieważ podochoceni chłopcy ryczeli i beczeli w sposób nic wspólnego ze śpiewem nie mający; kostjumy były niesłychanie pry-

mitywne, urywki dawnych dialogów bez najmniejszego sensu i deklamowane bez zrozumienia.

Późno w nocy droga zatętniała rozgłośnym tupotem licznych nóg. Rozległy się śpiewy, śmiechy, nawoływania, okrzyki. Zajaśniały okna niskich domków, to tu, to tam trzaskały drzwi, ktoś szybko wybiegał na gościniec. To szli po wilji na pasterkę: chłopci z pobliskich wsi, syci, dostatnio ubrani, weseli, trochę podpici, ale dobrze jeszcze trzymający się na nogach, mieszkańcy dalszych wsi, położonych w górach, zahartowani, skromnych wymagań, nieśmiali i mało obyci z ludźmi, wreszcie samotnicy z gór, nieraz nawet zamożni, ale na odludziu zdziczałi, żyjący przeważnie samym chlebem, ziemniakami i kapustą, w lichej przyrodziewie, nieraz potwornie wykręcone matolki i gardziele, zahukani wśród tłumu i napastowani przez butną młodzież z dolin. Ale nietylko tych dziwaków zaczepiali podochoceni parobcy; znacznie częściej napastowali dziewczęta, zbite w gromadki, a tedy pewne siebie i wcale nie płochliwe. Z tych zaczepiek powstawał ggiełk coraz głośniejszy, bujny, wesoły, tak, iż zdawać się mogło, że ludzie nie do kościoła, lecz na zabawę idą.

— Wieś na pasterkę wali! — myślał Zagórski, układając się do snu.

Niekoniec, oczywiście, na tych figlach po drodze. Młodzież rozbawiona nie uspokoi się nawet w kościele. Zacznie się popychanie i szturchanie dziewcząt, chichotanie, pieszczanie, wykrzykiwanie wyzwisk różnych ku zgorszeniu starszych. Napróżno kościelny pohukuje na młodzież, napróżno wygraża zagaszajką — nikt na niego nie zwraca uwagi,

gorzej, z tłumu padają słowa obelżywe, w pośmie-
wisko podające wysoką godność sługi, a zanadto roz-
wodzące się nad lśniącym fioletem i naroślami na
jego olbrzymim nosie. Dopiero wejście księdza po-
łoży na chwilę koniec temu rozpasaniu, które wresz-
cie niewstrzymanie już wybuchnie w kolendzie, od
której zadrgają i zadzwonią wszystkie trzęsida
w jarzącym świetłami, wielkim, wiszącym świeczniku.

— Wieś na pasterkę wali! — powtórzył Za-
górski.

To znaczy: Przyszedł do miasteczka pachnący
las, przyszedł szum sadów ze zboczów górskich, przy-
leciał świeży powiew wiatru z pól, jakaś siła nie-
objęta, zdrowa, wesoła, śmiejąca się i radosna...

Nie to, co guloni!

Kroki na gościńcu zcichły. Zagórski zasnął.

I na drugi dzień od samego rana wieś prze-
ciągała tryumfalnie ulicami miasteczka.

Pogoda była chmurna, lecz sucha, bezwietrzna.
Przejechał w stronę klasztoru — zdawien dawna
przez okoliczną szlachtę popieranego — powóz z je-
dynego w okolicy dworu, z głośnym turkotem po-
jechało w stronę fary kilka w doskonałe konie za-
prężonych bryk bogatszych kmieci, ale główna ma-
sa waliła pieszo, nawet z dalekich stron, jako że
droga była sucha i czasu dość.

Zawiódłby się jednak srodze, toby myślał że
po strojach odgadnie, z jakich stron kto idzie. Da-
wne barwne stroje wyszły już z użycia, zapanowała
powszechnie moda miejska i to moda w całym zna-
czeniu słowa, bo niejeden chłop wyglądał jak wy-
cięty z żurnalu, a że wielu szło bez płaszców,
można było podziwiać doskonale leżące na nich ma-

rynarki, zapięte na jeden guzik, akcentujące mocno szeroką pierś i okrągło spadające na biodra. Tylko podczas wesel lub innych większych uroczystości widywało się czasem młodych chłopców w czerwonych krakuskach i białych sukmanach z czerwonymi rabatami. Przeważnie jednak widziało się stroje miejskie.

I tak szli chłopcy i młodzi mężczyźni długimi szeregami, równym krokiem, przez całą szerokość gościńca — fala po fali, — a wszyscy ubrani porządnie, czysto, dostatnio. Tu i ówdzie można było zauważyć jakąś część garderoby, przyniesioną z wojska — świadectwo, że młodzież z tych stron wojskowo chętnie służy i służbę tę sobie ceni; gdzieindziej ktoś o większej fantazji przypiął sobie do habiga lub do kurtki różę z czerwonej bibulki ze złotymi trzęsidłami, naogół jednak wyglądali ci parobcy, jak robotnicy miejscy i prawie nie w nich wsiowego nie było, wyjąwszy pewną krzepkość, kanciastość figur i ruchów i zdrową ogorzałość na czerwonych, szerokich i mocnych gębach.

Szczególnie dumnie kroczyli urlopnicy. Wyczyszczeni i według możliwości załatawsi swoje, wiatrem podszyte, khaki mundury, w rogatywkach na prawe ucho zsuniętych, szli żywym krokiem, prawie zawsze stanowiąc centrum szeregu. Po prawej i lewej ich ręce maszerowali ich rówieśnicy, ci, którzy spodziewali się, iż już na przyszły rok pójdą do wojska, a tedy uważali się za pół-żołnierzy. Dalej dreptali młodszy, a na skrzydłach dyndały wyrostki. Ponieważ żołnierz chciał trzymać prym i pokazać, co to żołnierz znaczy, przeto maszerował bardzo szybko, tak, iż najbliżsi sąsiedzi, chcąc mu

dotrzymać kroku i pokazać, że niczem od niego gorsi nie są, aż do bólu naciągali pachwiny, skrzydła zaś szeregu biegły. Tak pocąc się i prześcigając wzajemnie, lecieli do kościoła, szczęśliwi, że mogą iść razem z prawdziwym żołnierzem — on zaś udawał, że tych wysiłków nie widzi, i, choć sam się męczył, szedł swoje dwie mile, jakby go z meldunkiem posłano.

Osobno, szeregami, ale już nie w takim ładzie, szły kobiety i dziewczęta wiejskie, ubrane również po miejsku, nieraz bardzo kosztownie, w lakierkach lub pantofelkach na bardzo wysokich korcach, w szalikach lub chusteczkach na głowach. Ruszały się niezgrabnie, wyglądały karykaturalnie.

— Dużo jeszcze wody w Dunajcu upłynie, zanim one w tych sukniach zaczną być do ludzi podobne! — mówił Zagórski do żony, kiedy szli na zwykłe doroczne przyjęcie do dziekana. — Mało się ubrać, trzeba umieć ubranie nosić. O ileż ładniejsze są te dziewczęta w stroju krakowskim! Ubrane po miejsku tracą wszelki wdzięk. Pod tym względem wieś znacznie zbrzydła.

— A jakie to harde! — mruknęła pani Zagórska. — Ustępują, jak z łaski.

— Nie tylko harde! Patrz, jakie masywne, jędrne, zdrowe, pewne siebie. Chciałbym, żeby tak Lloyd George zobaczył chłopą polskiego u siebie w domu...

— A ja się ich boję! — przyznała się pani Zagórska.

— Bo jesteś mieszcuch, nędzny, zwyrodniały mieszcuch, który patrzy na chłopą, jak na niedźwiedzia.

— Może być, ale mnie się zdaje, że chłop nie jest dla inteligencji usposobiony życzliwie. — Nie zaczepia wprawdzie, ale patrzy jakoś dziwnie, że aż mi się czasem przypomina tłum kijowski z czasów Kiereńskiego.

— A, to widzisz, moja droga...

Zagórski zabierał się do dłuższego wykładu, ale żona trąciła go zlekka i szepnęła.

— Pudłowicze idą!

Szli uroczyści, dostojni, on grożąc swem wyrazistym okiem poskramiacza zwierząt, ona omdlewająco rozkoszna i słodka.

— Jak się macie? — zaśpiewała flecikowym tonem pani Pudłowiczowa. — Idziecie do dziekana? Ładnie, a do nas to nie zagładnicie, zupełnie już o nas zapomnieliście.

Pudłowicz uklonił się z godnością, uchylając kapelusza tym samym gestem, jaki widział w kinematografie u Poincarego.

— Jakże zdrowie? — pytał Zagórskiego. — Tak, nie, dobrze, no, to chwała Bogu, to chwała Bogu. Uważaj, kocino, żebyś się tu nie potknęła.

— Daj mi spokój! — zaśpiewała pani Pudłowiczowa z gniewnym grymasem. — Przecie chodzić chyba umiem!

— Tak, nie! — zaśmiał się Pudłowicz. — Ja cię tak kocham, żebym cię najchętniej na rękach nosił.

— Spraw mi lepiej nowe buciki! — syknęła jadowicie pani Pudłowiczowa.

Pudłowicz, obrażony, umilkł. To już przecie niesprawiedliwość. Bucików jej nie brak, wogóle ubrana jest doskonale. Ma jedwabną suknię najmod-

niejszego kroju, ma lakierki, piękną mufkę, futro, nowy kapelusz — gdzież z nią porównać taką Zagórską w jesiennym paltociku i starej czapce futrzanej, mimo, że to żona prawdziwego profesora gimnazjalnego. Ale trudno z babiną gadać, bo się jeszcze rozzłości i skandal jaki na przyjęciu zrobi.

Wreszcie pokazał się u końca uliczki, otoczonej starymi kasztanami, biały kościół, przy którym znajdowała się plebanja.

— Z pewnością zastaniemy tych samych gości, co na Wielkanoc! — odezwał się Zagórski.

— Tak, nie, rozumie się! — potwierdził Pudłowicz. — Nic się przecie nie zmieniło.

— Psiakrew! Psiakrew! — zaczął Zagórski kłać w nagłym porywie pasji. — Otóż to jest na prowincji najgorsze. Nic się nie zmienia. Moznaby przypuścić, że jakeśmy na Wielkanoc tych gości przy tym stole zostawili, tak oni aż do tej chwili siedzą, nie ruszając się z miejsca. Nic się nie zmienia, nic się nie posuwa ani naprzód, ani w tył, a tylko trwa, nie starzejąc się nawet, a tylko niewidzialnie próchniejąc od wnętrza.

— Tak, nie, ludzie na prowincji żyją długo.

Było, jak Zagórski przewidywał. Ten sam szary tłum wyelegantowanych, starannie zaprasowanych nauczycieli, ten sam czerwony, spocony i zaambarasowany, ogromny wikary, ten sam wyginający się jak fotel składany Bruczkiwicz w czarnej marynarce, lecz w ulubionych butach i briczesach, naturalnie już od rana podchmielony, ten sam wyniosły, sztywny i milczący siwy Józefowicz w czarnym, zbyt luźnym i marszczącym się w fałdy anglezie, te same dowcipy, twarde ukłony, uśmiechy

nieśmiałe lub śmiech zbyt głośny, wymuszona sztuczność ludzi, od towarzystwa odwykłych, a ambitnych, bojących się popełnić jakiś nietakt.

Uśmiechnięty pocziwie, uprzejmy i uważny dziekan krążył wśród gości, częstując prowizorycznie wiśniówką. Tak — narazie, żeby się ludzie trochę rozgrzali, ośmielili.

I tak samo, jak na Wielkanoc zatętniły przed domem kopyta końskie, w oknie mignął powóz, pełen gości i do kancelarji wyspali się państwo Taszyccy, państwo z Rudnicy, oraz ich krewni z Warszawy — goljałowego wzrostu, ręki i nosa, kolos dobroduszny, były minister z żoną i synem, młodym goljatkiem o pocziwiej, dziecięcej minie, lecz niebezpiecznie nieskoordynowanych ruchach rąk. Pan Taszycki skwapliwie zaczął się witać, starannie z uprzejmym uśmiechem i wyciągniętą dłonią obchodząc zebranych i bacząc pilnie, aby kogo nie ominąć, panie, znając prowincjonalną nieśmiałość, witały się na prawo i lewo, nie czekając, aż im kto nieznanym przedstawi; zresztą, może tych nieznanym i nie było nawet, a tylko trudno było ich sobie po półrocznem niewidzeniu przypomnieć. Były minister przywitał się z kilku osobami, a po chwili, ujrzawszy na stole wódkę i kanapki, zaniechał towarzyskiej komedji i z właściwą sobie prostotą przystąpił odrazu do spełniania gęstych a wielkich kielichów wiśniówki i do gruntownego demolowania kanapek.

— Jak się panu ministrowi u nas podoba? — zagadnął któryś z bezimiennych nauczycieli.

— Bardzo! — odpowiedział minister, wsuwając ostrożnie w usta całą kanapkę. — Tu jest doskonały

krawiec, który robi o połowę taniej, niż w Warszawie.

— I powietrze bardzo zdrowe, dodaje apetytu.

— Nie potrzebuję powietrza, mam zawsze dobry apetyt! — rzekł minister, nalewając sobie kielich wódki. — Doskonała wiśniówka. Napije się pan?

— Ten człowiek jest stanowczo z innego świata! — powiedział sobie Zagórski. — Ale z jakiego? Trzebaby zbadać!

Zaczęły się toasty. Wszystkie jeszcze z Wielkiej Nocy, z minionych świąt Bożego Narodzenia, znane, wciąż powtarzane, w nieuniknionym typie wzajemnej adoracji. Jak przed chwilą półmiski z kielbasą, szynką i chlebem, tak teraz podawano sobie z ust do ust słowa uznania i pochwały. Na różne melodie brzmiało wciąż: Niech nam żyje! — lub — Sto lat, sto lat niech żyje nam! — Każdy chciał żyć, nikogo nie pomijano, co chwila zrywano się z miejsc i z pełnemi kieliszkami podchodzono ku komuś, poczem zwracano się ku sobie rozplomienionemi trunkiem twarzami i patrząc sobie wzajemnie uporczywie w oczy, śpiewano, że aż grdyki grały a głowy trzęsły się na wytężonych karkach. Panie ze dworu, wybuchając czasem śmiechem, flirtowały z zaprasowanymi w elegancję nauczycielami ludowymi, pani Pudłowiczowa pochyliła się przed Frankiem Józefowiczem, wołając:

— Ja cię zawsze kochałam, Franusiu, mój jedyny!

Dziekan był zafrasowany, zaś były minister, przejęty życzliwością dla całego świata, rzucał swemu psu wielkie płaty szynki. Wreszcie ktoś wznosił: „Kochajmy się!“ — poczem goście zaczęli się że-

gnać. Z czerwonymi twarzami i zamglonemi oczami wyszły panie ze dworu, trochę niepewnym krokiem pośpieszyli za nimi panowie Taszyccy, Bruczkiwicz ciężko osunął się na fotel i zrobiwszy zamysłoną minę, usnął, zaś reszta wytoczyła się hurmą na ulicę, zmierzając teraz ku Pudłowiczom, potem do radcusia, następnie oczywiście do kolatora Józefowicza.

— A wszędzie wiśniówka, świnia i tort! — narzekał Zagórski.

— Chodź do domu, dam ci barszczu i bigosu! — kusiła pani Zagórska męża, któremu się już z czupryny kurzyło, dosłownie, bo Zagórski, rozgrzany, zdjął czapkę i teraz para biła mu z głowy na zimnem powietrzu.

Ale Zagórski wyrwał się żonie i poszedł wraz z innymi do starego Józefowicza.

* * *

Skubiąc trochę niecierpliwie lewy wąs, z gotowem do pisania piórem w prawej ręce, doktor siedział pochylony nad biurkiem i wpatrzony uporczywie a badawczo w Zagórskiego, słuchał, co mu filolog opowiadał o swych wrażeniach świątecznych. Nieuprzejma poza doktora, najwyraźniej akcentująca chęć pisania, jego milczenie, niecierpliwy ruch lewej ręki, wszystko to nie było bynajmniej zachęcające, a jednak Zagórski nie czuł się bynajmniej *s p e s z o n y* i nie śpieszył do wyjścia. W słonecznym, obszernym pokoju znajdowało się coś, co rzucało

na twardą głowę doktora jasne, migotliwe światło i pozwalało nie brać nazbyt serjo nadętej surowości jego twarzy. Była to stojąca niedaleko doktora na niewielkim stoliku choinka, najeżona różnobarwnymi świeczkami, obwieszona staremi, przygasłymi już błyskotkami i rozrzuconymi pękami lśniących wesoło złotych „włosów anielskich“. Strojne, zgrabne drzewko, ogarnięte szeroką smugą słoneczną i otulone kołyszącymi się lekko kłębami dymu z papierosów, wyglądało jak widne przez mgłę jakieś cudowne drzewo z bajki. Nie zdawało się, aby siedzący u jego stóp starzec, z głową w błyskotliwej aureoli powiastki i dziecięcego szczęścia, mógł naprawdę nie kochać ludzi i gardzić ich obecnością.

— Nastrój pod koniec stał się nawet bardzo miły! — opowiadał Zagórski. — Lody pękły, serca rozłajały.

— *Sursum corda* przy korycie! — mruknął doktor.

— O, jaki też doktor niepocziwy! — oburzył się Zagórski. — Zaraz — przy korycie! No więc cóż? Stwierdzamy, że ci, najrozmaitsi zresztą, ludzie, spotykając się, choćby — jak doktor mówi — u koryta, przecie zbliżają się do siebie, czują się braćmi. ♣

Doktor wzruszył ramionami.

— Do czego pan zmierza?

— Chciałem powiedzieć, że ci ludzie w naszym miasteczku nie są wcale tacy źli, jak się mówi. Zapewne, altruizmem nie grzeszą, ale zdrowy egoizm też grzechem nie jest. Każdy z nich żyje, jak umie. Są może mali, ale nie są źli.

— Widzi pan, tu już zaczyna się zupełnie inna historia. Powiedział pan — ludzie mali. Niechże pan pamięta, że już sama małość wlecze za sobą zwykle różne niecnoty. Pan wie, że ludzie słabi, niskiego wzrostu, lub ułomni, są przeważnie perfidni, złośliwi i przewrotni, podczas gdy ludzie wysocy i mocni —

— Ależ doktorze, jak można być tak bezlitosnym!

Doktor zamknął oczy i pokiwał głową, rzekł:

— A to piła dopiero!

— Jakichże znów Katonów, Arystydesów czy Epaminondasów doktor szuka w tem miasteczku! Przecie to zwykli, przeciętni zjadacze chleba! Czegoż od nich można żądać?

Doktor podniósł powieki i wbił twarde spojrzenia swych jasnych oczu w źrenice Zagórskiego.

— No więc? — zapytał spokojnie.

— Nie można od nich wymagać żadnych nadzwyczajności! Trzeba brać rzeczy tak, jak są!

— A jakże ja je biorę? Czy tak, jak nie są? Wogóle, co pan mi tu wygadujesz! Trzeba myśleć logicznie, zbornie! Widzę, że pan chcesz jaknajlepiej, ale czego pan chcesz, nie mogę odgadnąć. To wszystko jest bezładne, dziecinne, zupełnie nieskoordynowane, to jest kompletne — nic!

— Mój doktorze! Ludzie są, jacy są. Trzeba się liczyć z faktami —

— O, tak! — wtrącił doktor. — Nawet bardzo!

— Należałoby zatem z tego materiału, jaki jest, wyciągnąć jaknajwięcej dobrego. Nie różnić, lecz godzić, nie rozbijać, lecz zlepiać rozbite...

Doktor uśmiechnął się pod wąsem.

— Co za druciarskie pomysły! I co pan chcesz zlepiać? Starą tandetę? Poco?

— Trzeba przecież żyć!

— Ehee! — zaśpiewał doktor. — Tak mi pan gęgasz! Teraz to ja pana rozumiem!

Z pewną siebie, zwycięską miną podsunął gościowi pudełko z papierosami, z miążdżącą uprzejmością podniósł mu własnoręcznie zapaloną zapałkę pod papierosa, omal nie osmaliwszy mu przy tej sposobności wąsa.

— Żyć! Żyć! — rzekł z kocim, słodkim uśmiechem. — Dobrze, mój panie, i owszem, żyć! Ale jeśli już tak koniecznie, tak wszelkimi siłami żyć — to żyć naprawdę, nie szachrować! A tego —

Tu doktor płaską dłońią uderzył w biurko tak, że coś w niem trzasnęło.

— A tego wy nie umiecie! Gorzej — wy się życia boicie!

— I że też doktor może coś podobnego powiedzieć mnie! — oburzył się Zagórski. — Przecież doktor chyba wie. —

— Ależ i owszem. Jestem z całym uznaniem! Syberja, tak, wiem, słyszałem, rozumiem! A to co? To nie Syberja może? I czego panu brakuje? Ciemnych rosyjskich chłopów? Mało panu swoich? Czukczów, Samojedów? Proszę, zechciej pan zapoznać się z gardzielami z gór, z tymi chłopami z wolami, z dwupiętrowymi twarzami, z których pierwsze piętro jest niezabudowane... Przyjrzyj się pan matołkom, z gór, przyjrzyj się pan karłom z wozów leśnych!

— Wiem, wiem!

— Ja też wiem, że pan wie! — zaśmiał się doktor. — I wiem, że panu znane są zamawiania, przerzucanie wola za pomocą zamawiań na wierzby... Wiem! I jeszcze jedno wiem: wszyscy pomi-
jąją to średniowiecze milczeniem, chowają je pod korzec. Czemu? Bo nikomu nie chce się stanąć z tym strasznym światem do walki. I znowu czemu? Bo w tej walce zabobony trzeba zamieniać nowymi twórczemi wartościami kulturalnemi — a o nie trudno, trudno, ja wiem... Tu trzeba ofiary, ofiary z siebie! A tymczasem, —

Doktor oparł brodę na pięści i rzekł drwiąco:

— Pan chcesz wygody!

Tu znów Zagórski uśmiechnął się gorzko.

— Jakiej tam znów wygody! Ładnie ona wygląda — ta moja wygoda!

— Gadaj pan zdrów! A jednak tak jest! Pan się tego kraju boi, pan wie, że cała pańska kultura jest w nim na nic, pan nie wie, którądy tu życie pójdzie — ale żyć się chce! Żyć swoim życiem, swemi starymi nałogami, starymi wartościami — i dlatego pan się chce osłaniać różnemi instytucjami, któreby mogły pana zasłonić, zakryć, dać panu jakąś postawę, pewność i — ten drobiazg, ten drobiazg! o który u nas tak trudno — charakter! Stąd naraz znowu Sokół!

— A choćby nawet tak było?

— Aha! — zaśmiał się gardłowo doktor. — Znaczyłoby, że pan już czuje się pokonanym, martwym! I wy z tem przychodziecie do mnie? I macie żal, że ja nie chcę w tem brać udziału? Pan-eś jeszcze u cycka dyndał, kiedy ja założyłem dwa gniazda sokole, i przy założeniu gimnazjum cieszyńskiego by-

łem i na szkołę w Białej zbierałem — ale robić z tego teraz parawany dla was? — za żadne skarby świata! Pracowałem dla żywych!

— Jeszcze żyjemy!

— Niech pan o tem nie opowiada, niech pan to pokaże! Pola do popisu ma pan aż nadto dość.

Doktór nakreślił szeroki łuk dłonią:

— Sy-ber-ja!

A potem dodał:

— A zresztą — poco ja o tem mówię? Pańską rzeczą jest układanie słowników. I naturalnie, żyjąc tu, musisz pan dążyć do pewnej harmonji z otoczeniem, inaczej — nie mógłbyś pan żyć. Stąd te — druciarskie pomysły. Ale ja tego na serjo brać nie mogę. Pan pragniesz spokoju — nie dziwię się — ja zaś pokój stale odrzucam! Ja pana do wojny nie namawiam, ale —

Tu doktor pokręcił węża.

— Powiedziałeś pan, między innymi, rzecz niezmiernie śmieszną: Należy rzeczy czy ludzi — wszystko jedno! — brać tak, jak są. Frazes! Nie dziwię się temu, bo pan jesteś filolog i masz pan naturalną, wrodzoną skłonność do używania zdań z podręczników konwersacji albo przysłów. Ale znowu: Zastanów się pan! Jeśli panu krawiec robi portki zadługie, to pan weźmiesz je tak, jak są i będziesz je pan piętami w błocie przydeptywał? Prawda, zły przykład wybrałem, filolog jest do tego zdolny, ale — rozumiesz pan? — to są kpiny z ludzi! Et, dajmy spokój, bo się tylko niepotrzebnie zirtują.

Doktór nagle umilkł i zasępił się.

— Pan sobie wyobrażasz oczywiście, że ja jestem stetryczały stary dziwak. Proszę — wyobrażaj pan sobie. Ale ja panu coś powiem: śnił mi się tej nocy jeden kolega, starszy odemnie. Powiedział mi: Ty umrzesz dziś, ja jutro.

— Sen — mara! — rzekł ciepło Zagórski.

— Zgoda, Bóg wiara! I niech się Jego wola dzieje, jestem gotów każdej chwili. A jednak mimo to, kiedy rano wstałem i zobaczyłem ten dzień taki piękny, zapytałem sam siebie: Byłoby ci czego żal, gdybyś tak wieczoru nie doczekał? — do głębi duszy sięgnawszy tem pytaniem, odpowiedziałem sobie, że nie, że niczego żal nie będzie, że gdyby co — tą i dzięki Bogu!

— Ależ dlaczego?

— Ponieważ widzę, że się dzieje źle i to mnie męczy i tej trwogi znosić dłużej nie mogę! Szkoda tylko, że ani jednego syna przy mnie niema!

— Możeby zatelegrafować!

— Oni w wojsku! Nie o to mi zresztą idzie! Widzisz pan: Ludzi prawdziwych mało i to najgorsza rzecz! Doczekałem się cudu niespodziewanego, doczekałem się polskiego państwa! Ja, który już — nie wierzyłem! Tego pan nigdy nie zrozumie! A dziś — wolę już... Dajcie mi pokój. No, ale ja pana bardzo przepraszam, muszę wyjść. Ojoj, la-że to dwunasta dochodzi! A to się zagadałem! Muszę zajść do Mandlowej, bo jej Ryś coś na piersi niedomaga. Także — pokurcz! I to ma być ułan polski! A niechże was wszyscy djabli!

Tu doktor sięgnął po leżący na stole arkusz papieru i podarł go na drobne kawałki.

— Chciałem pisać testament, ale — mam czas popołudniu.

— Chwała Bogu, że doktorowi przeszkodziłem! — zawołał Zagórski.

Wyszli.

— Co za cudny świat! — wykrzyknął półgłosem doktor, patrząc przed siebie napół zmrużonymi oczami.

— O tak, precudowny! — powtórzył Zagórski, spoglądając w górę.

Niebo było jasne, modre, świecące jak błękitny jedwab, blednące w tonie ku brzegom, na horyzoncie, wspaniale ciemniejące ku zenitowi. Na tym błękitcie namalowany był jasny, mroźny dzień. Jakimi farbami? Srebrem głównie, bielą srebrzystą, bardzo jasnym złotem, lekkimi, niebieskawymi cieniami i złoto-czerwonawym różem, niestałym, łatwo ulegającym przecienianiu, olimpijsko-promiennym a mieszającym się za lada tchnieniem.

— Doprawdy, świat wygląda, jakby był ustawiony z drobnych białych koralii pod niebieskim kłosem! — zachwycił się Zagórski. — A drzewa, patrzcie, doktorze, drzewa są z białego puchu i białych, srebrnych piórek.

— Dopiero w taki dzień — mówił doktor — widać całą, niezrównaną strzelistość, z jaką drzewa tryskają z ziemi. Drzewa, okryte liśćmi, są w rysunku przeważnie ciężkie, masa zieleni przytłacza je. A patrz pan, jaki one dziś mają pęd w górę.

— Co za rozkosz niesłychana odetchnąć tem powietrzem! — delectował się Zagórski, oddychając z lubością. — Podobnie słodkiego tchnienia bożego

niema nigdzie na świecie. Zobaczmy, jak nasze góry wyglądają.

Rozejrzał się, ale niewiele zobaczył. Góry, drzewa, pola, wszystko stopiło się w oślepiającym szaroniebieskawym lśnieniu, wszystko zginęło w jasnym żarze, nad którym, niby dym, unosiła się przesłoneczniona, błękitnawa mgiełka.

Stanęli przed domem Zagórskiego.

— No, do widzenia! — odezwał się doktor.

— Sługa pana doktora. A może się jutro gdzie spotkamy? Przecież to Sylwester!

— Ja Sylwestra spędzam zwykle w łóżku.

— Prawda, najzdrowiej. Ale na to posiedzenie w sprawie Sokoła doktor przyjdzie, co? — nalegał Zagórski.

— Zobaczmy. Może! — wykręcił się doktor i huśtając się elastycznie w kolanach, poszedł żwawo ku miastu.

Zaś Zagórski, korzystając z pięknej pogody, waleśał się koło domu.

W powietrzu była uroczysta cisza.

Sześć białych gołębi, cicho, bez gruchania, tańczyło dokoła rogu czerwonego dachu. Wyglądało to, jakby odprawiały tam jakieś szczególne nabożeństwo na cześć słońca, błękitu niebieskiego i błogosławnego, krystalicznie przeźroczyściego powietrza. Żywa girlanda otoczyła dom.

Oto stary, czarny modrzew! Nie był już czarny! Był jak panna młoda idąca do ślubu — cały w srebrzysto-białym welonie. Zniknęło długie, czarne igliwie, podobne do długich, jedwabistych rzęs, a gałązeczki modrzewia stały się niby srebrne strączki, nabrzmiałe u końców różowo-złocistym dojrzewają-

niem. A! Dwie wielkie, czarne wrony zerwały się z wierzchołka modrzewia i poleciały wprost w błękit — zaś z wysokiego drzewa opada zwolna migoczący w powietrzu pył... Olbrzym prószył złotem, rozpływającym się w błękitcie.

Zagórski przechadzał się tak z jakie pół godziny to po sadzie, to po werandzie przed domem, to wreszcie po ścieżce, wiodącej od furtki ku gościńcowi. Przyglądał się kurom, chodzącym po śniegu; jedne były jak z kości słoniowej — żółtawo-białe — inne paradowały niby w karacenach — w pancerzach stalowych w białe prążki. Podziwiał srebrnoróżowe pióropusze dymu, rosnące w górę kolumnami, podobnymi do giętych, barokowych słupów z masy perłowej. Gdy na drodze pojawił się zakutany w brązowy habit, śpieszący ku klasztorowi zakonnik-katecheta, na chwilę zrobiło się w powietrzu zamieszanie, bo natychmiast wybiegł naprzeciw niego z klasztoru skoczny głos dzwonka i dźwięk zegara, obwieszczający południe — lecz trwało to tylko chwilę, poczem znów promieniała błękitna cisza.

A wtem gdzieś w stronie rynku zerwał się niepojęty, niezrozumiały niepokój. Ktoś gdzieś krzyknął, ktoś stanął na gościńcu i odwrócił się, ktoś zawołał: — Jezus Marja! — A po chwili gościńcem srebrnym pobiegło wołanie:

— Doktor umarł!

I doktora Bromińskiego już nie było na tym cudnym świecie.

*

*

*

Doktór Bromiński umarł tak niespodziewanie, że ludzie prawie oniemieli ze zdumienia. Przyszedł do Mandłów, zbadał Rysia, usiadł, napisał receptę a naraz chwycił się za serce i zwał się ze stołka na ziemię. Fakt był dokonany: Na ziemi leżał trup. Nie było już o czem gadać, nie było czasu ani miejsca na długie narady, plotki, przypuszczenia, domysły. Złożone na otomanie zwłoki, choć sztywne i ciche, dyktowały — po dawnemu kategorycznie — co robić należy. I z tem musiano się liczyć. Palpieron, który się przypadkiem nawinął, pobiegł do domu, zaprzął swego Czarnego Orła i odwiózł zwłoki doktora do domu; złożono je w małej sionce frontowej na długiej skrzyni, do połowy wypełnionej złotem żytem. Mieszkanie opieczętowano. Aptekarz, który przypadkiem miał adres jednego z synów doktora, wysłał depezę, a następnie zajął się zamówieniem trumny, ustawieniem katafalku i całą paradą pogrzebową, tak, że już tego samego dnia wieczorem zwłoki leżały w trumnie, obstawione licznymi gromnicami, których blask łagodnie i smętnie sączył się przez otwarte drzwi werandy na śnieg.

Teraz dopiero zaczął się nad doktorem sąd. Żli byli na siebie guloni o to, że się z nim poróżnili a wiedząc, że doktor przed sądem boskim już stoi, wchodzili w siebie i przetrząsali swe sumienia, niepokojni, czy też umarły przeciw nim nie świadczy. Żalowali go młodzi. Pikantne historie o jego dziwactwach opowiadała sobie inteligencja. Zdania były podzielone, ponieważ stary doktor w swej bezwzględności nieraz przeciągał strunę, wszyscy jednakże czuli, że umarł człowiek wartościowy i niepośledni.

— W czem mogła być ta jego wartość — zastanawiał się dziekan — trudno określić! Że był człowiekiem dobrym, miał dobre serce — mój Boże, wszakże i my nie jesteśmy źli! Był patryotą — dobrze, ale przecie wszyscy jesteśmy Polakami, wszystkim Ojczyzna miła, miasteczko dało na wojnę rekrutów, dało ochotników. Był mądry, ale przecie robił głupstwa, jak i my... Widział niejedno złe, ale czyż my go nie dostrzegamy?

— Tylko że on to złe nazywał po imieniu i walczył z niem, w czem mu nie wszyscy pomagali! — odezwał się Zagórski. — Umiał chcieć i dzięki temu był człowiekiem naprawdę żywym.

Ksiądz spojrział bacznie na Zagórskiego.

— A czyż pańskim zdaniem my...

— Tak, nie! — wtrącił pojednawczo dyrektor Pudłowicz, w którego mieszkaniu zebranie się odbywało. — Był to człowiek nieprzeciętny, szkoda tylko, że umarł. Ciekawa rzecz, kto przyjdzie na jego miejsce.

Przyjechali wreszcie synowie zmarłego, trzech szarzy, prości, skromni oficerowie piechoty. Niejeden w miasteczku chętnie widziałby ich u siebie w domu, wszystkich jednak ubiegł aptekarz Majsztrykiewicz, który wogóle narzucił się nagle na mistrza ceremonji. On to, oznajmiwszy młodemu panom Bromińskim, że dzięki mrozom nieboszyk świetnie się trzyma i doskonale wygląda, zaprowadził ich do jego trumny i był jedynym świadkiem ich pożegnania z ciałem ojca. W jego obecności zdejmowano pieczęcie z drzwi, on wziął oficerów do siebie na obiad, a w dodatku tak wszystkim umiał pokierować, że prócz niego nikt nie miał do nich dostępu. I oto pokazało się

raz jeszcze, co to za straszna kanalja z tego Majstrykiewicza, który niby siedzi cicho w chałupie, z nikim nie żyje, a jak co do czego przyjdzie, wszędzie się wepcha, gości nawet potrafi zwędzić i wszystko robi sam, jakby się świat na nim jednym kończył. Zwłaszcza sierzcił się o to rejent, którego ambicją było, ażeby wszyscy obcy przechodzili przez jego ręce i jego dom.

Szarego, chmurnego popołudnia zimowego, przy żalonych śpiewach księży, wyniesiono czarną trumnę z domu doktora. Trumna zakołysała się przez chwilę w powietrzu nad głowami tłumu, drgnęła raz-drugi, skręciła na lewo, a potem lotem już stanowczym i równym, choć niezbyt szybkim, popłynęła ku rynkowi.

— Trzeba iść — szepnął braciom młodszy z oficerów, widząc ten spokojny odlot trumny.

Bracia karnie stanęli szeregiem według starszeństwa i pomaszzerowali za trumną, spokojni, zamknięci w sobie, milczący.

Za braćmi sypnęła się tłumnie inteligencja, po obu stronach trumny, ze świecami w rękach, śpiewając przez nos, lub gęstym, zardzewiałym basem, kroczyli poważnie członkowie starodawnego miejskiego cechu szewskiego.

Zagórski, który szedł w tłumie inteligencji za trumną, przyglądał się gulonom bacznie. Od czasu, jak się zajął starym Józefowiczem, którego obserwował i podglądał niby ciekawy okaz zoologiczny, zajmowało go namiętnie wszystko, co dotyczyło mieszczan i ich życia. Patrząc na nich przez pryzmat tego zainteresowania, przyglądając się ich twarzom skupionym, nieraz bardzo poważnym, twardym, ale

z przedziwnym charakterem, miał wrażenie, iż to przeciągają koło niego postaci z jakichś niezmiernie starych obrazów czy portretów, nieodgadnionych i niezrozumiałych dlatego, że może czemś przesłoniętych, zamazanych, zakrytych mgłą czy pokładem jakichś farb, które dopiero zdrapać trzeba. Oto kuśtyka burmistrz, niski, krzywy, garbaty, z wysterczającym z pod czapy nosem zadartym jak ryj, z mazurskimi, zardzewiałymi wąsikami, z czołem niby zdziwionem a dziecięco zagapionemi, wielkimi, błękitnymi oczyma, w których humor i radość życia miesza się ze sprytem i ciekawością — niepozorny człeczyna, zamknięty w sobie, ale kalkulator bystry i sceptyk pogodny, jako ojciec miasta i władca, doskonale znający drogi, kręte ścieżki i bezdroża, jakimi życie chadza, a tedy nie przejmujący się już nazbyt kręactwem poczynań ludzkich. Tuż przy nim, pochylony pod płomieniem świecy, idzie jego zastępca Stefek, zawsze ponury, małomówny, z czarnymi gęstymi brwiami ustawionemi w kozły a la Boruta, z wystającemi kośćmi policzkowemi, krzepki, kanciasty, zbierający swoje powoli ale codzień, nie orzeł żaden, lecz formalista wielki i opozycjonista, który zawsze wszystkiemu się przeciwstawiać chce, i potrafi, co w wielu wypadkach bywa wielce pożyteczne. Nie śpiewając, ale bystremi, jasnymi oczyma wciąż czegoś przed sobą szukając, kroczy masarz Rogacz, wysoki, z zadartą dumnie do góry głową, z tyłu trochę rozдутą i stosunkowo drobną twarzą z charakterystycznym, zgrabnym, cienkim mazurskim nosem, o wysokiem czole, zawieszistym wąsie i dziwnym grymasie prawego kąta ust, właściwym szulerom, ryzykantom oraz wszystkim, puszczać się na niebez-

pieczne przedsięwzięcia, a polegającym jakby na niewidocznym, wewnątrznym przygryzaniu prawego wąsa — świniarz zawodowy, zuchwały przemytnik, zawzięty i na wszystko gotowy szermierz, którego stalowe, podejrzliwe, mocne oczy miękną, ciemnieją i stają się aksamitne, gdy mówi o swych dzieciach, a którego mocne ręce, lubiące uderzyć, z macierzyńską iście czułością umieją trzymać delikatne ciało dwuletniej córeczki. Za nim, czarne łązy wyciskając z białej świecy wiecznie zasmolonymi łapami, niepewnie trochę stąpa Palpieron w wyliniałym, zielonym meloniku, przechylonym na bakier nad twarzą, zawsze trochę obrzękłą od wódki i krwią nalaną, w swej niezmaconej radości życia zgorszony tem, że ktoś śmiał umrzeć i wyrzec się milego świata, na którym tyle jest jarmarków, tyle gościńców i tyle przednich kapliczek z gorzałą czy okowitą. I dalej tak ciągnął się szpaler twarzy surowych, mocnych, może czasem brutalnych, ale poważnych i z przedziwnym charakterem.

— To twarze z minionych wieków! — rzekł sobie Zagórski. — Twarze prastarej, potężnej rasy.

Przypomniało mu się, co w miasteczku o pochodzeniu gulonów mówiono. Jedni twierdzili, że to są Niemcy — ale temu przeczył fakt, że mieszkańców jednego przedmieścia nazywano prusakami. Zdaniem drugich guloni byli pochodzenia mongolskiego, ponoś tatarzy, o czem miał świadczyć ich rzekomo krańcowy materialistyczny sposób myślenia, co jednak mogłoby się też odnosić i do chłopca polskiego.

— Ale dlaczego sięgać aż tak daleko? — zastanawiał się Zagórski. — Czy przypadkiem całe zagadnienie nie leży w tem, że są to przedstawiciele stanu

w Polsce najmniej znanego, najbardziej zapchanego w ką, mianowicie drobnego polskiego mieszczaństwa? Bliżej wsi i więcej zrosłe z ziemią, więc zdrowsze, niż po wielkich miastach, mieszczaństwo to przetrwało pustkę, wywołaną zanikiem państwowego życia polskiego, i teraz wkracza w nowe życie ze starymi swymi hasłami, zatwardziałe w swej przeszłości, nią tylko żyjące, a przeto zaiste widmowe. W takim razie jednak nie byłiby to żadni dziwacy, lecz poprostu Stara Nieśmiertelna Polska, zgłaszająca się o prawa do nowego życia, a niezrozumiana i wysmiewana... Przez kogo?

Nie potrzebował się oglądać, aby sobie przedstawić idące za trumną towarzystwo. Bezдушność kosmopolitycznych ubrań, pióra i fidrygałki na kapeluszach, panie, potykające się i grzęznące wysokimi korkami w styczniowej grudzie, panowie poprawni, banalni, szablonowi, egoizm, nieszczerza konwencjonalność, nieudolność życiowa, brak samodzielności i słabość, słabość... Jeden okrzyk, a ta cała, zawarta w szpalerze gulonów mięka masa rozbryznięłaby się, jak kupa błota, rozsypałaby się w nic!

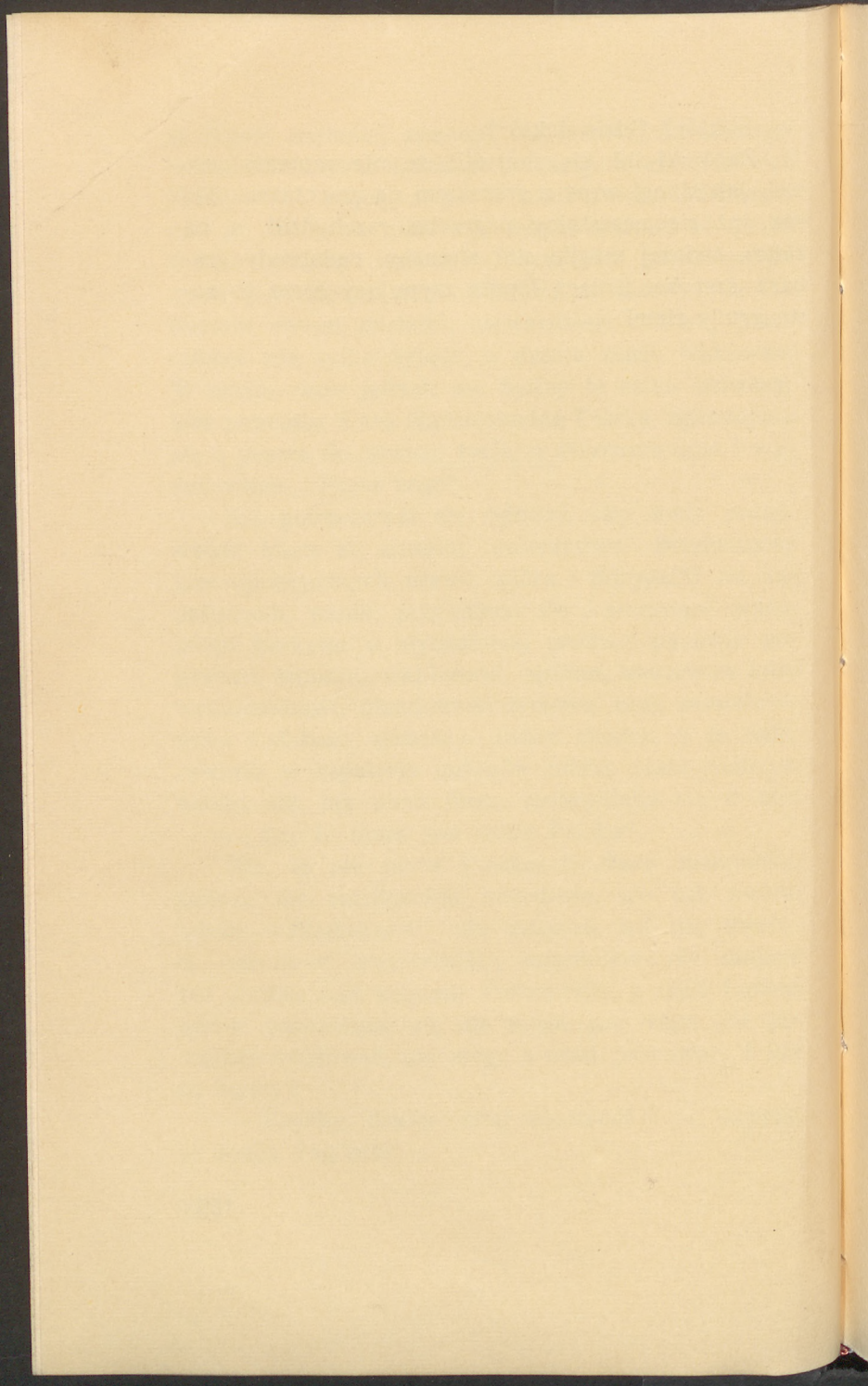
— Czy to może jest nowa Polska?

Nie, to nie nowa Polska, to stare austriackie śmieci, nie inteligencja narodowa, ale tak zwane „sfery wykształcone“, nie czujące, ani nie myślące narodowo, zwyrodniałe, samolubne, nie mające już gruntu pod nogami. Oczywiście, z tymi ludźmi guloni porozumieć się nie mogą, nie mogą ich poważnie traktować, nie mogą z nimi pracować. I kto tu lepszy?

— Czyżby doktor miał słuszość?! — zapytał w duchu Zagórski.

Doktór? Gdzie doktor?

Zagórski tak się zamyślił, że nie zauważył nawet, jak stanął wraz z orszakiem na cmentarzu. Teraz już się uczestnicy pogrzebu rozchodzili, a na żółtej, świeżej mogile stał straszny, rudobrody grabarz, szeroka, lśniąca łopata zsypujący coraz to nowe grudy ziemi.



CZEŚĆ DRUGA

LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGICAL GARDEN
LONDON

ROZDZIAŁ I.

Mimo że to był właściwie dopiero początek zimy, po Nowym Roku jakoś raźniej i weselej zrobiło się ludziom na duszy. W jesieni walczyli z nadciągającą zimą, ustępowali jej niechętnie, opornie, choć wiedzieli, że jej nie przewyciężą. Teraz poddali się jej pokornie i bez szemrania przyjęli jej jarzmo, które też stało się jakby lżejsze i wcale nie straszne.

Do pokrzepienia serc przyczynił się w niemałym stopniu karnawał, który nawet tego opuszczonego zakątka nie ominął. Więc widziało się przede wszystkim huczne wiejskie orszaki weselne, pod którymi gościniec grał jak struna muzyką i śpiewał krakowiakami. To był dopiero widok! Mróz czy nie mróz, wszystkie dzieci wybiegały z domów i z zachwytem patrzyły na wozy, pełne weselników, muzyki i kolorów. Twarze ludzkie śmiały się, oczy błyszczały, tu i tam na głowie któregoś drużby świeciła czerwona jak krew czapka z pawimi piórami, połocista trąba grzmiała, na grzbietach końskich powiewały kity z różnobarwnego papieru — szczałkowe pozostałości z dawnych paradnych szlacheckich rzędów na konie. I ci ludzie ruszali się jakoś

inaczej, szeroko, zamasyście, śmiało, mieli rozmach i fantazję, a przy poważnych, nadętych i surowych gulonach wyglądali jak ludzie z innego świata. Czasem, gdy po ślubie i poczęstunku u Wykupa, rozgrzani trunkiem i muzyką, gnali cwałem do domu, śpiewając, wymachując rękami i pokrzykując na zgrabne koniki, zdawało się, że obłok ognisty leci gościńcem, żywy, gorący, rozśpiewany.

Ładnie te wesela wyglądały, ale aż nazbyt często źle się kończyły zabójstwem lub powszechną bijałką, podczas której w robocie były nietylko koły i noże, lecz także strzelby, rewolwery i pistolety. Dochodziło nieraz do takiej pukaniny, że kulki nad sąsiednimi wsiami świszczały. Dlatego ksiądz nierad pozwalał na huczniejsze wesela, guloni zaś mówili o nich pogardliwie, jako o zabawie prostackiej, nieprzystojnej i z której nic dobrego wyniknąć nie może. Bądź co bądź te wesela ze swą fantazją i szerokim gestem robiły w miasteczku ruch i wносиły niemało życia. Gdy przejechały przez miasteczko, nie było człowieka, w którego sercu nie dzwoniłaby skoczna, a przecie i rzewna zarazem nuta skrzypków Ulanckiego, słynnego na całą okolicę muzykanta.

Guloni hucznych wesel nie sprawiali, a jeśli, to bawili się skromnie i pocichu w swoim kółku. Ale przecie zabaw nie brakło. Urządzano przedstawienia amatorskie pod kierunkiem niestrudzonego pana budowniczego Maślaka, organizowano bale, czyli, jak je w miasteczku nazywano bole. Dworów w okolicy było bardzo niewiele, zastępowały je jednak okoliczne szkoły, których kierownicy, znudzeni samotnym życiem na pustkowiu, chętnie wydawali wieczory i urządzali przyjęcia. Zjeżdżali się tedy pedagogowie

z odległych nieraz stron, z żonami i dziećmi, ten wynajętymi końmi, a niejeden własnym wózczykiem i własnym, dobrze utrzymanym konikiem, jako że wielu dziesiątki lat już siedziało na wsi i gospodarstwem zajmowało się z niemniejszą gorliwością, jak szkołą. Zjazdy te bywały huczne i liczne, panie były w najmodniejszych toaletach, wódki, jabłecznik i różne wina owocowe lały się strumieniem, tańce trwały do rana.

Pewnego dnia pojawili się u Zagórskich Pudłowicze z zaproszeniem na bal inteligencji. W pierwszej chwili Zagórski odmówił stanowczo. Jakoś, mimo że w kraju było niby wszystko dobrze, zdawało mu się, że na bale jeszcze nie pora. Ten pogląd bardzo łatwo wybito mu z głowy. Cóż znów za straszny bal! Ot, zwykły wieczorek, aby się trochę rozerwać i zapomnieć o szarzyźnie życia prowincjonalnego. Zagórski zawahał się, przypomniawszy sobie jednak, że marka znów spadła, ceny podskoczyły, zaś jemu honorarjum nie podniesiono i nie wiadomo, jak do końca miesiąca dociągnie, odmówił poraz wtóry. Tu jednak zabrała głos pani Zagórska i to tak stanowczo i gorąco zarazem, że Zagórski nie chcąc przy gościach dopuścić do wybuchu, musiał na razie ustąpić.

W kilka dni później odbył się bal, urządzony przez miejscowe kółko akademickie, to znaczy kilku studentów uniwersyteckich, bawiących zwykle podczas ferji świątecznych w domu rodziców. Bal był w całym znaczeniu słowa bolem. Mianowicie studenci nie zaprosili na bal młodzieży miejscowej bez wyższego wykształcenia i odpowiedniej oglądy towarzyskiej, czem obrażeni ci młodzi ludzie, w większej

części terminatorzy i czeladnicy różnych rzemiosł, postanowili wtargnąć na salę gwałtem i ewentualnie ból rozbić tak, jak się rozbija wiece. Zamiar swój wykonali częściowo; wtargnęli do ratusza, gdzie się ból odbywał, tam jednak natrafili na silny opór w drzwiach, prowadzących na salę balową, a zabarykadowanych kilku zapomnianymi dekoracjami z przedstawień. Sprowadzona z Tarnowa muzyka grała, kilka odważniejszych par kręciło się po sali, a tymczasem u drzwi coraz głośniej rozlegały się przekleństwa i razy. Szalał tam Rogacz, który jednego z napastników lunął w pysk, drugiego dźgnął nożem. Gdzieś padł strzał rewolwerowy, dwóch atakujących wrzucono w pakę na śmieci, gdzie się szamotali, napróżno chcąc się wydobyć, wreszcie wleciał burmistrz z policjantami, na wszelki przypadek trzepnął w pysk stojącego w tłumie swego syna, a następnie chciał bal rozwiązać. W odpowiedzi na to zwyśmiano go, skłęto i wyśmiano, jak zwykle podczas jego publicznych występów, poczem ból spokojnie już trwał do rana. Rogacz pobił też przy tej sposobności najniewinniej w świecie jakiegoś chłopka z którejś z okolicznych wsi. Chłopak zgłosił się na drugi dzień z pretensją do Rogacza, a otrzymawszy suto wynagrodzenie za ból, poszedł odrazu do szynku i tak się z radości upił, że go wieczorem w rowie śpiącego znalaziono.

-- Widzisz! — mówił Zagórski do żony — masz ból!

— Ale to przecie guloni!

-- Nie. Ten bal urządziło kółko akademickie.

-- Nasz bal ma być balem inteligencji.

— Ja nie wiem! — pokręcił głową Zagórski. — Trzeba się dowiedzieć, czy oni gulonów zaprosili, bo jeśli nie, może być znowu awantura.

— Któżby gulonów zapraszał na bal inteligencji! — zachnęła się żona.

— Czekaj, pójdziemy do Pudłowiczów, zapytamy.

Pudłowicz myśl zaproszenia gulonów odrzucił z całą stanowczością.

— Zaprosiliśmy burmistrza i kilku lepiej wychowanych radnych, prócz tego kilku amerykańców.

— A czy oni was zapraszają na swoje bale?

— Rozumie się, zapraszają wszystkich.

— To, widzi pan, może być z tego historia. Niezaproszeni gotowi się obrazić, a to czasy demokratyczne, rozumie pan? Jeśli nawet prawdziwej demokracji u nas niema, nie powinniśmy się od tych ludzi odsuwać, bo w ten sposób tej demokracji nigdy nie będzie...

— Tak, nie, proszę pana! My się od nich nie odsuwamy, my, bez względu na wszystko...

— To znaczy, bez względu na co?

— Bez względu na ich nieżyczliwość dla nas, brak kultury, chamstwo, my z nimi obcujemy, nie odsuwamy się od niczego, ale bodaj raz na rok chcielibyśmy odetchnąć od nich i zabawić się po ludzku między sobą, nie narażając swych żon na uszczypnięcia albo ordynarne dowcipy takiego Palpieron a...

— To się rozumie! — przyznał z oburzeniem Zagórski. — Czyż Palpieron na bale chodzi?

— On-by nie chodził! Pan ich nie zna, pan nie ma pojęcia, jacy oni są hardzi i głupio zarozumiali! Taka psiakrew, głupia i dzika, chciałaby z każdym być za pan brat. On jest każdemu równy!

— No, do tego chyba ma prawo.

— Tak, nie! — zaprzeczył z furją Pudłowicz. — Ja też z ludu jestem, nie ze szlachty. Ale ja się, proszę pana, uczyłem, nazdawałem mnóstwo różnych egzaminów, ponieważłem się między ludźmi nieraz o głodzie i chłodzie i dużo pracy mnie kosztowało, zanim się stałem tem, czem jestem — dobrze wychowanym, kulturalnym człowiekiem. Dlatego ja to sobie cenię i wydrzeć sobie tego nie dam. Nie pude do błota. Taka tam demokratyzacja z chamami, to jest pospolitacja, nic więcej!

Zagórski, zaskoczony tym gwałtownym wybuchem, zmieszał się.

— Ale przecie w gruncie rzeczy to są zupełnie grzeczni ludzie! — mruknął.

— Grzeczni są, tak, głodcy, potrafią się panu skurczyć, upokorzyć, jak czego potrzebują to tacy są mali a słodcy, i myślałby kto, że wszystko z nimi zrobić można. To już jest ten ich fałsz gułoński! Ale taki burmistrz, jak sobie podpił, to nawet moją żonę ośmielił się raz uszczypnąć!

— Więc cóż ostatecznie będzie z balem!

— Tak, nie, zaprosimy kilku i już.

— Obrażą się!

— Niech się obrażają. Ja ich do niczego nie potrzebuję!

*

*

*

Dzięki skombinowanym argumentom ekonomiczno-społecznym, Zagórskiemu udało się postawić na swoim i wyperswadować żonie bal dla inteligencji. Nie udało mu się uniknąć za to kary w postaci dokuczliwych złośliwości, wymówek, dąsów i bezustannej, podjazdowej walki, przykrej i denerwującej. Była to przy intensywnej pracy Zagórskiego i jednostajnym trybie życia rzecz bardzo niemiła, ponieważ wszystko to zatruwało mu spokój i pożycie domowe, a właśnie dom jest na prowincji jedyną i ostatnią twierdzą. Jeśli domu nie ma, nie ma wogóle już nic.

Przyszła niedziela, raczej niedzielne popołudnie, ponure, nudne nie do wytrzymania. Pani Zagórska spała. Dzieci bawiły się przy niej w jej pokoju. Zagórski miał być o szóstej w szkole na zapowiedzianem oddawna posiedzeniu w sprawie Sokoła; nudząc się, postanowił przed posiedzeniem przejść się trochę. Tu i tam na czarnej ziemi i na czarnych dachach leżały płaty brudnego śniegu. Rynek puściusieńki. Nudzą się śpiczaste, czarne facjaty starych, mieszczkańskich domów, sklepy i szynki pozamykane na ogromne kłódki, czarne bramy ziewają szeroko. Święty Florjan, żółtawy i mizerny, z czarnymi bączkami i w zbroi rzymskiej, tak sennie zagapił się przed siebie, że nie widzi nawet, jak wodę ze skopka leje sobie prosto na płaszcz i nagolenniki.

W jednym rogu rynku, pod szkołą, leży stos dyków i belek. Leżą one tu już ze dwadzieścia lat, „susząc się“ na deszczu lub przysypane śniegiem. Kilku urwipołciów gimnastykuje się na nich, to znaczy, wieszka się na drągach i zwisa tak na kształt gacków, śpiących z głową na dół w ciemnym kącie.

Nie wiadomo dlaczego wydają okropne ryki, donośnie rozlegające się w pustym i cichym rynku.

Zwolna wylania się ze swego domu po poobiedniej drzemce pan burmistrz, niski, krępy, trochę garbaty; ma na sobie czarną jesionkę i czarny kapełusz. Stanąwszy przed domem, rozmyśla chwilę, bacznie przygląda się beznadziejnemu niebu, poczem kieruje się na prawo, gdzie tuż przy domu ma ogrodzoną parcelę. Leży tam w zwiędłych chwastach i śniegu kilka belek. Oparłszy się o balaski, pan burmistrz długo, długo дума, zapatrzony przed siebie. Następnie odwraca się i idzie na przełaj przez rynek. Naraz zatrzymał się nad brzegiem jakiejś kałuży, stanął i opuściwszy głowę na piersi, w czarną wodę kałuży wpatrzony, znów się zadumał. Zauważył przypadkiem Zagórskiego i to dodało mu bodźca. Przeskoczył kałużę, dotarł żwawo do ratusza, skręcił i zginął za rogiem budynku.

U wjazdu do rynku stoi kilku mieszczan. Stoją tam już długo, radząc nad czemś statecznie, spokojnie, poważnie. Niedaleko nich jest szynk burmistrza — mieszczański klub — z zewnątrz zamknięty, ale przez sień przejść można bez przeszkody. Po jakimś czasie grupa radząca na ulicy, gęsiego, powolnym krokiem, jakby ociągając się, sunie do szynku i znika w bramie.

Na końcu rynku pokazuje się stary Żyd w czarnym chałacie. Na przełaj dąży przez rynek na drugą stronę. Idzie i idzie, idzie i idzie — bez końca! Z jakże daleka on idzie! Zdawałoby się, że tam na drugą stronę rynku wszystkiego dwieście do trzystu kroków a ten Żyd przez długie minuty drepce i jeszcze do środka rynku nie doszedł.

Zagórski stał, patrzył i czekał.

Żyd szedł wciąż.

Zagórskiemu przyszło na myśl, że on tak do wieczora będzie dreptał, że wogóle nigdy nigdzie nie dojdzie.

— Czy przypadkiem my wszyscy tak od tysięcy, tysięcy lat nie drepemy? — zadał sobie Zagórski w duchu pytanie. — Wciąż w miejscu, ruszyć naprzód nie mogąc?... Mimo strasznych wysiłków czyż dużo się zmieniło?

Teraz znów on stanął, zamyślił się i stał tak bez ruchu, iż zdawać się mogło, że zasnął stojąc.

Zbudził go Pudłowicz.

— Niech pan pod temi kasztanami nie wystaje!
— mówił półżartem. — To pechowe drzewa!

— Dlaczego?

— Austriacy na nich chłopów wieszali.

— Ach, to te!

— Te.

— Drzewka nawet niepokażne. I to w rynku, w oczach całego miasta, o kilka kroków od szkoły?

— Tak. Dla postrachu.

— Straszna brutalność. Okropnie tu musiało być podczas wojny.

Pudłowicz zagwizdał przeciągle.

— Pan tu był?

— Byłem komisarzem wojennym. Czego-to ja tu nie widział! Stał tu swego czasu Aufenberg, potem ten „wieszatelnik“ arcyksiążę Józef Ferdynand, Wilhelm tędy przejeżdżał...

— Kiedy tu wojna do was przyszła?

— Od samego początku! Najpierw wybuchł ogromny entuzjazm wojenny, wszystko było dla

wojny, dla legjonów, Sokół wyekwipował też za ostatnie grosze kilkunastu legionistów. Cośmy potem za to mieli! Za Bruczkiewiczem, który był prezesem Sokoła, guloni latali i wymyślali go od ostatnich.

— Niby za co?

— A że ci prezesi, dyrektorzy i inni dostojnicy Sokoła młodszych wysłali na wojnę, a sami zostali.

— Byliście tu gorący austrofile, co?

— Tak, nie! — zupełnie słusznie odpowiedział Pudłowicz. — Myśmy tu przecie żadnej wielkiej polityki prowadzić nie mogli. Kazał Tarnów mobilizować, mobilizowaliśmy!

— Oczywiście! — przyznał Zagórski, widząc, że Pudłowicz zaczyna się irytować.

— Więc, jak mówiłem, był wielki entuzjazm wojenny — na tem tle już wówczas dopuszczano się nadużyć. Wojsko rekwirowało wszystko, co tylko w ręce wpadło. Potem, bez walki, weszli do miasta Moskale. Rozpoczęły się zwykłe rabunki.

— Ekscesów nie było?

— Nic nadzwyczajnego. Ale zrobiło bardzo przykre wrażenie to, że w czasie, kiedy nie było ani Austrjaków, ani Moskali, zaczęli opuszczone domy rabować ludzie tutejsi.

— Guloni?

— Jużci — guloni, ludność z przedmieścia, nawet bardzo poważni obywatele. Nie będę panu nazwisk wymieniał, powiem tyle tylko, że kilku takich panów do niedawna jeszcze odsiadywało za to karę... Myśmy z nimi żyli, nieraz pomagaliśmy, jakeśmy tylko mogli, a kiedy nas nie było, oni, zamiast przechować coś, obronić, pierwsi rzucili się do rabunku.

— Objaw podczas wojny częsty!

— Tak, nie, tylko że my nie byliśmy jeszcze do tych objawów przyzwyczajeni. Dwudziestego czwartego grudnia Moskale cofnęli się, na ich miejsce przyszedli najpierw legjoniści, a potem wojska austriackie, właściwie węgierskie. Był to czas dla miasteczka straszny. Komendantem placu był jakiś major huzaarów, człowiek zwarjowany i złośliwy, który trapił miasto najróżniejszymi bezsensownymi zarządzeniami, jak na przykład, że nikomu nie wolno ani na mginięnie oka przystanąć w rynku. W domach dwutysięcznego miasteczka rozlokowywano czasem do czterdziestu tysięcy wojska, na którego łaskę obywatelstwo było zdane. Mieszczanin nie rozporządzał ani swoim mieszkaniem, ani sprzętami, ani łóżkiem i pościelą, ani łyżkami nawet. We własnej kuchni, na własnej blasze zgotować sobie coś mógł tylko wówczas, jeśli mu żołnierze pozwalali. Węgrzy nawet kołyski z dziećmi wynosili na mróz. Ludzie patrzyli na to i uczyli się bezwzględności, twardości, poniewierania człowiekiem. Jednocześnie zaczęła się szerzyć straszna demoralizacja wśród dziewcząt.

-- Egzekucyj było dużo?

-- Wieszano o byle co. Chciano powiesić chłopca tylko za to, że był zarośnięty. Niby dowód na to, że się przekradał do Moskali, jakgdyby po tamtej stronie nie można się było ogolić? Chłopca znałem, wy badałem: Jakże się miał golić, kiedy mu Madjarzy brzytwę ukradli! Kiedyindziej złapano znów trzech ewakuowanych chłopów, którzy nie mieli papierów. Mimo zapewnień, że są niewinni, skazano ich na śmierć, a dla postrachu kazano ich powiesić na tych trzech kasztanach pod szkołą. Dwóch poszło na śmierć cicho, z chłopską rezygnacją, ale jeden pła-

kał, drzał na całym ciele, zaklinał się, że jest niewinny, a kiedy już stryżek miał na szyi, zawołał na cały rynek: Niech żyje najjaśniejszy pan cysorz Franciszek Józef! — i z tym okrzykiem zadyndał.

Prześladowania te skończyły się po ofensywie gorlickiej. Do tego czasu ludzie zdolali żyć się z wojną. Nauczyli się szachrować, kraść, handlować. Materjalnie miasteczko na wojnie nie straciło nic, przeciwnie, zyskało, ale moralne spustoszenie jest ogromne. Ludzie zdziczeli i stali się bezwzględni egoistami. Mowy niema dzisiaj o jakiejś akcji społecznej, o kooperatywach. Każdy panu powie: Co ja będę myślał za drugiego! Guloni przed wojną mieli przynajmniej to, że się trzymali kupy. Wojna tę ich stanową solidarność rozbiła. Dlatego choć mają spryt handlowy wcale wyrobiony, nie mogą sobie poradzić z Żydami, którzy zawsze idą ławą. Tak, nie!

— A jak tu Polska wybuchła? — zapytał Zagórski.

— To było podczas jarmarku, kiedy się już rozpoczęła dzika demobilizacja z wszystkich frontów. Było dużo chłopstwa z różnych stron. Wybuchła kłótnia o koszulę. Żołnierz targował koszulę, Żydówka za wysoko zacenila, żołnierz chciał ją wziąć gwałtem, Żydzi zrobili rejwach, przybiegło kilku żandarmów — tych bez trudu rozbrojono — zdemobilizowany żołnierz, który był w niewoli rosyjskiej podczas rewolucji, wygłosił mowę do tłumu, w której powiedział, że on wie, jak się wolność robi, że trzeba mordować Żydów, panów i księży — chłopstwo rzuciło się do rabunku — pokazało się, że Żydzi mają pełno mąki, masła, cukru, kawy, nafty, soli — czego

nie sprzedawali — to im wszystko zrabowano, przy tej sposobności ktoś w rynku Huppertów rzucił na rozlany spirytus zapałkę, zaczęło się palić.

— Byli zabici?

— Nie. Poturbowano kilku ludzi. Wreszcie mieszczanie się zlekli, że się całe miasto spalić może, rzucili się do ratowania, a tymczasem chłopci naładowali wozy zrabowanym towarem i uciekli. Na drugi dzień rano w miasteczku już było wojsko i na tem się rewolucja skończyła. Ciężkie to były czasy, miejmy nadzieję, że się nie powtórzą. I wie pan, — nie tyle sama wojna pokłóciła ludzi, ile te różne urzędy, rozdawnictwa zapomóg, przydziałów zboża, kartek na chleb, na cukier... Tu już wszystkim zdawało się, że każdy kradnie i oszukuje... Ludzie zupełnie szacunek dla siebie potracili... Żeby to odrobić —

Pudłowicz urwał.

— Trzeba bardzo gorąco pracować! — wtrącił Zagórski.

— Tak, nie! — bąknął bez przekonania Pudłowicz. — Dusze już nie te, co były... O, Ruskiewicz idzie!

*

*

*

i

Ruskiewiczza znał Zagórski bardzo mało, głównie z przyjęć u dziekana i z kilku wieczorków u nauczycieli w sąsiedztwie. Na tych przyjęciach Ruskiewicz wygłaszał czasem przy pełnym stole mowy, drgające żalną nutą miłości i współczucia dla biednych i stale wyrażające nadzieję, że przecież kiedyś przyjdzie do sprawiedliwszego podziału mienia i dóbr na

tym świecie. Zdawało się, jakgdyby bez tej lezki przy biesiadnym stole kolacja nie mogła mu smakować. Czy, mówiąc o sprawiedliwym podziale dóbr i mienia, miał na myśli i siebie, czy też może i dla siebie się po nim czegoś jeszcze spodziewał, trudno było odgadnąć, bo tego nie mówił, sądząc jednak po jego długich, drapieźnie zakrzywionych palcach, niktby z pewnością nie przypuścił, że sam ma już dość. A miał w pobliżu miasteczka dworek, piękny sad, kilkadziesiąt morgów gruntu, bydelko, koniki, powóz, zaś w jednej miejscowości kąpielowej kopalnię złota w postaci znakomicie rentującego się, zawsze przepełnionego pensjonatu, nie mówiąc o kapitałach, które dla ideowego popierania przemysłu krajowego, lokował wielkodusznie a sprytnie w pewnych, solidnych interesach, dających pewne i wysokie procenty. Był mocno zbudowany, średniego wzrostu, z capia twarzą o szeroko rozstawionych, chytrych oczach, z czarną czupryną, upstrzoną gęsto białymi łatkami, w dobrze uszytym garniturze z doskonałego zagranicznego sukna, wcale zgrabny i pewny siebie, lecz uśmiechnięty zgodliwie. Z pochodzenia gulon, bliski krewny burmistrza, niezbyt się tem jednak chełpił i rzadko pokazywał się w miasteczku. Za to, jako kawaler, mile widziany był w rodzinach inteligencji, która wyrażała się o nim z szacunkiem i uznaniem.

Zdziwiony tem Zagórski, któremu się Ruszkiewicz wcale tak bardzo nie podobał, zaczął się rozpytywać o jego karierę i dowiedział się, że jest to były czeladnik krawiecki, który swego czasu brał nawet jakiś udział w polityce, założył pismo, to pismo odprzedał naraz przeciwnej partji, zdobył dzięki temu kapitalik, obracając nim, powiększył go, a wreszcie

tanio po zbankrutowanym szlachcicu kupił dworek wraz z przyległościami. Pracując pilnie w dalszym ciągu, majątek pomnażał, dochrapał się tego tam jakiegoś pensjonatu i stał się człowiekiem bogatym, poważnym i honorowanym.

— Cóż wy w nim tak nadzwyczajnego widzicie?
— pytał Zagórski Pudłowicza.

— Mam dla niego szacunek za to, że tak sam przyszedł do majątku! — tłumaczył pan dyrektor. — Przytem to człowiek ideowy, chętnie popiera dobre interesy...

— Ależ to najlepsza lokata kapitału! — wykrzyknął Zagórski.

— Tak, nic, ja się z panem zgadzam, tylko że w dzisiejszych czasach to zjawisko rzadkie!

— Więc on wam łaskę robi, że na was zarabia?

Teraz ten Ruszkiewicz był jednym z tych, którzy mieli decydować o losach instytucji społecznej!

Pudłowicz przywitał się z nim i poprosił obu panów do klasy; żartując z właściwym sobie wdziękiem i salonowem namaszczeniem, zapalił wiszącą lampę i poczęstował gości papierosami. Ruszkiewicz, oczywiście, nie palił.

Zaczęli się schodzić zaproszeni. Bruczkiewicz w rajtuzach, z lisim uśmiechem pod sportową czapką, skrzywiony niechętnie i zakłopotany nieco burmistrz z dwoma potężnymi drabami, które usiadły cicho i skromnie w ciemnym kącie, stary Józefowicz, zasępiiony, zacierający wielkie, czerwone, odmrożone ręce i mrugający powiekami, dziekan grzeczny i uśmiechnięty, lecz z uniesioną sceptycznie prawą brwią, podskakujący, jak wróbel, budowniczy Maślak, kilku miejscowych urzędników, zgaszonych i pokor-

nych, wreszcie kilku gulonów o twardych, nieruchomych twarzach. Razem kupką usiadło kilku elegancko ubranych „amerykanów“, również milczących i skupionych.

Pudłowicz, jako sekretarz, zaznaczył pokrótce cel zebrania, a wybrany jednomyślnie przewodniczącym, udzielił głosu staremu Józefowiczowi.

Stary dźwignął się. Imponujący, wielki, prosty, o charakterystycznej siwej głowie, wziął odrazu ton najwyższy, mówiąc z gęstym mruganiem powiek i starczem, bryzgającym śliną zjadłości, szeplenieniem bezzębnych dziąseł.

— Panowie pozwolą, że przystąpię wprost do rzeczy. Jest tu niby „Sokół“. Przed wojną ten Sokół był, wszyscy o tem wiemy, sprawiliśmy nawet Sokołowi piękny sztandar — to są nasze rzeczy. Gmina dała pod budowę Sokołowi grunt, znaleziono już kamień pod fundament, zebrało się trochę grosza. Co potem było, także wszyscy wiemy! Młodzieńcy, poginęli, zwierż ich ciała porozwłóczył po polach.

Tu głos starego spotężniał.

— Starzy, prezesi różni, wiceprezesi, naczelnicy — zostali w domu. Już o tem mówić nie będziemy. Ale przed wojną ten Sokół był potrzebny, bo z niego miał wyjść niby ten żołnierz polski. Dziś już potrzebny nie jest. Dziś mamy armję — co po Sokole! A sokołnię przy dzisiejszej drożyznie budować — ani myśli! Dlatego ja wnoszę: Sokoła rozwiązać, pieniądze rozdać biednym, a grunt zwrócić gminie. I tak Sokół nic nie robi! Skończyłem.

To rzekłszy, stary usiadł na swem miejscu.

Nie ulegało wątpliwości: To, co Józefowicz mówił, mówił szczerze, z przekonaniem, po głębokim namyśle, z doskonałą znajomością stosunków i warunków miejscowych oraz sposobu myślenia i zapamiętywania obywatelstwa. Jako człowiek bogaty i niezależny, śmiało i bez obawy mógł powiedzieć to, czego powiedzieć nie śmieliby, a może wstydziłiby się ludzie skromniejsi i mniejsi. Ale przecież było to tak ciasne, tak głupie, krótkowzrocznie zacofane i brutalne, że Zagórski aż jęknął.

Przez chwilę panowało głuche milczenie. Nikt nie chciał zabrać głosu. Siedzący na pulpicie ławki burmistrz zakiwał niespokojnie długiemi, cienkimi nogami.

— To przecież jest straszne! — odezwał się, nie wstając ze swego miejsca, Zagórski.

Aż go podnosiło, jednocześnie jednak miarkował się.

A nuż stary ma rację? A nuż nie da się tu nic zrobić, nic zbudować? A nuż oni nie chcą nic robić, spychają wszystko na rząd, a sami myślą tylko o sobie? Sokół — dobra rzecz, ale ten grunt, wyznaczony pod sokolnię, ma dziś wielką wartość, bo miasto w tym kierunku się buduje... Może się tam kto chce zagnieździć, na miejscu Sokoła postawić szynk... I dalej — chłopstwo pijane będzie się tarzało tam, gdzie miała się odbywać praca nad kulturą polską.

— Kto z panów życzy sobie zabrać głos? — pytał Pudłowicz.

Zagórski wstał, ale w tej chwili miał ochotę usiąść. Poco mówić? Przecież ci ludzie doskonale wiedzą, o co chodzi. A milczą.

Jednak zaczął mówić. Że pan Józefowicz niema racji. Sokół nie miał wyłącznie zadania wychowywania żołnierza polskiego, bo w zaborze austriackim musiałyby to być poprostu wychowywaniem kosztem społeczeństwa polskiego „Erzatzrezewisty“ austriackiego — a to było zbyt cenne, bo od tego było c. k. ministerjum wojny i austriacki kapral — podczas gdy Sokół miał wychowywać obywateli polskich. Tych obywateli potrzeba najwięcej teraz, kiedy już jest państwo polskie i teraz właśnie należy pracować tak, aby... Jakże to? Więc wychowywało się obywateli polskich pod panowaniem austriackim, dla państwa austriackiego, a dla polskiego państwa już się ich wychowywać nie chce? Teraz wszystko ma zrobić państwo? Pan Józefowicz wspomniał, że mamy już własne ministerjum spraw wojskowych. Słusznie, ale wojsko ma wychowywać żołnierzy a nie cywilizować dzikich ludzi: U nas wojsko czytać i pisać uczy. To też — zdaniem pana Józefowicza — należy do wojska? Im kulturalniejszy rekrut, im bardziej uświadomiony, tem łatwiej i tem prędzej staje się kulturalnym, dobrym żołnierzem. U sąsiadów naszych sport stoi bardzo wysoko — żołnierz musi być wygimnastykowany — to właśnie ma na celu Sokół. Więc wszystko ma robić rząd! Jak? Chyba żandarmami! A obywatel państwa polskiego będzie chodził na wszystko obojętny... Jego nic nie obchodzi, on nic z własnej inicjatywy nie robi, jeśli mu rząd nie każe... Dlaczegożście za czasów niewoli umieli myśleć tak szlachetnie, żeście pod sokolnie oddali bezpłatnie grunt, a teraz ten własny swój szlachetny czyn... Czemuż tam, gdzie miał stać sym-

bol kultury polskiej, chcecie dziś paść gęsi? Czy nie rozumiecie, że się sami hańbicie?

Po nim przemówił Ruszkiewicz:

Któż może mówić o rozwiązaniu Sokoła i zwrocie gruntu gminie? Darowizna gruntu przeprowadzona jest tak, iż gdyby nawet Sokół się rozwiązał, grunt nie może być zwrócony gminie, ale powinien być odstąpiony innej instytucji, duchem do Sokoła zbliżonej. Zatem, gdyby już o sokolnii nie było mowy, możnaby wybudować ochronkę (brawo) dla bezdomnej dziatwy, pozbawionej wszelkiej opieki.

Pudłowicz się zdziwił:

— Tak, nie! — zawołał. — Ale gdzie pan tu ma bezdomną dziatwę? Przecież tu, choćby kątem, każdy gdzieś mieszka i te dzieci przy sobie trzyma. Dzieci bez opieki! Dzieci się chowają na ulicy, a opiekują się nimi wszyscy.

Skończyło się na tem, że wniosek starego Józefowicza jednomyślnie odrzucono.

— Nie robi się nic! — bronił Zagórski Sokoła gorąco. — To prawda. Ale kiedy wy sami jesteście Sokolowi niezyczliwi!

Postanowiono wyłonić „komitet reorganizacyjny“. Ale tu stała się rzecz dziwna.

Dotychczasowy prezes Bruczkiewicz zrezygnował. Nie dziwiono się temu, ponieważ powszechnie wiedziano o nieprzyjemnościach, jakie go na tym urzędzie spotykały. Ale nagle zrezygnował i Pudłowicz.

— Ja, proszę panów — mówił mazurując silnie, co mu się zawsze zdarzało, kiedy się rozgrzał — od żadny roboty społeczny nie uciekom, i w tym wypadku tyż nie mówię, że robić nie bede... Owszem,

co mi ta, robić bede, jak zawsze... Ale nijakim członkiem być nie chce, żebyście mi nie wiedzieć co dawali... Wogóle całe nauczycielstwo musi se z tem przez jakiś czas dać spokój... Panowie wyobrażenia ni mocie, jak my teraz jezdeśmy pracą przeciążeni... Jo mam na trzy lata co robić!... Przecie sie ta szkoła z austriackiej przerabia na polskom, trza sie mnóstwa nowych rzeczy uczyć... Więc, powtarzom — robić bede, ale do komitetu należeć nie chce!

A po chwili zabrał głos dziekan.

On ma też dość lego zawracania głowy, które ma się nazywać pracą społeczną. Chyba mu nikt nie zaprzeczy, że pracował dość. Stowarzyszeń różnych jest też w miasteczku nie mało, ale — co tu w bawełnę owijać — nikt w nich pracować nie chce. Było kasyno — czy kto do niego chodził? Urządziło się wszystko, najęło się mieszkanie, zebrano się jakieś graty, z ogromnym wysiłkiem zbierało się dzienniki, podsuwało się je ludziom pod nos — nikt nie chciał korzystać! Pan Ruszkiewicz podniósł, że jest w miasteczku dużo biedoty, chcieliśmy jej pomóc, założyliśmy Towarzystwo św. Wincentego a Paulo, klóz w tem Towarzystwie pracuje: ja, ksiądz wikary, ksiądz katecheta z klasztoru i pan dyrektor Pudłowicz. A Towarzystwo popierania przemysłu koszykarskiego? A składnica miejska?

Diekan przez długi czas wyliczał różne opuszczone i zaniedbane stanowiska.

Tu pan Uszko westchnął głęboko, jak w kościele i mówił dalej:

— Poczõeśmy z Ameryki wyjeżdżali? Przecież każdy z nas miał tam swój zarobek. Gdybyśmy chcieli robić pieniądze, siedzielibyśmy cicho i już.

Ale myśmy chcieli pracować dla tej ojczyzny odrodzonej, cudem wyzwolonej. Dobry jest amerykański chleb, najeść się nim można do syta, a przecież ojczyzna od tych dostatków miłsza. Wracaliśmy — dokąd? Do Warszawy, do Krakowa, Lwowa, wielkich miast? Nie. Do Czchowa, do Tuchowa, do Bieczy, do Ciężkowic, do małych, rodzinnych, biednych miasteczek, chcąc im służyć, chcąc dla nich pracować. A wy za to przyjęliście nas niechętnie i niezyczliwie.

— Nie godojcie! — roześmiał się cynicznie burmistrz. — Jak tam który, psiokrew, prezentów, przyodziwy i dolarów, psiokrew, nawióz, to go, psiokrew, na rękach nosili.

— To tak. Ale potem toście zaczęli mówić: Myśmy tu mieli wojnę, mordowaliśmy się, a wyście cicho siedzieli w Ameryce. Prawda, wyście się mordowali, mieliście wojnę w kraju, ale żeście przytem majątki porobili — i to na lichwie, na szmuglu za granicę, na głodnych, na biednych — o tem nie mówicie.

— Iiii, jakie ta, psiokrew, majątki! — powiercił się niecierpliwie na siedzeniu burmistrz.

— A to chyba panowie wiecie dobrze — mówił dalej pan Uszko — że jeśli który z nas w Ameryce się czego dorobił, musiał się dobrze namęczyć i napracować, jak tu ludzie nie umieją. O tem zaś, co myśmy w Ameryce robili dla wojska, ilu naszych było w armji Hallera, cośmy dla tej armji przysłali, cośmy przysłali pieniędzy i żywności do Starego Kraju, który oni jak i dolary, rozkradali, to oni wiedzieć nie chcą. A przecież mnie dobrze wiadoma jest rzecz, że po zupę, co była dla dzieci szkolnych, naj-

bogatsi nawet przysyłali służące z dzbankami i wylewali je świniom do koryta.

— Widać, psiokrew, jaka była zupa! — mruknął burmistrz.

— Tego pan nie gadaj! — wtrącił groźnie Pudłowicz, który był owej zupy rozdawcą.

Burmistrz zmieszał się trochę, siedzący zaś dłuższy czas cicho Przypiórski, zahuczał na cały głos:

— A po drugie, że w Ameryce, jak kto weźmie pieniądze, to sobie uważa za święty obowiązek odrobić, a tu — pieniądze weźmie, a tylko patrzy, jakby za to nic nie robić, nic nie dać. Nie wiem, co to za naród. Rzetelności nic nie ma — sama chciwość.

— Iii! — skrzywił się burmistrz ordynarnie. — Abo to, psiokrew, w amerykańskich kryminalach święci siedzą? I z was niejeden tyż — nie ruszy, może, ale nie położy — nie weźmie, ale też nie doda!

— I w Ameryce naciągają! — przyznał pan Uszko. — Ale tam w powietrzu jest: Uważaj! Sam sobie będziesz winien! Człowiek się z człowiekiem ucieszy! Tu w oczy ci będzie patrzył jak przyjaciel, jak brat — a jednocześnie kradnie! Tu, u was, nic się nie da zrobić, bo wy za nic macie sobie czas i własną pracę! Każdy z was jest własnem bydlęciem pociągowem!

— Ale wyście powinni byli o tem wiedzieć! — krzyknął dziekan.

— Tak jest, i w tem jest nasz grzech, za który teraz pokutujemy. Myśmy wiedzieli, że kraj jest zaniedbany ponad wszelki wyraz i wiedzieliśmy też, że jest bardzo bogaty. Przeszkód i trudności nie baliśmy się — w Ameryce drogi są bardzo cierniste —

aleśmy liczyli na dobrą wolę, na to, że tu ludzie pracować chcą, a tymczasem oni chcą tylko majątki zbijać — dlatego, proszę panów, abym skończył: Zbudować sokolnię, to rzecz bardzo łatwa! My ich mamy w Ameryce setki, a wystawiliśmy je sobie sami, lud roboczy. Ale tu? Niech panowie pomyślą — poco stawiać sokolnię ludziom, którzy jej nie chcą, którzy, gdyby ją wybudowano, woleliby ją zburzyć, byle tylko móc paść na tem polu gęsi, których w dodatku nigdy nie jedzą, a chowają je na pierze, ażeby mieć jaknajwięcej pierzyn i jaknajwięcej jaśków nakładać sobie na uszy!

Pan Uszko skończył, usiadł i przez chwilę panowało w klasie nieprzyjemne, kwaśne milczenie. Czuło się, że byłoby jeszcze dużo do powiedzenia i że niejednen miałby może ochotę czemuś zaprzeczyć, coś potwierdzić. Ale umysły prowincjonalne, umysły ludzi, żyjących w odosobnieniu, pracują powoli i nie są skłonne do zwierzeń. Kiedy milczenie zaczęło się już stawać nieprzyzwoitem, Pudłowicz zakonkludował:

— Więc na razie jest przynajmniej uratowany Sokół i jego grunt.

Tu, chcąc zmienić już temat, zwrócił się do siedzących w ciemnym kącie posępnych drabów.

— A wy coście są?

— My? Ady — sekcyjo zabawowo — w sprawie bólu strażackiego.

Goście, nie należący do tej sekcji, ubrali się pośpiesznie i wyszli.

Noc była już ciemna.

Guloni poszli kupą naprzód.

Kiedy Zagórski włókł się wolno wzdłuż ścian ciemnego rynku, usłyszał głos burmistrza:

— Iii, niech se ta, psiokrew, gadają! Co nam, psiokrew, szkodzi! My som my!

— A jak myślicie, Zagórski co zrobi?

— Co on ta, psiokrew, zrobi!

— Zawsze — uczony!

— Jaki uczony? Że, psiokrew, z książek różne słowa wypisuje? Taki uczony, psiokrew, to tyle, co ten, co inseraty, psiokrew, układa. Ktoby się go, psiokrew, bał! A dy on sam sobie, psiokrew, na własnym gospodarstwie rady dać nie może, wszystko, psiokrew, przepłaca — myślicie, psiokrew, że sokolnię wybuduje?

Dziekana i Ruskiewiczza poprosił Pudłowicz do siebie na papierosa.

Pojawiła się znów cytrynówka i kanapki ze śledziem, w kącie kanapy siedział też, w oczekiwaniu partyjki, katecheta, o. Inocenty z klasztoru, olulony w przestronny habit zakonny staruszek o drobnej, pomarszczonej twarzyczce tybetańskiego lamy.

Dzieskan, Ruskiewicz i Pudłowicz stanęli przy tacce, na której, niby skromne kwiatuszki, stały szeregami smukłe kieliszki z blade-zielonym trunkiem, tręcili się i podniósłszy w górę kieliszki, spojrzeli sobie w oczy. Prawa brew dzieskana uniosła się w górę. Ruskiewiczowi oczy się rozleciały, Pudłowicz zaś głęboko zajrzał w oczy dzieskanowi:

— Za sokolnię Zagórskiego! — rzekł znacząco. Księdzu lekko zadrgały kąty ust.

*

*

*

Pani Zagórska w starej bluzce i starych, sukien-nych, rozczłapanych pantoflach, odbywała wieczorną gimnastykę z dziewczynkami, które, trochę senne, lecz przejęte powagą chwili, w skupieniu naśladowały jej ruchy. Krótkie, rozkazujące: raz, dwa, trzy, cztery! — przytłaczało małeństwa do ziemi i podrywało je w górę rytmicznie. Na biurku stała lampa z nierówno obciętym knotem, źle palącą się i z zakopconem szkiełkiem.

Zagórski poskoczył przedewszystkiem zabezpieczyć swe papiery od zetknięcia z tłustą, umorusaną lampą, poczem, rozumiejąc dobrze, iż lepiej się na razie z żoną znudzoną i zadasaną nie wdawać, usiadł na swem zwykłym miejscu przy biurku. Tu się chronił, gdy mu życie zaczynało dokuczać i, wetknąwszy głowę w książki, plecami odwrócony do całego świata, tu przetrzymywał najsrozsze burze, zagłuszał się pracą lub też, udając bardzo zajętego, w skrytości ducha myślał o różnych pięknych i ciekawych rzeczach, czasem zaś pisywał długie listy, których jednak przeważnie nie wysyłał.

Tak też i teraz siedział, niby zaczytany, w rzeczywistości przechodząc w myśli wszystko, co tego wieczoru słyszał i czego był świadkiem. Mimo, że zebranie wypadło właściwie fatalnie i mogło zrobić wrażenie przygnębiające, Zagórski się niem tak bardzo nie przejmował, bo ostatecznie gruntu „gulonom“ zagarnąć się nie udało a to było najważniejsze.

Za to zastanawiał się bardzo nad starym Józefowiczem, którego wystąpienie wraz z atakami burmistrza na amerykańkan, dało mu dużo do myślenia.

Józefowicza obserwował przez dłuższy czas. Był u niego w domu. Widział pokoiki niskie, małe, staroświeckie, ale wybielone czysto i bardzo schludnie utrzymane. Sprzęty były w nich również stare, niemal ubogie, lecz wystarczające. Zarządzała domem żona pana Józefowicza, staruszka niepozorna, skromnie i ubożuchno ubrana: Zagórski, zajrzawszy w jej wciąż jeszcze piękne, błękitne oczy, zauważywszy ładnie wykrojone usta i delikatny rumieniec na gładkiej twarzy, domyślił się, że musiała być niegdyś bardzo ładna, ale tylko „dla męża“ i dla domu, bo zresztą skromność, a może przesadna obyczajność jej czy oszczędność męża prawdopodobnie nigdy nie pozwalała na efektowniejszy lub bogatszy strój, który mógłby tę jej piękność podnieść. Pani Józefowiczowa całe życie przechodziła w sukniach szarych, neutralnych, nie rzucających się w oczy i całe życie upłynęło jej w domu, na pracy dla domu. W takich zasadach wychowana, innego życia nie pragnęła.

Więc były tu zasady, był kult dla ogniska domowego.

Józefowiczowie wychowali sześcioro dzieci: jeden syn im utonął, jeden zginął na wojnie, z pozostałych najstarszy cieszył się opinią bardzo dobrego inżyniera, drugi był prawnikiem, trzeci studjował na akademji rolniczej; córka wyszła za mąż w Krakowie, ale pożycie jej nie było szczęśliwe. W każdym razie musiało się przyznać, że stary Józefowicz na wychowanie dzieci nie skąpił. A i teraz nie zapominał nawet o tych, którzy byli już na stanowiskach i co roku w jesieni, przed Bożem Narodzeniem, dobrze ładowna fura wiozła do Krakowa przeróżne zapasy żywności.

Przyjęć stary nie wydawał, jednakże podczas świąt gości przyjmował i częstował nie gorzej od innych; nie brakowało ani wędlin, ani tortów, ani wódki, ani papierosów — i widać było, że częstował szczerze, nie żałując, naprawdę gościnnie.

Żył bardzo pracowicie. Od wczesnego rana dreptał po domu, wszędzie był, o wszystkim musiał wiedzieć; podczas robót w polu, opalony, bez kapelusza, pieszo obiegał swe szerokie grunta, dozorując robotników, pracy, i na jego poważnej, ogorzałej twarzy widać było słoneczną radość rolnika i przejęcie się gospodarza, który cały zawierzył się ziemi i teraz niespokojnie patrzy w jej uśmiechniętą lecz nieodgadnioną twarz. Pod tym względem stary „gulon“ był nawet mięk szy od niejednego rolnika, nieczulego na piękno przyrody, lecz patrzącego na swą ziemię, jak na warsztat. On lubił o wschodzie słońca iść równą miedzą przez pszeniczne łąny, lubił szum deszczu w maju, lubił, siedząc na ławce przed swym domem, wpatrywać się w szkarłatną łunę zachodzącego słońca.

Ale z drugiej strony prawdą jest, że był człowiekiem niezmiernie nieużyтым, zaco fanym, bojącym się wszystkiego co nowe, samolubem, żyjącym tylko dla siebie i dla swoich. Opowiadano o nim, że sprzedaje stęchlą kaszę, stare nasiona, że się myli na swoją korzyść przy wydawaniu reszty, że mając przeszło sto morgów gruntu, na przednówku ćwierci żyta nikomu nie sprzedaje. O tem, że to człowiek nieuczynny, słyszał też nieraz Zagórski od żony. Było też gorzej: Józefowicz nie chciał raz dać wikt u pięciu żołnierzom, którzy przybyli do miasteczka z komisją poborową, a których kilku zamożniejszych

mieszczan kolejno u siebie gościło — a cóż to za koszt dla bogacza, mającego wszystko swoje!

— Złóżmy jednak to skąpstwo na karb słabości — tłumaczył sobie Zagórski. — Powiedzmy, że to zwyrodniała oszczędność. Wszyscy przecież żyliśmy jakiś czas pod znakiem oszczędności. Z groszowych składek budowaliśmy szkoły, sokołnie, fundowaliśmy biblioteki, legjony nawet. Tej oszczędności ten człowiek oduczyć się nie może, ale czy to jest grzechem? A zacofanie? Pochodzi z braku wykształcenia, z długoletniego przebywania na prowincji. Co taki Józefowicz może wiedzieć o Polsce? Co oni wszyscy?...

Powstał przed jego oczyma straszny obraz. Oto tysiące i tysiące małych, ciemnych miasteczek, o kilka mil oddalonych od kolei, o kilkanaście stacji od jakiegoś większego miasta. Gdzież jest Polska, wielka, sławna, „w wielkości i chwale“, uznana przez mocarstwa, wspaniała? Tu niema z tego wszystkiego nic. Jest to, co było, prócz nowej biedy, nowych oszustw, nowych złodziejstw... Tam są wielkie uroczystości, wojsko o pysznej postawie defiluje przy dźwiękach orkiestr i fanfar, tu przyjeżdżają urlopnicy w mundurach podartych, załatanych, bardzo skromni i niechętnie mówiący o swej służbie. Gazety? Miasteczko odbiera kilkanaście egzemplarzy zwykłej, brukowej gazetki, ale kilku tylko ludzi czyta ją codzień; niektórzy kupują ją trzy razy na tydzień, inni dwa. Pisma podwyższają wciąż cenę, a ludzie coraz mniej wiedzą, co się dzieje w kraju. W końcu przestaje ich to zupełnie zajmować. Czytają o różnych ważnych sprawach, ale o sobie nigdy. Nikogo nic nie obchodzi, nikt o nich nie myśli, więc, i ich prócz ich

własnych spraw nic nie obchodzi, więc i oni tylko o sobie myślą. Policjant miejski z bębmem, to dla nich jedyne źródło informacji i wiadomości ważnych i potrzebnych. Cóż się dzieje? To samo, co w ciebie, w którym wadliwie krąży krew. Tworzą się wrzody, zatory, obumierają mięśnie, członki. Czy takie ciało zdolne jest do długiego wysiłku, do skoku?

Więc otóż to zacofanie, wsteczństwo!

Zagórski duma i dziwne rzeczy przychodzą mu na myśl. Oczy się otwierają. Zaczyna rozumieć. Przypominają się książki, opowiadające o dawnych czasach, o rzemiosłach, o dawnym polskim przemyśle, o sławnych swego czasu jarmarkach. Niegdyś na Pokuciu, w górach, w Mikuliczynie. Zagórski miał starego służącego, suchotnika, który swego czasu pracował tam w hucie szklanej. Tę hutę zwinęto, suchotnik, który wiedział, gdzie się dawniej znajdowała, wygrzebywał niekiedy z piasku kawałki szkła — za to pracował tartak, który dzień i noc ciął drzewo na wywóz. Ormianie z Kut opowiadali Zagórskiemu o świetnym niegdyś przemyśle garbarskim w tamtych stronach; za czasów polskich u nich całe Węgry zaopatrywały się w safjan, za czasów austriackich zaś doszło do tego, że ci Ormianie musieli sprowadzać safjan z Węgier, a cały ich przemysł podupadł. Tak samo białe miasteczko — słynęło niegdyś szeroko i daleko ze swoich szewców, miało kilka cechów, miało przywileje królewskie, a potem przywileje mu odebrano, chciano je zrównać ze wsią, zniszczono mu przemysł szewcki wyrobami fabrycznymi z Czech i z Austrii, z szewców doskonałych porobiono partaczy, wyrabiających tandetne obuwie z kory, krytej nędzną skórą, i dążono wszel-

kiemi siłami do tego, aby to stare miasteczko zamienić w wieś, mieszczan zaś w chłopów.

Odgadnąć tych machinacji miasteczko nie mogło, nigdy nawet o nich nie myślało, ale, wiedzione instynktem samozachowawczym, broniło się, jak umiało. Stąd ta niechęć i oporne stanowisko wobec chłopów, z którymi chciano ich zrównać. Stąd nakaz chciwości na wszelki wypadek. Stąd oczywiście niechęć do wszystkiego nowego, mogącego zaszczerpić śmierć. Stąd ten upór, skrytość, bezwzględność, trzymanie się swego, zaciętość, posepność — wszystko cechy charakterystyczne ludzi, świadomie czy nieświadomie prowadzących walkę. A hasłem tej walki pewne siebie, niezłomne:

My som my!

Dzięki temu hartowi ci ludzie przetrzymali nicłość i ucisk prawie półtorawiekowej niewoli, dzięki temu wciąż jeszcze są, istnieją!

Odhartować ich?

Byłoby to równoznaczne z pozbawieniem ich największych wartości życiowych, z rozbrojeniem. A walka o Polskę toczy się wciąż i potrzeba właśnie takich, jak ci „guloni“, którzyby na cały głos krzyknęli światu w twarz swe harde: My som my!

Ale z drugiej strony ten sam gulon odsuwa się od wszelkiego udziału w pracy i myśli tylko o sobie. I nie chce żadnego twórczego czynu.

Zbyt biedny, zacofany, nie wierzy, nie ufa?

Naraz przyszły Zagórskiemu na myśl ruiny zamku, u którego stóp miasteczko leżało, chaos starych, wietrzejących głazów, poprzerastałych powyginanemi potwornie, sękatemi, grubemi sosnami, nie-raz, zda się, z powietrza ciągnących korzeniami swe

soki, lecz zdrowych i pnących się wciąż ku słońcu. Trudno się w tem rozeznać: Czy głązy trwały na swem miejscu dlatego, że je podtrzymywały giętkie, tęgie ramiona sosen, czy sosny rosły tak bujnie dlatego, że je otulały mocne boki odwiecznych, wie-trzejących, lecz wciąż jeszcze niezłomnych głązów. Dziwna mieszanina śmierci z życiem.

— Albo się to wszystko razem kiedyś zawali — zauważa Zagórski — albo porośnie lasem. Ale zamku nic już nie wskrzesi. Musi powstać coś zupełnie nowego.

ROZDZIAŁ II.

Czas mijał.

Zagórski żył spokojnie, pracował wytrwale. Budził się wczesnie, przed świtem — ale nie wstawał, lecz leżąc w ciepłym łóżku, trochę myślał, trochę drzemał a często przyglądał się narodzinom nowego dnia. Lubił patrzeć, jak ciemny szafir blednie i jak świt, jaśniejszy już od zahaftowanych ornamentów firanek, pojawia się w nich w postaci blade niebieskich, różnokształtnych gwiazdek. Po natężeniu światła poznawał, jaka jest pogoda. Czasem te gwiazdki jasne w oknach, powoli jak gdyby gasły — co znaczyło, że dzień jest słotny lub bardzo chmurny — czasem stawały się białe, wesołe — po czem Zagórski zgadywał, iż spadł świeży śnieg, kiedyindziej zaś nabrzmiewały zwolna złotem, zrazu czerwonym, potem coraz jaśniejszem — i wtedy łatwo było zrozumieć, że to wjeżdża przeczyste, promieniste słońce na wypogodzone, błękitne niebo. Nie było dnia, któregoby Zagórski nie witał z cichem rozrzewnieniem i wdzięcznością, a choć zdawało mu się, że zna je wszystkie, po dokładniejszym przyjrzeniu się przyznawał, że każdy jest nowy i każdy śpiewa swą własną piosenkę.

Przelawirowawszy zręcznie niebezpieczny moment wstawania i śniadania, podczas którego lubił spokój i nieco przytłumione, łagodne głosy, co przy dzieciach nie zawsze było możliwe, i wypiwszy po pierwszym papierosie szklanekę czystej, zimnej jak lód wody, przechodził do swego pokoju i zasiadał do roboty. Pracował intensywnie, nie wstając. O godzinie jedenastej przynoszono mu szklanekę gorącej czarnej kawy. Wtedy przerywał na chwilę pracę i popijając mocny trunek, przeważnie bez cukru, z zadowoleniem przyglądał się to piętrzącemu się coraz bardziej stosowi zapisanych kartek, to rozłożonym dokoła pootwieranym słownikom, to zapomnianym i porzuconym przez dzieci zabawkom, to wreszcie oknu, którego szyby szlochały od wiatru i deszczu, ciemniały od wirujących w powietrzu płatków śniegu, zaciągały się wzorzystą koronką mrozu, jaśniały błękitem lub drzemały sennie, jak kot pod piecem. Po chwili pracował dalej — ale przeważnie już z mniejszą pilnością, niż przed tem. Robiło się coraz jaśniej, coraz weselej, słychać było turkot wozów, jadących z drzewem, śpiewne tyrady lub śmiech tańczącej koło domu pani Maślakowej, pianie kogutów, pokrzykiwanie gęsi — wszystko wołało do życia, do ruchu — i Zagórski, wydzióbujący piórem ostrożnie słówka ze słowników, coraz żywiej zajmował się odgłosami, dolatującymi z kuchni. Wreszcie wstawał i zaczynał się wałęsać po domu.

Właściwie, ledwo że jest na czem siedzieć i przy czem zjeść. Ale oko Zagórskiego upiększa skromne sprzęty, co więcej, realnie widzi już te, które dotychczas widział w marzeniu. Tak marzenie spleta się z rzeczywistością w rozkoszny sen. Cienie tego,

co właściwie już było, mieszają się z cieniami tego, co może będzie: w ten sposób wszystko staje się cieniem. Tylko, oczywiście, nie żółty, zrosnięty w kłębek Guzik, śpiący koło pieca na miękim zielonym fotelu.

W jednym pokoju bawią się dzieci.

— Co wy, dziewczuśny, robicie?

— Bawimy się w szorowanie — odpowiada Basia.

— Bawimy się w szujowanie! — powtarza za nią Elżunia.

Myją podłogę. Zakasały sukienki. Z pudełka, niby-to z wiadra, wylewają wodę, szorują podłogę starami gazetami. Są bardzo zajęte i zapracowane.

Zagórski wchodzi ostrożnie do kuchni.

Co za smakowite aromaty!

— Daleko jeszcze do obiadu?

— Za godzinkę będzie! — odpowiada pani Zagórska, miotając się między garnkami.

— A co będzie na obiad?

Pani Zagórska odpowiada niechętnie.

Rzecz dziwna! Zagórski lubi zaglądać do kuchni, pani Zagórska uważa ją za kamerę tortur.

Na ten temat toczą się w kuchni nieraz ożywione rozmowy. Garnki na blasze syczą, pogwizdują. Guzik wygrzewa się przy piecu, kotek drzemie, zaś Zagórski siedzi na niskim stołeczku dziecięcym i peroruje: czasem o gotowaniu, o potrawach, czasem o innych rzeczach.

— Nie lubisz gotować! — mówi. — Niby dlaczego? To bardzo miłe zajęcie, nadzwyczaj miłe. Przyrządzać smaczne, dobre potrawy, stosownie do pory roku, dnia, usposobienia i smaku osób, które

się karmi, móc zawsze zrobić w łatwy sposób przyjemność —

— Innym, nie sobie! — wtrąca pani Zagórska.

— A czyż nie jest ci przyjemnie, gdy możesz sprawić przyjemność swym najbliższym! Ja sobie większej przyjemności nie wyobrażam.

— Ty robisz z gotowania jakąś poezję, a to zajęcie bardzo prozaiczne!

— O, wzniosła szlachetności uczuć! Prozaiczne zajęcia! Myślisz może, że poetyczniej byłoby, jak mi to raz pewna pani powiedziała: — Leżeć cały dzień w wannie z ciepłą wodą, jeść daktyle i pomarańcze i czytać romanse. Nie, moja droga, jesteś w mylnym błędzie, jak się wyraża pewien mój znajomy. Każda pożyteczna praca jest piękna. Zastanów się, czy to przypadkiem nie ty z poezji robisz prozę — swem ociąganiem się, swą niechęcią, opornością, przekorą...

— Ja! Przecie robię wszystko!

— Bo musisz! Ale nie chcesz!

— A, mój kochany, to trudno! Żebym ja jeszcze chciała być kucharką!

— Właśnie przeciwnie, kucharka musi. Wolałaby z pewnością robić co innego, ale że nic nie umie, więc musi gotować. Ty sama uznałaś za stosowne i najmądrzejsze wziąć się do kuchni, ty nie musisz być kucharką, możesz być tylko kochaną mamusią, przyrządzającą dobre potrawy dzieciom i mężowi... Jesteś szafarką przyjemności czy rozkoszy najtańszych, najdostępniejszych, lecz najmilszych. Zwierzę nawet ma szczególniejszy szacunek dla tego, kto go karmi... Otóż, jeśli to miłe i wdzięczne zadanie jest dla ciebie niewolą, jeśli

je spełniasz pod przymusem, to jesteś istotnie kucharką, ale to już tylko twoja wina.

— Więc cóż mi każesz robić?

— Trzeba pracę swą pokochać, trzeba w nią włożyć całe swoje serce, a wówczas — ona się wspaniale odwdzięczy. I taksamo jest z życiem, z przeznaczeniem — nie szemrać, nie buntować się, pokochać swą dolę. Jakakolwiekby była, zawsze ma dla człowieka za pazuchą prezenty — wierz mi — zaś opornych gnębi. Miłością można wszystko przewyciężyć! Dlatego jest ci też źle w miasteczku. Mieszkasz tu, a mieszkać nie chcesz — zatem musisz. Pogódź się z tą koniecznością — a pogodzisz się z miasteczkiem.

— Gulonką nie zostanę! — zachnęła się pani Zagórska.

— Któż ci każe zostać gulonką? Ja mówię o zupełnie innych rzeczach: Mówię o zbudzeniu w sobie miłości twórczej i czynnej, miłości, która nie byłaby biernym uczuciem, lecz motorem, żywym czynem... Ale wy tego nie umiecie!

— Co to znaczy „umiecie“? Czyż miłości trzeba się uczyć?

— U nas — tak. U nas ludzie nie umieją kochać.

— A czyż miłość — to sztuka?

— Naturalnie! I to największa na świecie!

Pani Zagórska nie podzielała poglądów męża i te rozmowy drażniły ją tylko. Miłość miłością, a fakt faktem: kuchnia kobietę niszczy, na prowincji ludzie się marnują.

On zaś, pokręciwszy się po kuchni i pociągnawszy kilka razy nosem, wycofywał się i szedł na ga-

nek, do ogrodu, potem przed dom, do swego ukochanego modrzewia. To zakapturzony, ciężko walcząc z wiatrem i śniegiem, to w kapeluszu, biegnąc drobnym, żywym kroczkiem, pojawiał się śpieszący od strony rynku w brunatnej kucie ksiądz katecheta, drobny, wychudły zakonnik, z twarzą jak z kości słoniowej rzeźbioną, lecz uśmiechnięty, a z klasztoru już wołał go dzwonek. Mogło się zdawać, że ten biedny księżyna chodzi stale w girlandzie wesołej, dzwoniącej muzyki. I natychmiast robiło się cicho. Na gościńcu zamierał wszelki ruch, ludzie znikali. Czasem tylko pani Maślakowa wychodziła swym elastycznym, sprężystym krokiem na gościniec i przysłoniwszy dłonią oczy, patrzyła w stronę miasta, czy mąż nie wraca. Porozmawiawszy przez gościniec z Zagórskim, zwymyślawszy męża zaocznie swym melodyjnym głosikiem, wykręcała się kokieteryjnie na pięcie i rozkołysawszy spódnice, uciekała w podskokach, jak mała dziewczynka.

Po obiedzie Zagórski pracował w dalszym ciągu do jakiej czwartej godziny po południu. Ale tu zaczynało go zwolna ogarniać zdenerwowanie. Co też przyniesie dzisiaj pocztą? Wiedział dobrze, że cokolwiekby przyniosła, nie przyniesie bezwarunkowo przed piątą, mimo to nie mógł już wytrzymać. Odkładał pióro, próbował czytać — napróżno. Bez czapki, w domowej kurtce tylko wychodził na w randę, przechadzał się po niej jakiś czas nerwowo tam i nazad, jak kapitan statku po swym mostku, z oczami zwróconemi ku rynkowi stawał przyswym modrzewiu, albo wreszcie dreptał po wydeptanej przez siebie ścieżynce od furtki do kapliczki świętego Jana aż do końca sadu. O, ta ścieżynka, utrzy-

mująca się bez względu na błoto czy na śnieg, aż do wiosny, póki jej nie zryła łopata, nie przykryła zieleni jarzyn! Setkę drobnych kroków zaledwie liczyła, a jak ogromna przechadzała się nią tęsknota, wylatująca daleko poza obręb miasteczka i błękitne góry na horyzoncie. Bywało, że podczas tej przechadzki dmuchał wiatr zimny, bywało, że w powietrzu wibrowały właśnie ostatnie purpurowe akordy dogasającego słońca, bywało, że padał deszcz — Zagórski nigdy jej nie zaniedbywał. Chodził, niby obserwując pasma gór blado-niebieskie, ciemno-granatowe, liljowe, nad niemi jasny złotogłów dogasającego nieba, czarne różgi trzech topól na cmentarzu, chmury, kłębiące się nad światem, gościniec, słuchał niby głosów dolatujących z daleka, w rzeczywistości jednak cała jego uwaga i siła wzroku skierowana była na wiodącą do rynku drogę, na której lada chwila miał się pokazać listonosz. Co przyniesie? Co może przynieść? Trzymane wciąż na wodzy z duszy rojem wylatywały naraz pragnienia, tęsknoty, życzenia tłumione, oczekiwania, serce było niespokojnie. Zagórski, zmęczony, siadał na ławce, którą umyślnie kazał tak postawić, aby z niej widać było drogę do rynku. Nareszcie — idzie! Poznać go było po chodzie, po błysku guzika lub torby...
Idzie!

— Gazetka, proszę pana filologa! — mówi listonosz niezadowolonym głosem.

Tak nie lubi przyjść z pustemi rękami, kiedy widzi, że go oczekują.

— Więcej nic?

— Reszta w drodze, ale jeszcze nie przyszła! — żartuje listonosz, śpiesząc dalej.

— Więc nic!

W pierwszej chwili gniew, ból... Nic! Nic! Tylko tych kilka chałup, dziewczęta plotkujące przy studni i dalekie, błękitne góry... A, jeszcze coś! Topole na cmentarzu! Tak, tak, trzeba się zwolna przyzwyczajać!

Jeszcze raz od furtki do końca sadu.

Z nieskończoności wyłaniają się jaśniejące gwiazdy.

— Nic.

Jeszcze raz od furtki do końca sadu.

W niedalekiej stodole Rogacza ludzie rzną sieczkę. Słyszać równy, rytmiczny chrzęst. Przed stodołą stoi dziewczka od krów, brudna, z zawałanymi gnojem, czerwonymi łydami w ruinach starych, rozlatujących się trzewików — matolek z gór, ledwo umiejący mówić. Patrzy, patrzy, przygląda się biegnącemu tam i nazad Zagórskiemu, wreszcie uśmiech rozjaśnia jej zwierzęcą, głupią twarz; wielkim palcem prawej ręki wskazawszy parobkom za siebie Zagórskiego, robi kółko na czole. W głębi stodoły wybucha brutalny, prostacki śmiech.

Znowu — od furtki do końca sadu.

— Niemożliwe, aby nie odpowiedzieli. List przyjdzie jutro, pojutrze. A gazetę tymczasem i tak przeczytać można.

*

*

*

Jednak od czasu do czasu coś się przecie działo. Pewnego dnia Milcia, która wczesnym rankiem chodziła do miasta po mleko, przyniosła wiadomość, że aptekarz kona.

-- Jakto — kona? — spytał zdziwiony Zagórski, do którego żona czempredzej z tą nowiną przybiegła.

-- Podobno już charczy! — rzekła pani Zagórska z miną rozplamienioną przez sensację.

Zagórski aż skoczył na łóżku.

-- Charczy! Cóż znowu za wyrażenie! Już charczy! Fúj!

-- Tak mi Milcia powiedziała, widocznie powiórzyła, co słyszała.

-- Nie potrzebujesz za Milcią powtarzać.

Kiedyindziej pani Zagórska z pewnością obraziłaby się i wszczęłaby długą dyskusję, ale dziś miała za dużo spraw do omówienia.

-- Jak ty myślisz, czy teraz Elza już jest wolna? — zapytała.

-- Niby dlaczego?

-- Przecie ojciec brał z nią ślub w zastępstwie tego lotnika!

-- Ależ to lotnik brał z nią ślub w osobie ojca! Czy ty tego nie rozumiesz?

-- Doskonale rozumiem. Tylko że skoro ojciec umarł, ślub jest nieważny, bo ten, co go brał, nie żyje.

-- Jakto? Więc i lotnik umarł?

-- Lotnik nie. Stary Majsztrykiewicz!

-- Widzisz, jak doskonale rozumiesz!

Większość w białem miasteczku w ten sam sposób zapatrywała się na sprawę. Czekano dalej: Co teraz zrobi Elza, czy się pogodzi z matką, czy matka jej przebaczy, jak się zachowa syn, bawiący na studjach w mieście, czy stary Elzy nie wydziedziczył, czy Ryś się z nią teraz ożeni.

Zagórski myślał o swem ostatniem widzeniu się ze starym Majsztrykiewiczem. Wstąpił do apteki po piramidon i parę artykułów, potrzebnych do apteczki domowej. Majsztrykiewicz, z twarzą czerwona i nabrzęklą od picia, w lodenowej kurtce sportowej, spodniach do kolan, pończochach i miękkich pantoflach, człapał cicho po aptece, obstawionej dookoła flakonami i słojami z czarnemi napisami łacińskimi. Zagórski, wiedząc, iż jest to jeden z najbardziej nieuleczalnych mizantropów w miasteczku, skierował rozmowę na temat stosunków miejscowych i oświadczył, że ludzie w miasteczku nie są bynajmniej tak źli, jak o sobie wzajemnie mówią, że są to rzeczy nieraz przesadzone.

Aptekarzowi aż oczy błysnęły.

— Nicch sobie będą, jacy chcą! — przerwał. — To, co ja mówię, nie jest przesadzone, to, co o mnie mówią, ja mam, za przeproszeniem, gdzieś. Ja z nikim nie żyję i żyć nie myślę. Mam siedzieć w klatce — będę siedział w klatce, dbam tylko o to, ażeby ta klatka była jaknajpiękniejsza.

Zagórski rzucił okiem na półki, chcąc się o piękności klatki przekonać. Białe, okrągłe flakony podobne były do czaszek ze spróchniałemi zębami.

— Skoro ci się ta klatka podoba — pomyślał — siedź-że w niej.

Wstąpił do szkoły, gdzie miał coś do załatwienia i wrócił. Przechodząc koło apteki ujrzał aptekarza, stojącego w oszklonych drzwiach, z nosem prawie że rozpląszczonym na szybie. Stary Majsztrykiewicz w swem zielonkowatym ubraniu, ze szklanemi oczami, utkwionemi przed siebie, wyglądał istotnie jak wypchany ptak za szkłem gablotki.

Ledwo zapomniano o jego śmierci, przysły nowe sensacje.

Tymczasem zima brnęła w śniegu i lodzie wciąż naprzód, dni stawały się coraz dłuższe, zbliżały się zapusty.

*

*

*

Ostaję za miasteczkiem, na małym wzgórku z szerokim, cudnym widokiem na piękną dolinę Dunajca, otoczony olbrzymiami, czcigodnymi lipami, szacunek wzbudzających rozmiarów, stał stary, murami obwiedziony klasztor Reformatów, pamiętający bardzo dawne i odległe czasy.

Zbudował go ongi i wyposażył w siedmnastym wieku jeden z panów polskich, niegdyś zapalony zwolennik reformacji i ofiarny protektor arjan, a zwłaszcza licznych w dolinie Dunajca n u r k ó w i Fausta Socyna ze Sjenny, później nawrócony, lecz zawsze gorliwy w życiu religijnem i myślący o zbawieniu duszy, a zatem niemniej czynnie, jak przedtem odszczepieńców, wspierający, po swem nawróceniu, Kościół katolicki, tak niezmordowanie przedtem zwalczany.

Zagórski dość często chodził na ten wzgórek.

Trochę smutny może był budynek klasztorny, w dość szlachetnych proporcjach barokowych utrzymany, biały, milczący, owiany szumem bezlistnych, czarnych koron ogromnych, starych lip. Kościół był ładny, miał groby śpiących z głową na dłoni rycerzy z czerwonego marmuru, w pancerzach, z niewy-

godnie założonemi nogami. Jeszcze piękniejszy był cmentarz klasztorny, otoczony dokoła murem, też pełen starych drzew, okolony stacjami pasyjnymi i tchnący niezrównaną atmosferą spokoju. Bywało tu ulubione miejsce rozmyślań Zagórskiego na wiosnę lub w lecie, kiedy konary drzew utworzyły jedno wielkie, szumiące i kołyszące się, zielone sklepienie, a w stłumionem, łagodnem świetle słonecznem dwa czarne, wielkie krzyże melancholijnie wyciągały swe ramiona.

Zagórski rad siadywał na ławce pod smutnym, płaczącym Chrystusem, słuchając szumu drzew i monotonnie kapiących dźwięków klasztornego zegara oraz patrząc na rozciągający się stąd widok. Po lewej stronie białe miasteczko z czerwonymi dachami, z groźną basztą zamku na lesistem wzgórzu, w głębi góry ciemno niebieskie, po prawej stronie białe, jak okruszyny sera, ściany rozrzuconych gęsto chat... Szeroko, jasno...

Kiedy sobie raz tak siedział, zastał go ojciec Inocenty, katecheta, miły staruszek, prosty i naiwny, jak dzieci, które uczył, zresztą jowialny, lubiący ludzi i partyjkę preferansa, a ponoś też straszny bicz na zakonników, nieubłagany, wciąż wszystko krytykujący i wścibiający wszędzie swe trzy grosze.

— I o czem-że pan dobrodziej tak pod tym Chrystusem żalonym rozmyśla? — zapytał z łagodnym uśmiechem starowina, stanąwszy obok Zagórskiego i złożony rękę na zakłęśności, niesłusznie brzuchem zwanej.

— Tak sobie myślę o wszystkim i o niczem potrosze! — odpowiedział Zagórski. — A ten Chry-

stus istotnie żalony. Taki zbolący, taki splakany...
I na czyją-że to pamiątkę taka smutna figura?

— Dziś rocznica! — rzekł poważnie ojciec Inocenty. — Zapusty!

— A cóż to znów za nadzwyczajna rocznica! — roześmiał się Zagórski.

Ksiądz Inocenty pokiwał głową i nie odwołując dobrotliwego spojrzenia swych jasnych oczu od Zagórskiego, zacytował półgłosem:

— Myśmy wszystko zapomnieli!

— Ach! — przypomniał sobie Zagórski. — Krwawe zapusty!

— „A stało się to w zapusty!“ — zanucił z cicha zakonnik. — Tak, tak, w okolicy są jeszcze tacy, którzy czasem, po pijanemu, tę pieśń śpiewają.

— Co ksiądz mówi! — wykrzyknął z oburzeniem Zagórski.

Dzień był ciepły. Ojciec Inocenty przysiadł się do Zagórskiego.

— Po pijanemu, po pijanemu, panie dobrodzieju! Kiedy Żydy w miasteczku za wódkę z nadto zedrą lub coś tam takiego... w górach, na złość, jak się nogi płaczą w drodze do domu... Ale zresztą to nie, niech Bóg broni... Wstydzą się... Uważał pan dobrodziej? W kościele farnym jest tablica jednego z zamordowanych panów z napisem... Nieraz chłopci prosili, żeby tę tablicę usunąć... Ale dziekan nie chce. W tych stronach piętnastu panów zabito...

— Piętnastu!

— Znęcano się nad nimi strasznie. Myśmy wszystko zapomnieli i dobrześmy zrobili, bo to zna-

czy, żeśmy przebaczyli. Piętno Kainowe starliśmy z czoł braci tem przebaczeniem...

Staruszek pomilczał chwilę, a potem wyciągnął swą suchą, drobną dłoń ascety w kierunku jednej z odwiecznych wiosek.

— Tam mieszkał ten administrator majątku — bo to Lanckorońszczyzna wszystko, kiedyś, wraz z ziemią spiską, magnacka fortuna Lubomirskich — tam, w tej wsi, mieszkał ów rządca-szlachcic — o nazwisko mniejsza. Owóz zaczęły się Krwawe Zapusty — przyszedli do tej wsi chłopci z Paleśnicy, straszna, pijana gromada. Zrabowali wszystko, pana postanowili zabić, po swojemu, okrutnie, „powoli, bo dobry był pan“. Pani prosiła, błagała, ofiarowała za niego perły piękne, co dostała w posagu. Napróžno. Wzięli go, w jednej koszuli na mrozie, po śniegu popędzili.

— Dokąd?

— Ku klasztorowi.

— To musiało być gdzie blisko...

— Właśnie tu. Chrystus na tem miejscu stoi...

O, jak nagle czarną chmurą przesłoniła się cała dolina! Zgasło błękitne niebo, zaciągnęło się ki-rem. Co widać? Niebo ołowiane, chmury na niem czarne, nieruchome, na ziemi biały śnieg, w powietrzu twardy mróz i tylko wrony czarne, wrzeszczące, żdziwione... Na drogach gromady pijane, krwawe, rozwłóczące chciwie wszelaki sprzęt, głosy podniesione, zdziczałe — i jęki, jęki i kłątwy i wrzaski okrutne...

— Tak przyprowadzili go pod klasztor — opowiadał ksiądz — a tu zaczęli po gołem ciele straszliwie cepami bić, gdzie kto trafił. Ale szlach-

cic był zdrowy, mocny. Padł na ziemię i jeszcze rzeźił dłuższy czas, aż mu wreszcie ktoś wbił widły w brzuch... Wtedy skonał! A to było właśnie tu, gdzie stoi figura, gdzie siedzi ten Chrystus zboleły... Niedawno to było, niedawno... A potem wpadli do klasztoru, zaczęli hulać... Widział pan dobrodziej w kurytarzach te podziurawione, pocięte obrazy, świętych z poutraćanemi głowami... To sprawiły chłopskie kosy, siekiery...

— Ksiądz widział?

— Nie! Opowiadano mi tylko. Ale jest tu kilku starszych ludzi, oni pamiętają...

— Nawet klasztoru nie uszanowali!

— W jednej z okolicznych wsi zamordowali proboszcza, odprawiającego mszę świętą. Powiadają, że krwi, która wówczas zbroczyła kamienie, po dziś dzień zmyć nie zdołano, a gdy w rocznicę morderstwa i zbeszczeszczenia świątyni ksiądz odprawia nabożeństwo i wygłasza kazanie, w kościele nie ma ani jednego chłopca. Pamiętają potem cholere, i nieurodzaj, i głód i opowiadają sami: — Chłop pieniądze garściami dawał, a nie mógł za nie chleba dostać. Wtykał je przekupce, a ona nie chciała brać...

— Dlaczego?

— Pan Bóg tak zrobił, że pieniędzy widać nie było. Nie mieli z nich ludzie żadnego pożytku.

— No, Szela spokojnie i w dobrobycie życia na Bukowinie dokonał. I że też mogło dojść do tej rzezi!

— Prosta rzecz! Rozpętano najdziksze instynkty...

— A od czegoż byliście tu w swym klasztorze wy, księża, duchowieństwo?

— Byliśmy bezsilni...

Tegoż dnia przypadkiem zebrano się na plebani wieczorem kilku panów. Więc był Ruskiewicz, łpiący nerwowo po ludziach zdziwionemi, wystraszonemi oczami, był Pudłowicz, Zagórski, jak zwykle wikary i Bruczkiewicz. Gościnnie i towarzyski dziekan wygrzebał z kredensu butelczynę wódki i wydebił u gospodyni zakąskę. Siedziano i zabawiano się w kancelarji proboszcza przy niewielkim stoliku, omijając starannie potężne, urzędowe biurko i szafy, pełne pięknie w skórę oprawnych, złożeniami błyskających dzieł teologicznych, poważnych miesięczników i innych uczonych mumij.

Ponieważ nie grano w karty, chwycono się innego, niemniej morderczego zajęcia: Rozmawiano o polityce. Zagórski, wolny od tego przykrego zбочenia, siedział cicho na miękim fotelu i z przyzwyczajenia przyglądał się ludziom, zwłaszcza nieodgadnionemu dotychczas Ruskiewiczowi.

Ruskiewicz miał głowę dosłownie srokata, to znaczy, w białe i czarne płatki; srokate było również ubranie i to Zagórskiego uderzyło.

— Ten człowiek, dziś kapitalista, jest przecie z zawodu krawcem — rozważał. — Ma z pewnością poczucie kolorów i wie, dlaczego wybrał ten materjał, a nie inny. Chce mieć ubranie dobre, ale nie rzucające się w oczy. Mimicry. Zatem on się czegoś boi, czyli — nie ma czystego sumienia.

Nagle ktoś wspomniął 46-ty rok.

— Czy to dziś możliwe?

Zagórski zauważył, że Ruskiewicz drgnął.

Przez chwilę milczano.

Pierwszy odezwał się ksiądz:

— No, kiedy wybuchła Polska, wołano, ażeby bić Żydów, panów i księży.

— Jakich panów! — rzekł Ruszkiewicz. — Tu dworów prawie że niema, są tylko drobni ziemianie!

— Przez panów oni rozumieją inteligencję! — objaśnił Pudłowicz.

— Rzeź! — wtrącił Bruczkiewicz. — O rzezi mowy niema, ale gdyby im pozwolono porabować?

— Ciekawa rzecz! — odezwał się Zagórski. — Obawiacie się, panowie — w teorii! rozumiem! — rzezi, a przecie, prawdę mówiąc, wszyscy pochodzicie z ludu, w każdym razie nie ze szlachty. I cóż to wykopało taką przepaść między wami a nimi? Co sprawiło, że wy, choć dzieci ludu, jesteście niby jakimiś, nadającymi się pod nóż panami?

— Ja ludzi nie wyzyskiwałem! — oświadczył niespodziewanie Ruszkiewicz. — Jeśli wymagałem od nich dużo, to i sam pracowałem ciężko, kładłem się o jedenastej, a o czwartej wstawałem.

— Dla siebie! — podkreślił Zagórski. — Ale pańscy robotnicy dla biednego zarobku... I w rezultacie pan masz mająteczek, a oni, jak byli dziadami, tak i są...

— Co nas dzieli? — mówił dziekan. — Kultura! Mnie nazywają arystokratą — dlaczego? Bo lubię ładne rzeczy i ludzi dobrze wychowanych...

— Tak, nie, kultura szlachecka! — rzucił Pudłowicz.

Zagórski zaprzeczył.

— Lud ma tę samą kulturę, co my... Niema co zwalać winę na szlachecką. Historia szlachecka już się skończyła. Co więcej, my jesteśmy w wysokim stopniu kosmopolici... Szlacheckizny w ludzie najwięcej zostało.

— Może właśnie z tego powodu... Może jesteśmy dla nich czemś w rodzaju jakichś Niemców czy Żydów...

— Tragedja polega na tem, że musieliśmy służyć i być sługami obcego rządu... Nad naszymi głowami bujał stale czarny dwugłowy orzeł...

— Tragedja polega na tem, że ci, którzy wyszli z ludu, nie wracają do niego! — wtrącił Zagórski. — Lud przez to jałowuje!

— Nie można niwelować. Trzeba podnosić!

— Ale w końcu powiedzcie mi, panowie: — Możliwa jest u nas jeszcze rzeź panów, czy nie?

Zrobiło się znowu cicho.

A po chwili odpowiedział dziekan:

— Nie wiem!

Nikt się nie odzywał.

ROZDZIAŁ III.

Znowu Antoś Szczygieł.

Zbuntowany, zły, może trochę podniecony. Zda się — coś pił. Włosy zjeżone, w nieporządku, oczy podkrążone, świecące, usta wygięte w łuk pogardy.

— Co takiego?

— Ach, nędza, zwykła nędza! Takie moje życie, robotnikiem jestem... Wiadoma rzecz. Ale trudno wytrzymać...

— Nie masz roboty?

— Roboty zawsze mam po uszy... Człowiek haruje od rana do nocy... Wiem, dostaliśmy Polskę bez skóry i ciała, pracować trzeba... Z niczego nic nie będzie... Więc pracuję — nie osiem godzin dziennie — szesnaście! A wyżyć nie mogę. Nic z tej pracy nie mam. Któż ma zysk z tych moich drugich ośmiu godzin? Bo ja, żebym nie wiem jak pracował, zawsze mam to samo... Żebym dwadzieścia cztery godziny na dobę pracował, nigdy więcej nie zarobię... Myślę: drożyna jest, trzeba poharować trochę, będę robił dwa razy tyle, co inni — a jednocześnie oszczędzał — a tu wszystko naraz o sto

procent drożeje. I zaś niedostatek, zaś braki, zaś nie wystarcza...

Tłumaczył mu Zagórski, że to nieuniknione, że to w ten sposób zasypujemy pustkę, jaka za nami została, że cały naród musi pracować ze zdwojoną energją i wytrwałością.

— Ależ ja z tej pracy nic nie mam!

— Nieprawda, ona cię żywi!

— Ona mnie zabija. Człowiek chwili czasu nie ma, ażeby świeżem powietrzem odetchnąć... Cały dzień siedzę skulony na stołku w dusznym, małym pokoiku... Płuca mnie bolą... Jestem taki osłabiony, że ledwo chodzę... A tu ani pożywniejszego nic nie można zjeść, wszystko strasznie drogie... Mięsa niema, albo na nie nie stać... Zdechnąć chyba! Kopyta człowiek wyciągnie, zanim się czego doczeka...

W głosie Antosia czuć było niemal rozpacz.

— Chciałem wyjechać do Czech. Pracowałem tam w jednej fabryce przed wojną, mógłbym wrócić. Nie możecie dać mi zarobić na życie tu, pójdę do obcych, nie będę wam ciężki, zarobię... Ja tam mam, proszę brata, dziecko, córeczkę...

— Toś ty, warjacie, dwa razy żonaty?

— Nie, tylko tak, ale zawsze przecie dziecko, osiem lat już ma, pisać umie. Z jednym wdowom dziecko miałem. Chciałem tam pojechać, możebym się tu nie ożenił — nie chcieli mnie puścić, bo jezdę żołnierz... Nie puścili... A tymczasem ona nie uwierzyła, myślała że farbę miszom, przesała mi list, że jezdę łotr, że rodzoną córkę porzuciłem... I jeszcze ten list sama córce podyktowała... Wiedzieć

o tem, że dziecko własną rączką do ojca pisze „ty lotrze“!

— I jakże ty mogłeś! — oburzył się Zagórski.

— Bo ludzie to som psy, bydło. I dziś nie jestem panem we własnym domu i dziś mi chomąto na kark chcą włożyć!...

— Jakie chomąto? Gdzie? Kto? — mitygował go Zagórski.

— Rodzina mojej żony!

— Dajże spokój! To przecież porządni ludzie, „guloni“, cisi, grzeczni...

— Brat Zagórski „gulonów“ nie zna! Grzeczni to oni są, gdzieżby gulon nie był grzeczny — grzeczny taki, że nic po nim nie poznać, ale przy całej grzeczności może z tyłu żgnąć nożem... Ja jezdem przecie ze wsi, myślałem, że oni są lepsi od chłopów, gdzie tam! Nie my jesteśmy chamy, oni — to dopiero chamy! Brat Zagórski by nie uwierzył — we troje w małej kuchence mieszkają... Aż tam czarno od brudu i sadzy. Okna nigdy nie otworzą... Swarzą się przez cały dzień... Wałęsają się to po kuchni, to po sieni i jednym ciągiem sobie dokuczają, grzecznie ale złośliwie... Jedzą pa-skudztwa jakieś, coby ich żaden chłop nie tknął... Piniondze przed sobą chowają po kuferkach, w jakichsi szparach, każdy sobie... Ja nie wiem, co to za ludzie są, chyba nie Polacy! Jak w niedzielę książkę czytam, to się ze mnie śmieją. Wyspałbyś się lepiej!

— Mój bracie! — odezwał się Zagórski, wysłuchawszy tych skarg. — Widziałeś trochę świata, przypatrzyłeś się, jak ludzie żyją gdzieindziej i te-

raz ci w domu trochę ciężko. Trudna rada, trzeba przywyknąć.

— Ale dlaczego ja mam przywykać do tego brudu, niechlujstwa, tych pajęczyn, zwisających z powały, do tego gnoju na każdym kroku, do tej ciemnoty! Brat Zagórski mówi o obcych krajach. Dlaczego u nas ma być gorzej? Ja, żołnierz, przyzwyczajony jeźdem w koszarach do porządku, a ci ludzie mieszkają w chliwach. Świńskie porządki mają u siebie, brudni są, nie kąpią się nigdy. Chłop w łachmanach jest czystszy od nich! A jest jeszcze jedna rzecz:

Tu Antos Szczygieł załamał rękę.

— Ludzie u nas nie umieją się kochać! Żlą się na siebie, dokuczają se, gryzą sie. My som przecie bidni ludzie — ledwo żyjemy. I brat Zagórski jest taki sam robotnik, jak ja. Ile razy przyjde, brat zawsze pisze, a nie widzę bogactwa żadnego, ani jakichś tam dostatków.

— Och, dostatków! — uśmiechnął się Zagórski.

— No, właśnie, to mnie brat zrozumie! Tacy ludzie powinni by się trzymać kupy, żeby se pomagać, a tymczasem jak jest? Obcy nie dokuczy tak strasznie, jak swój. Czem? Bo swój wie, czem człowieka może urazić. Wie, co boli. Kto mi najwięcej dokucza? Moja żona. Wiem, że mnie kocha, nie mówie i właśnie dlatego dogryza. Dopiero wtedy ij dobrze, kiedy mnie rozłości tak, że siedze na stołku i szczekam, jak małpa w lesie: Ty psiakrew! Ty cholero! Ty ścierwo! Żeby cie djabli wzięli! Żebyś zdechła! Bracie, siedze i szczekam — z bólu! A ona lata dokoła mnie i ujada. Co powie,

to zełże, żeby tylko dokuczyć! Zełże bez miłosierdzia najmniejszego!

Zagórski zmieszał się.

— No, tak, naturalnie, trzeba zrozumieć...

Umilkł.

Przypomniiał sobie naraz, że od dłuższego czasu miał to samo w domu. Właściwie — bezustanne piekło. Przez jakiś czas wykladał sobie to, jako walkę o indywidualność, jako następstwo pragnień niedorzecznych i nieziszczalnych. Ale jakież to znów były straszne pragnienia? Żona domagała się czasem wyjazdu do miasta, pianina, do którego przywykła, kilku sukien czy czegoś z garderoby, w czym — przypuszczała — byłoby jej do twarzy — drażniło ją, że nie ma odpowiedniej ilości bielizny — więc wymagania, jako takie, zupełnie słuszne... Młoda kobieta dopominała się o swoje życie... Doprowadzona do ostateczności, mściła się, burzyła, buntowała... Jak łatwo byłoby kiedyindziej uczynić załość tym wszystkim słusznym żądaniom — ile trzeba było zużyć słów, aby wykazać, jak niesłychanie trudne to jest dzisiaj... Stąd sceny. Sceny bolesne, których świadkami bywały dzieci. Ojciec przemęczony i przepracowany, a dotknięty do żywego, gdy weń strzelano zarzutem indolencji lub opieszałości; matka zapłakana i zdająca sobie sprawę, iż tego swego pracownika krzywdzi, a nie panująca już nad sobą —

Zagórski przysunął się z krzesłem do Antosia.

— Zrozumiej-że mnie, mój bracie! — zaczął mówić serdecznie. — Widzisz, dla nas to wielkie szczęście, żeśmy mogli wrócić do swego domu. Każdy

z nas, który od czasu Wielkiej Wojny i po tem miał choć przez pół godziny karabin w rękę, był poprostu skazany na śmierć. Ofiarowaliśmy się, ofiara została przyjęta, spełnić się musi. I spełnia się: na tobie, na mnie. A wraz z nami giną też nasze żony i dzieci. Jest im źle, są nieszczęśliwe, są biedne. Nie mamy im co dać.

— Nie widzę, ażeby tak wszyscy musieli cierpieć! — potrząsnął głową Antoś. — Szynkarz jakoś wychodzi na swoje, nauczyciel też, chłopu źle się nie dzieje, panu na majątku też nie... Stać ich na konie cugowe i samochody, ale my! Brat Zagórski nie uwierzy, ja koszul całych nawet nie mam. To, co przywiozłem, już się zdarło, a nowego nie mam za co kupić.

Zagórski roześmiał się głośno.

— Oj, Antoś, Antoś! A myślisz, że u mnie inaczej? Też w strzępach chodzę! Ale poczekaj trochę, wytrzymaj! Przecież ty zginąć nie możesz; ludzi ubierasz, a ludzie muszą w czemś chodzić, nie będą chyba chodzili nago. Ile to ubrań uszyjesz!

Ten argument podziałał; Antoś uspokoił się trochę.

— Brat ma słusność! — rzekł po chwili. — Ale dlaczego ludzie tak sobie dokuczają, dlaczego są tacy źli?

Zagórski westchnął.

— Sam powiedziałeś: Nie umiejają kochać! A dopóki się tego nie nauczą, dobrze im nie będzie, choćby się im Bóg wie jak świetnie powodziło.

*

*

*

Mróz ścisnął, że aż ziemia skrzypiała, a ludzie biegali, jak oparzeni. Miasteczko przycichło, zamknęło się w sobie, zacięło. Byle tylko przetrzymać tych kilka dni mrozu — po tem jeszcze wichura — od mrozu gorsza, a potem kończy się panowanie zimy.

Nareszcie — jedna noc zawyła przeraźliwie, długo, boleśnie. Przyszła wichura — skąd, trudno powiedzieć, bo dęła to z północy, to z zachodu. Ryk był, jak gdyby to ryczał potworny jakiś, olbrzymi, rozszarty zwierz. Ludzie chodzili przygnębieni, zmęczeni, dzieci były wylęknione, roskapryzione, miszerne.

Po wichurze spadł obfity śnieg. Zdawało się, że wszystko zaczyna się od początku.

A naraz coś się stało.

Rozpłakała się zima brylantowemi łzami.

Na niebo turkusowe triumfalnie i zwycięsko wyjechało przejasne, od złota kapiące, świetne słońce.

Powietrze, nasiąknięte mroźnemi, lodowatemi zakłęciami zimy, rozjaśniło się, uśmiechnęło... Wnet rozległ się w niem żywszy trzepot skrzydeł radośnie fruujących wróbli, a uradowane gołębie zaklaskały wesoło w białe skrzydła.

Rzęsiste, djamentowe lzy polały się z gałęzi drzew.

Srebrne w słońcu rury rynien zaśpiewały głośno dźwięczną pieśń o wiosnie.

Zagórski stał przed domem, wachając powietrze, jak niedźwiedź, który w swej jamie przespał zimę.

Miał istotnie wrażenie, że się zbudził.

— Zaiste, zima to straszna rzecz! — mówił sobie w duchu. — Straszna, jak śmierć! Jak ona zabija wszelkie życie w duszy, jak mrozi każdą myśl, jak truje każdy uśmiech! Zmora północna, zmora!

Stał tak, z radością przyglądając się białym chmurkom na niebie błękitnem, gdy wtem — pac! — kilka zimnych kropel wody spadło mu z dachu na głowę i pocięło za kołnierz.

Och, jakaż rokosznie zimna woda!

Zali to woda?

Przecie te lzy lodowate, to pierwszy dar słońca, pierwszy, choć zimny, owoc jego siły, jagódki złote, ze śniegu białego pierwszą myślą o wiosnie zrodzone.

Odwilż czarną ścieżkę wydeptała w sadzie na śniegu.

Różowo świeci śnieg na dachu drewnianym. Wtem — szum niespodziewany i huk. Z dachu komórki zsunęła się lawina śniegowa i chmurą białą padła na ziemię, bezkształtna już, bez życia — trup.

To ciosy złotej lancy słonecznej.

Na żółtej kupie nawozu stanęła gęś. Szeroko rozwinęła swe długie skrzydła, pokazując pierś mocną i białą, i machnęła niemi kilka razy, jakgdyby sygnał dając, a potem z długiej szyi wypuściła kilka fagotowych, łamiących się dźwięków.

Na ganku pojawiła się pani Zagórska.

Strzepuje jakiś dywanik, a jednocześnie przygląda się światu. Wygląda mizernie, ale oczy jej uśmiechają się do słońca. Za nią, oczywiście nie-

śmieło wysunęły się dzieci: stoją i patrzą jak olśnione.

— Uważasz, jakie w powietrzu dziwne rozrzewnienie? — mówi Zagórski do żony. — Żalność jakaś, jęk... To zima, złamana, płacze!

— Jak zima płacze? — pyta Basia.

— Popatrz — złotemi łzami.

— A dlaczego zima płacze?

— Bo wie, że musi sobie już od nas iść.

— A gdzie zima pójdzie?

— Na północ, daleko, za morze siwe, szerokie!

— A jak ona pójdzie za morze siwe, szerokie?

— Siądzie do koryta i wiosłując szuflą po morzu siwem, popłynie tam, gdzie niema ziemi, lecz tylko wielkie góry lodowe pływają po czarnych falach...

— To ona tam mieszka?

— Tam.

Dziewczynka patrzy przed siebie i powtarza w zamyśleniu:

— Gdzie niema ziemi a tylko wielkie góry lodowe pływają po czarnych falach.

Zdawało się, że wiosna naprawdę już idzie. Kiedy jednak Zagórski pewnego dnia wyszedł rano przed śniadaniem do sadu przywitać się z drzewami i sprawdzić, czy mu przez noc jaka wroga siła nie przestawiła czego w pejzażu, przeląkł się i westchnął smętnie.

Oto, mimo, że dzień poprzedni był ciepły, piękny i wiosenny, świat znowu przykrył się śniegiem. Wyglądał zupełnie jak śpioch, który wlaź pod białą pierzynę, naciągnął ją na oczy i ani myśli wstać.

Skąd się wziął ten śnieg?

Nie był jednomiernie rozłożony, leżał smugami, między którymi czerniała ziemia. Widać, w nocy przyniósł go z gór wichur i obrzucił nim drzewa i dom. Na gałęziach jabłoni i na popielatych słupach werandy wisiał śnieg pękami — jak narzucane gęsto białe róże.

Świat posmętniał, niebo wisiało nad nim szare, popielate, drobny deszczyk mżył i bezustannie skrapiał powłokę śniegową, dłubiąc w niej wielkie pory, ale dzień nie miał miny bardzo ponurej. Przeciwnie, zdawało się, jakby się uśmiechał, dumny ze swej subtelnej, pastelowej miękości.

A na tem popielatem tle pęki śniegu były istotnie niby rozkwitłe, roztrzepane kwiaty niepokalanie białej, dziewiczej róży. I nie mówiły bynajmniej o zimie, lecz o wspaniałości poranków późnej wiosny i lata, o cudnym rozkwicie słońca.

A także między ziemią a niebem więcej już było światła i sklepienie niebios nie zwisało tak ciężko nad światem, lecz rozpościerało się wysoko, zdobne w bajeczne, wciąż zmienne, majestatyczne freski chmur, biegle i lekko malowane przez rozbowiony wichur. Zaś w jednym miejscu ta szara opona naddarła się i błysnął z poza niej chłodny, lecz czysty, stalowo-zielonawy błękit.

— Nie, nie, zima nic tu już nie sprawi, musi odejść! — pomyślał Zagórski niby o żywej istocie.
Zima!

Twarda, biała, w śniegi odziana, w iskrzącej koronie z brylantów lodu, nieraz groźna i bezlitosna nawet, miewa przecie swe uśmiechy i swą poezję. Nie jest zupełnie pozbawiona uczucia. Lubi

gorące, złoto-szafirowe zachody słońca i lubi, ażeby na ciemno-szafirowem niebie nocnem gwiazdy świeciły bardzo mocno. Z pewnością po swojemu kocha świat i ludzi, zwłaszcza tych, którzy mają dla niej trochę serca. Teraz — odchodzi. Wie, że musi odejść — na długo.

A nagle zrobiło się jej żal.

Cicho, późną nocą, gdy wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie, na skrzydłach wiatru wróciła, obie-gła dolinę, pola, lasy, i sady, rozpląkała się nad ranem i znów uciekła, jak tkliwa kochanka na pożegnanie rzuciwszy ludziom na progi — swe białe róże...

Aż wreszcie nadszedł dzień ostatecznego zwycięstwa.

Na dzień jasny i wypogodzony natarły naraz tylne strażę zimy. W powietrzu rozegrała się wielka bitwa. Na czarnych chmurach leciał grad, siekąc na prawo i lewo. Ogromne potwory obskoczyły słońce, zawirowały płatki śniegu, zrobiło się ciemno i zimno. Ale tylko na chwilę — bo słońce otrząsnęło z siebie nieprzyjaciół, odsunęło ich od siebie kilku jasnemi promieniami i znowu pojawiło się świetne i uśmiechnięte.

Było chłodno. Na gościńcu połyskiwały zimno stalowo-niebieskie kałuże. Świat wciąż jeszcze niedowierzał słońcu.

Wtem stał się cud:

Gdzie tylko była odrobina mchu, dachy, sztachety drewniane, omszałe pnie drzew owocowych i wierzb, wszystko stanęło nagle w jasno-zielonym, żywym, szmaragdowym ogniu: Mchy i porosty zazieleniły się w jednej chwili. Ta cudna, nieopi-

sana zieleń buchnęła płomieniem z drewna i pnia a blask jej był tak silny, że wszystko zdawało się być zielone.

I to była pierwsza wiosenna iluminacja zwycięstwa.

* * *

A więc, licząc z dniem dzisiejszym, mamy przed sobą czterdzieści dni pogody! — odezwał się Zagórski do żony.

— Jakże to?

— A tak. Tak mówi meteorologja ludowa. Jeśli dziesiątego marca, to jest, w dniu Czterdziestu Męczenników, pada deszcz, następuje czterdzieści dni słotnych. Jeśli jest pięknie, jak dziś — snuje się precudny różaniec zwycięskiej chwały męczeńskiej, czterdzieści błękitem uśmiechniętych strof przedwiosnia i młodej wiosny. Taką perspektywę nazwę piękną w całym znaczeniu słowa. Jesteśmy już pod opieką potęg jasnych; hufiec triumfatorów eskortuje słońce.

— Trzebaby o ogrodzie pomyśleć.

Ludzie ośmielili się trochę; opuszczają swe izby.

Chłodno jeszcze, ale już jasno i słonecznie. Dzieci wyroiły się na podwórza i piszczą, krzyczą, goniąc dokoła domów, psy szczekają wciąż, koguty pieją rozgłośnie, fagoty gęsi rozbrzmiewają pod oknami, słyhać uparte, monotonne gdakanie kur. Już też rozlegają się i głosy ludzkie, to rozkazujące, to przekorne, już i gościniec zaczyna drgać i brzęczeć swym zwykłym tryłem wozowym. Choć właściwie nie czas

jeszcze na roboty w ogródkach, ludzie nie mogą wytrzymać. To nic, że siać, i sadzić będą dopiero w kwietniu, chce im się łopata czy motyką poszturchać, spróbować czy ziemia już odmarzła, czy mięka. Może zresztą zdaje im się, że wczesnem zabraniam się do pracy, przygotowaniem ze swej strony co tylko można, nadejście wiosny przyśpieszą. Pani Maślakowa już się w swym ogródku krząta, sąsiedzi nawożą ogródki, rozrzucają gnój, niektórzy i grządki kopią.

U państwa Zagórskich zjawił się sąsiad, pan Romaniszyn. Jest trochę zażenowany, nigdy u Zagórskich nie bywa. Zagórski też nie wie, czegoby sobie pan Romaniszyn od niego mógł życzyć. Sadowi go na kanapie. Pani Zagórska zajmuje salonową pozycję. Jest wizyta.

O pogodzie pani Zagórska mówić umie. To też wyklada biegle i szeroko. Na twarzy pana Romaniszyna znać zmęczenie i zakłopotanie. Nie wie, jak pani Zagórskiej przerwać. Zagórski chce mu pomóc.

— Ale pan właściwie z interesem przyszedł, nieprawda?

— Tak jest, z interesem, do pani dobrodziki!

— Bardzo proszę. O cóż idzie?

— Przyszedłem do pani dobrodziki z prośbą i zapytaniem, czyby pani dobrodzika nie chciała odstąpić mi tak z dziesięć tacek nawozu...

Pani Zagórska zmieszala się.

— O! — zawołał gość, zauważywszy to. — Ja bynajmniej nie chcę darmo! Chętnie zapłacę!

Pani Zagórska opanowała się.

— Proszę pana, przecież to drobiazg!

— Dziesięć taczek nawozu to żaden drobiazg!
— protestuje żywo pan Romaniszyn. — Ja mam trochę swojego, ale to mało. Mógłbym może wziąć od sąsiadów, niestety, nie żyjemy z sobą dobrze.

— Więc dobrze, dziesięć taczek nawozu. Może pan przysłać dziewczynę, kiedy pan chce.

— A ile mam zapłacić!

— Niechże pan da spokój! Niema o czym mówić. My tego na sprzedaż nie mamy.

Na to jednak pan Romaniszyn żadną miarą zgodzić się nie chciał i nalegał tak długo, aż pani Zagórska pieniądze przyjęła.

— Więc niech pan bierze! — mówiła, kładąc z zakłopotaniem kilka banknotów na stole. A że jej przykro było, iż za „takie rzeczy“ każe sobie płacić, zaczęła pana Romaniszyna pocieszać:

— My, proszę pana, nie trzymamy, jak pan wie, żadnych zwierząt. Wszystkie pomyje i inne rzeczy, które się gdzieindziej daje świnkom, u nas wyrzuca się na gnój, dlatego nasz nawóz jest bardzo tłusty.

— Nie zachwalajże znowu panu tak tego nawozu! — pośpieszył żonie z pomocą Zagórski. — Nawóz, jak nawóz, niema się nad czym rozpywać.

Ziemia woła.

Kto ma bodaj kilka łokci gruntu, drepce po nich zasumowany i rozmyśla. Wącha ziemię, krytycznym wzrokiem zgłębia nieskończone sklepienie niebieskie, delikatnie, z nabożeństwem przystępuje do krzaczków czy drzewek. Na agrestie widać już wyraźnie małe, ostre, zielone pączki. A więc jednakże ta krew zielona krąży! Małe, lśniące, purpurowo-brunatne pączki drzew owocowych pokryte są drobnutkim, srebrzystym puchem, migocącym w słońcu...

Człowiek przygląda się temu i bada pieczołowicie, troskliwie a uważnie, jakby własnymi oczyma chciał się przekonać, czy to wszystko żyje. A potem chodzi i chodzi, rozważa, układa, oblicza: co zasiał tu, co posadzić tam. W głowie ma cały ogród, a mózg jego jest pełen myśli zielonych, kwitnących, jasnych, nowych... Ta wizja ogrodu idealnego, rozkwitu świata z własnego ducha, to miraż cudowny raju utraconego, boskie poczynanie świata w sobie samym.

Zaczyna się gonitwa za nasionami. Każde zdobyte nasienie nową barwą dorzuca do wymarzonego ogrodu, nową radość ślubuje w niedalekiej przeszłości. Zaczyna się żałować, niemal boleć, że niema się tego czy tamtego. Jeśli czego nie można dostać, robi się tak żal, jakby ktoś bardzo drogi a spodziewany z całą pewnością, dał znać, że nie przybędzie. Dopiero wówczas spostrzega się, jak te spodziewane kwiaty czy warzywa zrosnięte są z człowiekiem, jak one mu są potrzebne prawie do towarzystwa, jak wielką w jego życiu odgrywają rolę. I to już nie jest chciwość, lecz raczej gościnność. W tym swoim ogrodzie chciałoby się pomieścić cały świat roślinny i z roskoszą myśli się o ciepłych księżycowych nocach letnich, w których to wszystko już się rozwinię i w których będzie się otoczonym nietylko wonią, ale i uśmiechem niezliczonych, małych, rozradowanych duszyczek roślinnych.

Ludzie stają się dla siebie łaskawszy, względniejsi, lepsi, dzieci odnawiają znajomości, zaniebane w zimie, odwiedzają się wzajemnie, oglądają. Starsi uśmiechają się do nich, widzą, że podrosły, cieszy ich to. Przechodzący, widząc kobiety, po-

rządzące ogródki, rzucają im słowa podziwu lub życzenia szczęścia. W ulicy wciąż śpiewają głosy kobiet i dzwonią dźwięczne okrzyki dzieci — to znów któryś malec się rozedrze i drze się całą godzinę uparcie, niemiłosiernie, do bezprzytomności.

A tymczasem świat robi się coraz jaśniejszy i barwniejszy. Zszyty jest z poważnego, ciepłego fioletu ziemi, błękitu nieba i świeżej, gorącej zieleni ozimin, zieleni, jaką się widzi u starych mistrzów na płaszczu Madonny. Jest to zieleń żywa, bogata w soki, kwitnąca, zwycięska. Wszystko to zaś obficie bramowane jest złotem i drga promiennieścią.

Taką jest sława przedwiośnia w białem miasteczku.

* * *

Poróżniwszy się z rodzicami, panna Elza Majsztrykiewiczówna a właściwie pani Elza Korzineck — wyjechała do Warszawy, gdzie miała przyjaciółkę, koleżankę z pensji, mężatkę, która ją nieraz do siebie zapraszała i ofiarowała jej u siebie mieszkanie. W ten sposób panna Elza mogła zniknąć z białego miasteczka, a jednocześnie być bliżej ukochanego Rysia, który również w Warszawie studjował.

Stolica pannę Elzę nie tyle olśniła ile podrażniła. Panienska z domu zamożnego, posiadająca własny, dość znaczny fundusz, więc pewna siebie, a marząca zawsze o życiu w wielkiem mieście, dostosowała się prędko do nowych warunków, i nadzieć się teraz nie mogła, że ludziom wogóle chce

się mieszkać w małych, prowincjonalnych miasteczkach i jak oni mogą się obejść bez tego wszystkiego, co wielkie miasto daje bez najmniejszego trudu, jako rzecz codzienną i zwykłą. Przekleła, znenawidziła białe miasteczko, które — zdawało się jej — przez swą dzikość i brak kultury, okradło młodość jej z wszelkiego wdzięku, użycia, rozkoszy. Jak łatwo, jak spokojnie żyje się w wielkim mieście, na każdym kroku dbajacem o wygodę swego mieszkańca. Tu nie trzeba polować na mięso u Duwcia, nie trzeba karmić się wciąż cieleciną, zapychać ciężkim, żytnim chlebem, jeść to, co się zdarzy — tu można wybierać w potrawach, w życiu.

Nie śpiesząc się, panna Elza używała jednego po drugim. Naprzód — ubrała się modnie, solidnie. Potem spróbowała wszystkich możliwych ciastek i słodyczy, zaczęła chodzić do teatrów i kinematografów — zrazu ze swą przyjaciółką i Rysiem, potem już z samym tylko Rysiem. Nikt jej w wielkim mieście nie znał, więc była śmiała i nikim i niczem się nie krępowała. Dla niej było to wielkie miasto, nie ona dla miasta. Bywała z Rysiem w kawiarniach, chodziła z nim razem na kolacje do lepszych restauracyj i w krótkim czasie zżyła się z miastem zupełnie.

Wreszcie przyszło to nieuniknione: stała się kochanką Rysia. Powiedzieli sobie, że trudno im czekać, aż Elza rozwód dostanie, że będą z sobą żyli, jak mąż i żona. Co to kogo może obchodzić? A co sobie miasteczko o tem pomyśli, na tem chyba mało zależy. Więc — żyli, jak mąż z żoną, z tą tylko różnicą, że nie mieszkali razem; nie składało się. Ale nie było w tem żadnego podstępu, najmniej-

szej nieuczciwości — poprostu, nie mieli odpowiedniego mieszkania. Połączywszy się, zrozumieli oboje, że to było jedyne, nieuniknione wyjście z sytuacji, że oboje do siebie należą i faktycznie są dla siebie przeznaczeni. Było to tak naturalne, tak niesłychanie naturalne, iż nie sprawiło na Elzie najmniejszego wrażenia; zdawało się jej, że tak zawsze było.

Ale Elza nie należała do tych kobiet, które myślały tylko o zabawie i przyjemnościach. Nie zapomniała o przyszłości i postanowiła i pod tym względem pobyt w stolicy wyzyskać. Zapisła się na kursa krawieckie, na kurs sztuki stosowanej, robótek, a ponieważ istotnie miała do tych rzeczy zdolności i lubiła je, przytem zaś była pilna, w krótkim czasie poczyniła niemałe postępy.

Śmierć ojca nie dotknęła jej, przeciwnie, dała jej wyzwolenie. Jako pełnoletnia miała wszelkie prawa do swego działu, który jej też musiano wypłacić. Brat pogodził się z nią łatwo, matka pogodzić się musiała. Elza, rozejrzawszy się w stosunkach, spostrzegła, że założenie w miasteczku szkoły krawieckiej miałyby pewne szanse powodzenia. Zgarnawszy tedy pieniądze, wróciła do Warszawy, aby skończyć rozpoczęte studja.

Teraz już wszystko zdawało się przybierać kształty coraz wyraźniejsze i jaśniejsze. Ryś będzie się uczył — ona zaś zacznie pracować na własną rękę, będzie niezależna, będzie człowiekiem. Czy kto wówczas ośmieli się choćby bąknąć co przeciw nim! A rozwód w swoim czasie przyjdzie.

Wobec tego zupełnie już przestała się krępować; niemal że mieszkała u Rysia, chodziła z nim do kabetów, bawiła się, nieraz płaciła za niego.

Wtem zauważyła u siebie dziwny objaw. W dzień była zwykle w jaknajlepszym humorze, zajęta pracą, otoczeniem, swemi planami; nad wieczorem naraz robiła się zmęczona, smutna, znudzona, zniecierpliwiona. Pokoik miała miły, urządzony wygodnie, prawie wytwornie, a kiedy zmierzch zapadał, nie mogła w nim wytrzymać. Kiedy raz, wracając z kursów, pomyślała, że do tego pokoiku wrócić musi, taka ją jakaś ogarnęła tęsknota, że się jej łzy rzuciły do oczu. Pobiegła do Rysia, zrobiła mu scenę; przerażony chłopak chcąc ją rozbawić, zaproponował jej kino, wspólną kolację — odmówiła, a za to posłała go po szynkę, masło, bułki, ugotowała na maszynce herbaty i spędziła z nim cały wieczór rada, że ma przed sobą tę twarz, twarz jedyną, poza którą widać mały parterowy domek, rynek, magistrat z komiczną wieżyczką, świętego Florjana wśród filarków, a po drugiej stronie rynku czyste, złotymi literami świecące drzwi apteki.

I, o dziwo! Ryś też był zmęczony i coraz częściej białe miasteczko wspominał. Już im się obojgu znudziły widowiska, kawiarnie, nieznośne kwartety po restauracjach, cukiernie, już ich męczył ruch uliczny i ten gwar ciągły, przed którym nigdzie nie można się było schronić, który wnikał w najskrytsze tajniki duszy.

Spędzali wieczory w pokoju Rysia, nie wychodząc na miasto. Rozmawiali o rzeczach potocznych, obojętnych i dobrze im tak było razem.

A naraz Elza spostrzegła, że ten Ryś jest jej całym białym miasteczkiem. Patrząc na niego, zapominała o Warszawie. W oczach stawało jej białe miasteczko, olbrzymia lipa pod szkołą, dalej osta-

wione kaszlany; potem widziała w duchu drogę do Dunajca, błonie, wikle, po lewej stronie posępną basztę zamku, dalej jasną, błękitną wstęgę rzeki. Obrazy te uspokajały ją, to prawda, jednocześnie jednak zrozumiała, że i jej Ryś jest z tem miasteczkiem nierozłączny, że choć z niego wyjechał i mieszka w stolicy, duszą tkwi w niem zawsze.

Spostrzeżenie to bynajmniej jej nie ucieszyło i Ryś przez nie wcale w jej oczach nie zyskał, przeciwnie, stał się teraz jakby uosobnieniem wszelkiej pospolitości, ociążałości duchowej, szarzyzny, prozy życia, wszystkiego co banalne, nudne, niezmienne. On był jej odwiecznym, nieuniknionym, zawsze tym samym mężem, nawet jako kochanek. Miała czasem wrażenie, jakgdyby drugi już raz wyszła za niego zamąż — do tego stopnia wszystko to było jej znane. A jednocześnie on był dla niej uosobieniem miasteczka, żywym pomnikiem jej dzieciństwa, młodości, pierwszych marzeń i porywów, pierwszych pocałunków, pierwszych burz życiowych.

Zdawało się jej, że jest wolna, a tymczasem miasteczko trzymało ją wciąż w swych szponach.

Wówczas przyszedł jej na myśl mąż, ów mąż ślubny, a przecie nieistniejący, prawie już zapomniany Otokar Korzineck. Nie miała najmniejszego wyobrażenia, co się z nim dzieje, właściwie nie знаła go zupełnie, a jednak czasem nie bez zadowolenia myślała, że przecie poza tem życiem, poza tem wszystkim, co ją otacza, ma prawo do czegoś innego, co wprawdzie jest gdzieś w przestrzeni, nieuchwytnie jak cień, a jednak należy do niej, tajemnicze, nieodgadnione, niewiadome. I ten lotnik, ten

jej mąż, stawał się w jej oczach postacią nadzwyczajną, niby z baśni. Był najpiękniejszym chłopcem na świecie, a codziennie innym. Był wysoki, wielki, mocny, wspaniałomyślny, mądry. Myślał tylko o niej. Dążył ku niej wciąż przez nieznanne kraje, przez morza. Przynosił jej ze świata wszystko, czego jej świat odmawiał, był jedynym źródłem szczęścia.

— Dość mi już Warszawy! — rzekła jednego dnia do Rysia. — Wracam do domu.

— Cóż tam będziesz robiła?

— Otworzę kurs krawiecki.

— A ja?

— Cóż wielkiego? Przyjedziesz na Wielkanoc na wakacje...

— A tobie nie będzie smutno samej?

— Samej? — zdziwiła się...

Przecież ona nie jest już sama. I nigdy nie była sama. Ma swego pilota. Kto wie, może on nawet kiedy przyleci po nią i weźmie ją ze sobą... Dokąd? Ach, dokąd?

Elza wróciła do białego miasteczka i otworzyła szkołę szycia i kroju. Pracuje, chodzi na przechadzkę z panną Wandą i z Rigiem.

Zaś Ryś nie może zrozumieć, dlaczego Elza wyjechała, a teraz pisuje do niego takie poetyczne, rozręsknione listy...

*

*

*

Minęła Wielkanoc z urzędowym przyjęciem u dziekana, z tymi samymi gośćmi, mowami, potrawami i napojami, minęło przedwiośnie. W miarę,

jak wiosna rozkwitała, ludzie zaczynali się coraz bardziej rozpraszać. Całe rodziny wychodziły w pole na robotę. Miasteczko pustoszało, mieszczanie zamieniali się w rolników, twarze ich rozjaśniły się, wypogodziły, ruchy stały się żywsze, głosy donośniejsze. Byli jakby przemienieni.

— Dziwni ludzie! — myślał o nich Zagórski. — W zimie mieszczanie, w lecie chłopi. To musi prowadzić do dwoistości myślenia, czucia, życia. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, po której stronie oni są prawdziwi, po której żyją naprawdę.

Jednakże niezbyt się zastanawiał nad tem pytaniem. Nie było czasu, chęci, potrzeby. Każda myśl ludzka rozpuszczała się w błękitie niebios, w świetle słonecznym, w lśnieniu fal drgającego powietrza. Nie było to lenistwo, lecz bezsilność wobec uroków prawdy i rozkwitu nowego życia. To pociągało przemożnie i przykuwało do siebie całą uwagę.

Podobnie jak dzieci, tak i starsi zaznajamiali się na nowo ze światem. Pokazało się, że każdy ma znajomych i ciekawy ich losu, chce się przekonać, jak spędzili zimę, czy żyją w zdrowiu. Ten odwiedzał jakiś głóg na miedzy, drugi szedł z wiozą do „swojej“ brzoźki, tamten patrzył czy lilje żyją, inny zaś szedł do jaru pod klasztorem posłuchać szmeru płynącego olszyną strumienia młyńskiego, nad którego brzegiem zeszłego roku wylegiwał się na piasku. Rok minął, a jednak właściwie nie zmieniło się nic. Nie znać było nigdzie strat, ubytków.

Panie zrzuciły ciężkie płaszcze, chodziły w sukniach lżejszych, jaśniejszych. Panna Wanda, okazała, bujna, obnosiła po świecie swą dojrzałą pięk-

ność, pewna już siebie i przyszłości, bo została narzeczoną młodego kapitana piechoty. Panna Elza, drobna, smętna, chodziła do jaru, gdzie siadała na zwalonym pniu i zapatrzona w wodę, długo dumiała. Postrojone jaskrawo żydóweczki w krótkich spódniczkach, jedwabnych pończoszkach i lakierkach przechadzały się długim, pstrym szeregiem, trzymając się pod ręce. Salcia, biegając po wodę, pokazywała figlarnie swe białe ramiona i łydki, a wieczorami grała na mandolinie pod oknami Duwcia, opłukanego z krwi cielecej, wystrojonego i wyglanowanego, pani Maślakowa uszyła sobie granatowy szlafroczek z purpurowemi wyłogami i tak czarowała z poza balasków swego ogródka, słowem, wszystko zaczęło nabierać nowych kolorów.

Dzieci znalazły sobie wyborną zabawę. Zwyczajem gulonów, lubiących dużo wymagać, lecz nie lubiących dużo płacić, Przypiórski najął do służby matolka-niemowę. Niemowa, żalorny pokurcz, wymawiał jeden tylko dźwięk, mianowicie „da“. To dzieci podchwyciły i teraz, jak tylko matolek pokaże się na ulicy, wszystkie dzieci zaczynają za nim wołać: Da, da ,da, da, da, da, da, da, da, da! Bawi je to. To da, da, da, da rozlega się w ulicy cały dzień na różne głosy, jakby to krzyczało stado kawek.

Chłopcy od Wurmera mają własną zabawę; puszczają w powietrze gołębie z podciętemi skrzydłami. Ptaki, nie mogąc się długo w powietrzu utrzymać, siadają na dachu, a wówczas Lejbuś śmiga do nich kamieniami; ogromnie go cieszy, że może rzucać „do żywego“.

Zagórski nie mógł usiedzieć w domu. Ale nie wychodził za miasto, w pole. Miał przecie na każdym

kroku wiosnę w miasteczku. Pod jednym oknem miał krzak bzu — musiał się z nim przywitać, obejrzyć go, zapytać czy zakwitnie. Pod drugim oknem rosła zgrabna, smukła wisienka, trzeba się było przekonać, czy nie uszkodzona przypadkiem. należało też obejrzyć orzech, jeszcze bez listka, ale już nabrzmiewający sokami. Na jasnej zieleni agrestu czerwonymi, świecącymi centkami znaczyły się biedronki. Dopiero po ponownem zaprzyjaźnieniu się z tem wszystkim można było wyjść trochę w świat.

Więc: Przed szkołą, obok osławionych kasztanów, rosła olbrzymia, odwieczna lipa, nadzwyczaj piękna. Cały ten gmach, bo to był gmach, a nie drzewo, zazielenił się. Lecz to jeszcze nie było wszystko. Przed południem, podczas pauzy, dzieci wybiegały ze szkoły i tu się pod tem drzewem bawiły. Z daleka — rój motylków, czy kwiatków latających, rój roześmiany, krzyczący, śpiewający, różnobarwny... Wśród dzieci Pudłowicz, dostojny, posągowy, ale i jemu wiosna zapaliła w oczach wesołe światelka.

Okna kancelarji rejenta otwarte; słyhać głosy, śmiech. Na biurku, na stołach kwiaty. Rozparty na krześle, z cygarem w rękach, rejent śmieje się.

— Cześć i pozdrowienie, towarzyszu zacny! — woła rejent serdecznie na widok Zagórskiego.

W duchu myśli:

— Krypto-endeck cholera, już się włości, już się szwenda, już coś węszy!

Ale mimo wszystko podchodzi do okna, podaje Zagórskiemu rękę i potrząsa nią serdecznie — bo jednak wiosna, niech sobie i krypto-endecki żyją.

A Zagórski myśli:

— Krypto-burżuj! Udaje socjała, żeby mu się do kieszeni nie dobrano, a córki wychowuje w klasztorze!

A wita się z nim i uśmiecha się do niego serdecznie — bo jednak wiosna, a cóż szkodzi, że sobie taki krypto-burżuj żyje. I on też człowiek.

Porozmawiali chwilę, poczem Zagórski poszedł dalej, na plebanję, do dziekana.

— Dzień dobry księdzu dziekanowi.

Siwa głowa odwraca się, widać pogodną, uśmiechniętą twarz.

— Wie ksiądz dziekan co? Wiosenka!

Dziekan wstaje, przeciąga się i wygina, jak kot, zaciera ręce i podchodzi do okna.

— Ależ to wiosna, wiosna! — powtarza.

Ma ją w oczach. Wszyscy ją mają w oczach.

To są właśnie najciekawsze ogródki.

Bo naturalnie, kwiaty na wiosnę kwitną, ale czy i dusze ludzkie rozkwitają?

I to jest najważniejsze:

— Albowiem to znaczy, proszę księdza dziekana, że gdybyśmy potrafili rozpalić w ludziach niegasnące słońce wewnętrzne, słońce duchowe, wiosna byłaby wieczna i uśmiech ludzi nie gasłby nigdy.

Dziekan uniósł w górę brwi.

— Jakież to słońce?

— Słońce miłości!

— E, rozpalone już dawno, tylko się ludzie grzać przy niem nie chcą.

— Podsycać je czemś trzeba!

Oto problem, który Zagórskiego coraz żywiej zajmować zaczyna. Wracając do domu, myśli o nim,

słuchając jednocześnie pieśni nabożnej, śpiewanej przez dzieci na dwa głosy.

Myśli wciąż.

Bo oto na każdym kroku spotyka się z bezmierną, wszystko ogarniającą miłością.

Już słońce, które go wczesnym rankiem budzi, jest najwyższym objawieniem miłości. Wezwania jego nie usłuchać nie można, więc Zagórski w kimonie wychodzi i siada w sadzie na ławce pod jabłonią. Powietrze jest przezyste, muszki jakieś czy pszczoły brzęczą, słońce grzeje... Nie można myśleć, nawet patrzeć się nie chce. Zagórski zamyka oczy, pochyla głowę i tak siedzi niby omdlony. Jest mu rozkosznie, ale zarazem dziwnie smutno...

Wreszcie przychodzi do siebie, wstaje... Jak chłodząco ziemia dotyka stóp, jak orzeźwiająco jest dotknięcie zimnej rosy... Jak rozkosznie sączą się przez blaski skośne promienie słońca... W ogródku, przed domem, już jakieś pędy zielone, jakieś wczesne jarzynki — o, wisienka!

Zagórski zbliża się powoli do drzewka i staje zdumiony, wzruszony.

— O, ty drzewino wdzięczna!

Wisienka, wczoraj jeszcze w białe koraliki tylko zdobna, rozkwitła.

— I teraz będziesz stała w białej sukieneczce pod mem oknem! — cieszy się Zagórski.

Szepcze do niej pieśzcotliwie, cicho, jak do rodzonej córki.

— Ale to może i ta duża wiśnia już rozkwitła!

Zadziera głowę w górę, patrzy: Wiśnia wielka, gałęziami aż na dach domu sięga. Coś tam bieleje — nie widać dobrze, co — Zagórski w kimonie

posuwa się tyłem ku furtce, wychodzi przed kapliczkę, na gościniec.

— Ach, Boże!

Drzewo z jednej strony obsypane srebrem. Kwiecie aż lśni w słońcu.

— Niewypowiedziane bogactwo! — szepcze Zagórski zachwycony.

Na drugi dzień połowa drzew w sadzie zakwitła, na trzeci — wszystko tonęło w kwiatach. Kiedy się stanęło na gościncu i spojrzało w tę, czy w drugą stronę — miało się przed sobą aleję kwitnących drzewek, olbrzymie, białe, zrzadka różowe bukiety. Ulica była jakby przystrojona na czyjeś uroczyste przyjęcie.

*

*

*

Znadejściem wiosny wznowiono też w miasteczku roboty. Powolny, flegmatyczny; lecz uparty amerykańczyk, Przypiórski, nieznacznie ale stale dźwigał swą czerwoną kamienicę, prawie sam, z kilku zaledwie robotnikami. W starych, wytartych spodniach, z rozchełstaną na piersiach koszulą i z zakasaniem rękawami, układał cegły, mieszał wapno, znosił rozmaite deski i deseczki, coś woził. Przyglądała się mu zdaleka żona, ładna kobieta z dzieckiem na ręku i Zagórski rozumiał, jak ona, patrząc w milczeniu na rosnący powoli dom, marzy o nowym życiu, o piętro wyższym już od dawnego. Więc przecie wyjdzie z guloństwa, może nawet czystego, ale mało kulturalnego i będzie mogła żyć, jak ży-

ją ludzie na świecie w obszernych pokojach, urządzonych nowoczesnie, przyzwoicie higienicznie.

— A to przecie krok naprzód! Ta się już nie cofnie.

Budowali i inni, przeważnie amerykańskie lub też za przysłane z Ameryki pieniądze. Nie budowali, nie odnawiali swych domów ci, którzy już na białe miasteczko nie liczyli. Sprzedał swój dom jakiś Żyd, mający w Ameryce brata, który go zwywał do siebie.

Gospodarowali też w mieście cieśle z żywociękiego, „kwiczoły“, górale z czysto ogolonemi podbródkami, z profilami twardemi i ostremi, jak topory, z któremi się nigdy nie rozstawali. Robotnicy to byli znakomici, zgrani ze sobą, jak drużyna sportowa, zręczni, wprawni. Stawiali i odnawiali domy drewniane. Jak przystało na ludzi z obcej ziemi, zachowywali się godnie, grzecznie i trzymali się poważnie kupy.

Topory stukwały, piły zgrzytały, ruch był żywy.

Wracając raz znojnem południem z przechadzki Zagórski ujrzał, jak ktoś wyniósł z szynku wielką, ociekającą pianą szklanę piwa parobkowi, stojącemu tuż obok przy wozie, naładowanym wysoko drzewem. Zziajany i zgrzany parobek, czarny już od młodego kwietniowego słońca z taką przyjemnością od jednego zamachu wysuszył wielki kufel, że Zagórskiemu w jednej chwili przyszła niepohamowana chęć na piwo. Nie namyślając się, wszedł do szynku.

Było tam chłodno i — po blasku słonecznym — ciemno. Ktoś stał przy szynkwasiu z kuflem w ręce; ujrzawszy Zagórskiego, uklonił się, na co Zagórski

odpowiedział również ukłonem, choć nie wiedział kogo ma przed sobą.

— Jest czarne piwo?

— Nie, to myśmy sobie tylko z porterem zmieszali! — odezwał się uprzejmy, dźwięczny głos. — Od świtu byłem w lesie, ładowaliśmy drzewo i takżeśmy się z chłopakiem zmachali, że aż nam języki do podniebienia przyschły.

Zagórski poznał mówiącego. Był to amerykańnin, pan Uszko.

Zjawił się przed Zagórskim wielki kufel oroszony, z czubem gęstej, żółtawej piany. Zagórski był smakosz: Tedy naprzód, rzucił okiem na rynek, rozciągnięty płasko, gorący, biały, jak naleśnik na patelni, potem pomyślał, że w szynku jest miły chłód, następnie podniósł w górę kufel, aby się przekonać, czy piwo czyste, wreszcie dmuchnął w pianę, nadpił trochę, zwolna zaczął podnosić szklanicę w górę, przechylił dobrze głowę, wypił wszystko, postawił szklanekę na stole i odetchnął głośno z zadowoleniem:

— Aaaaa!

— Dobre piwo! — pochwalił pan Uszko.

— Doskonałe!

— Takiego piwa teraz w Ameryce niema! — rzekł pan Uszko. — I polskie piwo będzie wciąż lepsze, bo nie ma konkurencji zagranicznej i może się spokojnie wyrobić. I tak jest ze wszystkim!

— Proszę!

— Rozumie się. Niech nam tylko nie przeszkadzają, niech nam dadzą spokój — zrobimy wszystko.

— Cieszę się z tego, co słyszę. Widzę, że się pan przecie z Polską pogodził. Więc pan nie wyjedzie?

— Wyjadę. Muszę wyjechać. Tu niema co robić.

— O, przeciwnie. Ale przyznaj pan, panie Uszko, że wy nie umiecie tu pracować. Bardzo wiele winy jest po waszej stronie.

Uszko roześmiał się.

— Ja tego nie taję! — przyznał szczerze. — I nikogo nie winię. Wracać muszę, bo poprostu nie mam już pieniędzy. Ale wszystko tu zostawiam, dom, grunt, siedem morgów lasu. Jadę na trzy lata, ażeby zarobić. Jak zarobię, to wrócę. Pozwoli pan się przysiąc?

— Bardzo proszę! — rzekł, robiąc miejsce, Zagórski.

— Otóż z nami, amerykanami, to jest tak, panie filologu: Długo nie mieliśmy ze starym krajem łączności — prawie dziesięć lat, bo wciąż wojny były. Przywykliśmy do stosunków amerykańskich. Nie mieliśmy informacji z kraju, nie wiedzieliśmy, co się dzieje, wyobrażaliśmy to sobie zbyt łatwo. Kto był w Ameryce mechanikiem, chciał w kraju być dyrektorem.

Tu pan Uszko roześmiał się głośno, stuknął kuflem w stół i zawołał:

— A Stary Kraj się nie dał!

— Przecież nikt się wam bronić nie chciał, nikt nie przeszkadzał!

— Przeszkadzały stosunki — a myśmy tych stosunków nie znali. Zdawało nam się, że nasze dolary wystarczą. Tak, wystarczyły. Jeden, drugi postawił sobie dom — przyzna pan, żeśmy tych domów postawili dużo i że one wyglądają już inaczej — ale kiedy dom stanął, pokazało się, że dolarów już

niema. Co dalej? Zanim ja się w kraj wzięłem, zanim poznałem stosunki — dolary mi wyszły, muszę po nie znowu jechać. Przedstawiąłem tu kapitał dziesięciu tysięcy dolarów — dużo, co? W Polsce to jest — nic. Mały młyn można za to postawić! Za to będę teraz trzy lata w Ameryce pokutował. Myśmy nie wiedzieli, że Stary Kraj tyle pochłania i tyle może dać. Polska — to bardzo wielki interes. I byle czem się do niego wkupić nie można. Ja to wiem, mnie pan filolog wierzyć może!

— A przecie pan sam mówił, że tu nikt robić nie chce.

— Robią ludzie na stary ład, to znaczy, robią zamało. Ale to jeszcze przyjdzie. Nowe życie ich do tego zmusi. To życie już idzie — i Polska stanie się nową Ameryką. A siły ma — ogromne!

Tu pan Uszko spojrzął przed siebie na rynek biały w spiekocie słonecznej, zamyślił się i powtórzył:

— Tak jest, myśmy bitwę z Polską przegrali. Nie wiedzieliśmy, że ona taka żywa. Tylko że to jest jeszcze jak młode wino, zakorkowane w butelce: fermentuje!

ROZDZIAŁ IV.

Pani Zagórska czuła się bardzo źle.

Pewna melancholja, czy nawet przygnębienie szarych miesięcy zimowych działało na nią kojąco; zrywała się do jakiejś walki, w gruncie rzeczy burzyła się nieraz, zdawało się jej, że jest w klatce, jednak była zrezygnowana. Sama przyroda ograniczeniem życia uniemożliwiała wszelkie loty czy porywy; trzeba było siedzieć w domu. Ale wiosna — wyzwała, budziła, rozdrażniała, osłabiała. W duszy znowu zrywały się tęsknoty, nerwami wstrząsało zniecierpliwienie, gniew, bunt. Przez pootwierane szeroko okna widać pogodny uśmiech jasnego nieba; drzwi też szeroko otwarte, aby wyjść niemi. Gościniec suchy już, aleją białych sadów biegnący, przecie prowadzi dokądś, do czegoś, co jest tam, nie tu, do zmiany, do życia... Pobiegła nim dusza w dal, w tem czuje, łańcuch ją szarpie... Nigdzie nie ucieknie, jest na uwięzi — zwodne marzenia o wolności...

Dlatego pani Zagórska, zamiast cieszyć się wiosną, jest chmurna i bez humoru. Widzi kwiaty, które kocha; dusza jej wyrывa się do tych delikatnych istotek, uwitych z woni i barw, rozumie

ich posłannictwo budzenia w sercach radości, miłości i uśmiechu, ale urokowi ich poddać się nie może.

W zimnej pustce nie rozkwitnie żadne cieplejsze uczucie, a pani Zagórska ma w duszy pustkę.

Takie życie! Mąż wiecznie przy biurku, kuchnia, dzieci i nieustanny niedostatek. Przyjdzie dziś suma, zdaje się, że chyba teraz już będzie można coś kupić — a nagle człowiek zubożeje przez noc. Jak mówi żona Palpieronu: — Człowiek z jedną wszą liga, a z trzema wszyma wstaje. Podrapie się w jedno miejsce, już go coś żre w drugim. — W głowie aż trzeszczy od olbrzymich liczb; wszystko idzie już w miliony. Nigdy spokoju. Starych rzeczy niema za co naprawić, nowych niema za co sprawić — ruina! W ruinę obraca się dom, w ruinę rozpada się dusza. Dawne siły wyczerpują się, nowych niema z kąd wziąć. Dzieci? To tylko źródła nowej trwogi. Co z nimi będzie?

Pani Zagórska szuka w swem otoczeniu. Czego szuka? Nie wie dobrze, ale — musi się przekonać. Więc rozmawia częściej z panią Maślakową. Zrazu z ogródka do ogródka, przez płot, później na gościńcu, wreszcie — zaczynają się wizyty. Pani Maślakowa jest starsza, doświadczeńsza, silniejsza od pani Zagórskiej, na pozór ma znacznie więcej zimnej krwi, nie przejmuje się wszystkim tak bardzo. Gospodaruje, lubi się popisać swemi konfiturami, grzybkami, rydzami, lubi gości, wychowuje dzieci, kocha męża, zdawałoby się, że jest zupełnie szczęśliwa — ale w takim razie, skąd ten histeryczny, błysk w oczach, skąd ten utajony niepokój, skąd ta denerwująca ruchliwość, jakgdyby pani Maśla-

kowa miejsca sobie znaleźć nie mogła. Nie, nie, pani Zagórska oszukać się nie da! Ona wie!

Szuka dalej.

— Gdzie ty wciąż łazisz? — denerwuje się mąż, widząc, że dzieci nie dostają w porę podwieczorku, że są przeważnie same, że się nikt nimi nie zajmuje.

— Nie wolno mi? — odpowiada hardo pani Zagórska.

Jest znowu u pani Pudłowiczowej.

Tu chyba powinnyby już znaleźć to, czego szuka. Byt jest tu zapewniony, kłopotów materialnych niema. Pudłowicz idzie żonie we wszystkim na rękę, stara się jej dogodzić, tańczy koło niej... Pani Pudłowiczowa jest też ze wszystkiego zadowolona, ale ten głos, płaczliwy, skarżący się, wciąż nabrzmiały zniecierpliwieniem i bliski wybuchu, te wilgotne, bursztynowe oczy, tak łatwo napelniające się ni ztąd ni zowąd łzami lub przesłaniające się mgłą...

Och, nie tu!

Więc pani Zagórska idzie do pani Szczygłowej, żony ulubionego mężowi Antosia... Skromni ludzie w małej izdebce... W oknach, za czysto umytemi szybami, pięknie kwitnące kwiaty... Może przecie w cichym, małym domku gulońskim, w zacisznej uliczce... Aha! Cóż za pomyłka! Na twarzy męża ceglaste wypieki znużenia, w oczach żółte ogniki złości, usta pełne cierpkich słów — a żona nie wiedząca już, czem właściwie jest, poco to wszystko, za co, to wzdychająca, to patrząca daleko przed siebie, jakby tam w próżni widziała istotnie jakieś gdzieś, jakiś drugi brzeg czy wyspę spokoju i ciszy.

— Niech się pani nie poddaje! — krzepi pani Zagórska młodą kobietę.

— E! Przejdzie to, będzie znowu co innego! — wzdycha z gorzką bolesną rezygnacją pani Szczygłowa. — Takie już życie!

Któż tu może być najspokojniejszy w tem białem miasteczku, kto już niczego nie pragnie?

Gościńcem idzie panna Kazia z poczty, panienka dość świeża jeszcze, choć nie pierwszej już młodości i bardzo biedna. Właśnie biedni bardzo często są najcichsi i niczego się nie domagają. Panna Kazia pracuje na poczcie i utrzymuje z tego siebie i sparaliżowanego, głuchego ojca. Prawie nigdzie nie bywa, z nikim się nie widuje.

Pani Zagórska czyha na nią w ogrodzie.

— Dobry wieczór, panno Kaziu.

— Dobry wieczór pani.

Panna Kazia przystaje. Przez chwilę rozmawiają przez płot, potem w sadzie, na ławeczce, pod jabłonią.

Gasną zorze zachodnie, gwiazdy rozpalają się na pogodnem niebie wieczornem.

Panna Kazia opowiada, jak było dawniej, kiedy mamusia jeszcze żyła, tatuś był zdrów, a ona sama chodziła do gimnazjum. Było bardzo pięknie. I coby było, gdyby się to nie zmieniło. Widoki były bardzo piękne. Ten się starał, ów się kochał, tamten chciał się żenić. Więc byłoby też bardzo pięknie. To zaś, co jest, to tylko jakieś niezrozumiałe, niepojęte i smutne intermedjum między pięknem było a pięknem byłoby...

Nieregularna, ale miła, ożywiona twarz panny Kazi promienieje w zmierzchu bładem światłem;

czy to światło gwiazd czy wewnętrzne światło roz-
tęsknionej duszy?

Więc i to biedactwo, zdawałoby się, zamuro-
wane w swym kącie, do kaleki przykute, nie chce
żyć tem, co mu szary dzień daje, lecz wciąż jeszcze
szuka i czeka?

Ciemno się robi.

Gościńcem idzie kilku młodych ludzi. Ledwo
ich widać. Jeden z nich przygrywa na ustnej harmo-
nijce, gra bardzo pięknie, czysto, dźwięcznie. Meta-
liczne akordy zbliżają się, rosną, nabrzmiewają co-
raz bardziej, znów zaczynają słabnąć. Niby bąk
grający przeleciał gościńcem koło domów i prze-
padł w ciemnościach.

Ta muzyka zbudziła inną. Odezwały się brzę-
czące, drażniące tony mandoliny. To Salcia grała,
siedząc przy oknie w swym pokoiku, patrząc w gwia-
zdy i rozmyślając, kiedy przyjdą z Ameryki obiecane
przez wuja dolary, co sobie za nie sprawi, czy Du-
wcio się z nią ożeni i czy tego roku będzie mogła
zarobić na czereśniach tyle, co zeszłego...

Więc jednak nawet Salcia!

Nikt, nikt nie żyje w białym miasteczku tem,
co ono daje, tą nędzną, gorzką jałmużną życia. Wy-
jawszy napół cywilizowane gulonki, wszystkie ko-
biety w miasteczku aż chore są z tęsknoty do świata.

— Czy ty rozumiesz, co to znaczy? — tłum-
czyła mężowi, kiedy rozmawiali po kolacji. — My
powoli ginimy, wędniemy, usychamy w ofierze, po-
zbawionej wszelkiej wartości... Bo z tego, że ja
się tu marnuję, nie masz przecie nic ani ty, ani
dzieci, ani miasteczko... I pomyśl, że takich kobiet,
jak ja, jest w tem miasteczku kilkadziesiąt, a takich

miasteczek kilka tysięcy... Mówisz o pięknych nocach wiosennych, a nie myślisz o niezliczonych sercach kobiecych w nieutulonej tęsknocie płaczących w te wiosenne noce...

— I do czegoż tęsknicie? Czego wam trzeba. Nani Zagórskiej nos poczerwieniał.

— Odrobinki! — odpowiedziała, sięgając po chusteczkę do nosa.

— No?

— Ot — życia!

*

*

*

Pewnego wieczoru Zagórski wstąpił do Pudłowiczów.

Mimo że byli już po kolacji, poczęstowali go, jak zawsze gościnnie wódką, resztkami pieczeni na zimno, wreszcie Pudłowicz przyniósł ze spiżarni kilka butelek porteru.

O, dziwo! nie prosił do salonu, lecz bawił gościa w jadalni, za co mu Zagórski był szczerze wdzięczny, ponieważ było tu znacznie więcej powietrza i znacznie wygodniej.

Pan dyrektor, w kurtce myśliwskiej i w butach z cholewami, nie przybierał dziś salonowych póż, nie starał się być światowcem. Był sobą. Jego orzechowe oczy zlągodniały i lśniły wilgotnym polyskiem. Bardzo czarna, nadzwyczaj czarna, gęsta broda nie mogła swemi zaroślami zasłonić miłego, jasnego uśmiechu. Tylko ruchy dyrektora, powolne i opanowane, nie straciły nic ze zwykłej sobie powagi i dostojeństwa.

Pani Pudłowiczowa była również zmieniona. Miła jej twarzyczka straciła histeryczny grymas, wypogodziła się, odmłodziła, stała się niemal dziewczęcą. W oczach było tyle radości, że stały się prawie bursztynowe. Uśmiech był szczery, radosny, wprost z duszy.

Pudłowicz napełnił porterelem trzy szklaneczki.

— Pij-że, kocino! — zapraszał żonę.

Pani Pudłowiczowa wzięła z tacy jedną szklaneczkę.

— Mnie nie trzeba zapraszać, ja porter szalenie lubię! — rzekła.

— Ale dziś to już z czystym sumieniem możemy parę butelek wypić! — zaznaczył Pudłowicz. — Jest to przecie jeden z największych dni w naszym życiu!

— Cóż się stało? — wykrzyknął Zagórski.

— Proszę, niech pan pije! Niech pan pije za powodzenie naszego przedsięwzięcia! Niech pan pije — ja panu opowiem!

Zagórski wypił, Pudłowicz napełnił mu nową szklaneczkę, poczęstował go papierosem, a potem zaczął opowiadać; był tak wzruszony, że głos mu drżał.

— Widzi pan, ja tu jestem nauczycielem już trzydzieści lat.

Trzydzieści lat!

Zagórski myślał: W szesnastym roku życia wstąpił do seminarjum nauczycielskiego — cztery do pięciu lat nauki — potem coś tam na praktykę odpada — był też nauczycielem w Wesołowie — tu trzydzieści lat — to niby razem jakich pięćdziesiąt

pięć lat — djabelnie czarna broda, jak u Mefista, nigdy nie siwieje! To-ci zdrowie!

— Trzydzieści lat?

— Trzydzieści lat, proszę pana. I ot, zdarzyło mi się, otrzymałem pewną sukcesję — trochę pieniędzy, papierów wartościowych — a my żyjemy oszczędnie — dochody mamy wcale ładne, bo i żona uczy — no więc — wniosłem do gminy podanie o sprzedaż mi półtora morga ziemi pod dom. Wybrałem sobie bardzo ładne miejsce — jak się wjeżdża do miasta, po prawej ręce, tam na pastwisku, jest taki wzgóreczek — pół morga poszłoby pod dom i zabudowania, reszta — na ogród. Jeśli pan chce, pójdziemy jutro obejrzyć. Świetne miejsce! I proszę pana — dziś ta sprawa była na radzie gminnej — i uchwalono tę parcelę mi sprzedać! Więc to wielki dzień — bo mam już gdzie dom zbudować.

— A to się serdecznie cieszę! — wykrzyknął Zagórski.

— Mój złoty panie! Plac pod dom! — klasnęła w dłonie pani Pudłowiczowa. — Czy pan to rozumie? Własny dom, ogród, konika będziemy mieli!

— Ale to straszny koszt — budować dzisiaj!

— Rozumie się! — zgodził się Pudłowicz. — Ale jakoś to będzie. Trzeba rozumieć: Powoli zwiezie się kamień na fundamenty, potem drzewo — i tak powoli... Niejednego trzeba się będzie wyrzec, ale tu — jakby jakiś wydatek był — mrugniemy z żoną na siebie: Kocino — pamiętaj — dom!

— Naturalnie, ja wszystko oddam! — zgodziła się z radością pani Pudłowiczowa.

— Bo przecie — trzeba myśleć o przyszłości. Mam dzieci: Dobrze, że pracuję i żona pracuje, ale jak pójdę na emeryturę? Gdzież będę mieszkał?

— Rozumie się! — przyznał szczerze Zagórski. Pudłowicz miał już plan domu. Przyniósł go, pokazał Zagórskiemu.

— Rozkład domu przypomina trochę pański dom, z tą różnicą —

— Pokazał mu tę różnicę.

Zaś pani Pudłowiczowa przyniosła małą szkatułkę, w której przechowywała swe kosztowności.

— Jakby było potrzeba to się to wszystko sprzeda! — mówiła, ciesząc oczy blaskiem złota i kolorowych kamuszków. — Przecie taka perła też coś warta!

— Szafir bardzo piękny! — zauważył Zagórski. — Szafiry są dziś prawie na równi z brylantami!

— A ten naszyjnik bursztynowy to nic? — zawałała pani Pudłowiczowa.

Wtem służąca otworzyła drzwi i, mruknąwszy coś, przyzwała do siebie panią ruchem ręki.

Pani dyrektorowa podbiegła ku niej, coś poszeptała i zniknęła za drzwiami.

— Pomału, pomału będzie się to budować! — mówił Pudłowicz, nerwowo zerkając ku drzwiom. — Będziemy oszczędzali, ale tak, mrówczą pracą, wreszcie — pan wybaczy, na chwilę!

Zagórski zdziwił się, ale, naturalnie, wybaczył.

— Co się tu dzieje? — myślał, paląc papierosa i kołysząc się na bujaku. — Godzina dziesiąta, ludzie śpią, czem oni się tu tak denerwują?

Wrócił Pudłowicz wzruszony, rozrzewniony.

— Wyrzuciły mnie baby! Mówią, że im przeszkadzam.

— A co się stało?

— Ano, panie koniecznie chciały wieprzka na wypas. Ja się na nierogaciźnie nie znam, ale jak mnie zaczęły gnębić, wyszedłem raz na jarmark, spotkałem znajomego chłopca, poradził mi, kupiłem: tanio! Przyprowadziłem do haupy, powiadają: Człowieku, coś ty zrobił, kupiłeś lochę, nie wiepszka, będzie z nią kłopot! A teraz — ona rodzi! Czworog już ma! Napijmy się na to szczęście. Grunt uchwalili, locha rodzi — cudny dzień, panie!

Od czasu do czasu latały sztafety: — Siedmioro, ośmioro, dziesięcioro!

Pan Pudłowicz promieniał.

— Takie szczęście! — powtarzał, chodząc nerwowo po pokoju.

Pani Pudłowiczowa wpadła na chwilę do pokoju.

— Strasznie się matka męczy! — zawołała. — Jest już jedenaścioro. Boże! Sześć tygodni podchować, za jedno prosię można wziąć paręset tysięcy! Ale matka aż mokra od potu! A te smarkacze, ledwo na świat wyjdą, już ssą.

Był to piękny, wesoly wieczór.

— Jak dobrzy są ludzie, gdy im Bóg ześle odrobinę powodzenia! — myślał Zagórski, wracając do domu.

Lecz po kilku dniach spotkał Pudłowicza ponurego, sztywnego.

— Co mu się stało? — myślał.

— Warchlaczki zdrowe? — zapytał.

— Dziękuję panu, jako tako! — odpowiedział dyrektor.

— Pani cieszy się niemi?

— No, jak zwykle, trochę kłopotu.

— Będziecie państwo mieli z tego ładny zysk.

— Co ta w dzisiejszych czasach ten pieniądz znaczy!

— Zawsze coś! Przyda się bodaj na klamki do drzwi w nowym domu.

— W nowym domu?

Pudłowicz uśmiechnął się gorzko.

— Nie wiem jeszcze, gdzie ten mój nowy dom będzie!

— Jakże? Przecie pan ma grunt?

— Ale? To pan nie wie? Jak się ludzie dowiedzieli, że mi ten kawałek gruntu przyznano, zaczęli wszyscy protestować. Z pastwiska im gmina półto-rej morgi odbiera. To gminne! Sprzedać Pudłowiczowi, to znaczy, sprzedać każdemu. Protest, proszę pana, ktoś tam wysztyftował i wszyscy podpisali. Na drugim posiedzeniu gruntu mi odmówiono, poprzednią uchwałę skasowano. Nie idzie mi o to. Dom — domem, wybuduję go gdzieindziej, może w lepszych warunkach, bliżej kolei... Ale, widzi pan, trzydzieści lat tu pracowałem, pokochałem te strony, chciałem tu zostać — i kawałka gruntu odsprzedać mi nie chcą, ażebym sobie mógł na starość dom wybudować. To jest — wdzięczność tych ludzi!

— A na jakiej podstawie odwołali uchwałę? — spytał zdziwiony Zagórski.

— Ano — powiedzieli, że to gminne, to niby że wszyscy do tego gruntu mają prawo, i że gdyby

mnie sprzedano, to każdy mógłby tyle dla siebie zażądać... I że nie mają gdzie gęsi paść... Tu gęsi — to świętość!

*

*

*

Józieczku, wiesz? Pani Czyżowa umarła. Zagórski podniósł z nad biurka zmęczone oczy. — Pani Czyżowa? Jaka pani Czyżowa? Nie znam.

— Jakto nie znasz? Matka tej starej, siwej panny Czyżówny... przyjaciółki pani Pudłowiczowej...

— Taka chuda, pokorna, zawsze czarno ubrana?

— To właśnie panna Jadzia Czyżówna... Biedactwo... Utrzymuje się z lekcji francuskiego i robótek, które sprzedaje w Warszawie... Bardzo pięknie haftuje, ma śliczne wzory, dała mi niektóre odrysować...

— Już dobrze, przypominam sobie! — przerwał trochę niecierpliwie Zagórski. — Więc jej matka umarła. Będzie jej teraz lżej. Musiała już być bardzo stara.

— Staruszczyzna, prawie już nie wstawała. Jadzia była do niej nadzwyczaj przywiązana, nie chciała się z nią rozstać. Mieszkały u kościelnego, wiesz gdzie.

— Nie mam pojęcia.

— W ostatnim domu w ulicy Kościuszki po prawej ręce.

— W jakiej ulicy Kościuszki?

— Jak się do kościoła idzie.

— Także mi — ulica! — i to jeszcze — Kościuszki!

— Tam, gdzie to w oknach takie śliczne kwiaty zwykle były. One cudownie umiały hodować kwiaty... Znały jakiś sekret... Bardzo tam u nich było miło... Miały stare, ładne mebelki...

Tu Zagórski przestał się już bronić... Małe miasteczko, dwa ciche, schludnie utrzymane pokoiki ze starymi mebelkami z dawnych, dobrych czasów, jakiś tam dywanik, parę pamiątek, piękne kwiaty i dwie ciche staruszki; na stole robótka...

— Więc cóż?

— One były z dobrej rodziny. Nieboszczyk Czyż miał tu jakiś mająteczek, czy też był gdzieś rządcą, a potem sobie mająteczek kupił... dobrze im się powodziło... Był burmistrzem w miasteczku, podobno bardzo dobrym, dwa razy go wybierali... Dzieci kształcił, synowie są na wyższych stanowiskach, córki dobrze zamaż powychodziły...

— A dlaczegóż ta panna Jadzia nie wyszła...

— Kochała się bardzo w jednym z tutejszych obywateli, który miał się z nią nawet ożenić, ale kiedy ojciec umarł i pokazało się, że nic nie zostawił, ożenił się z drugą, a Jadzia wówczas postanowiła wogóle zamaż nie wychodzić...

— Tak. Zupełnie w stylu. Więc jednak stary nic nie zostawił.

— Dzieci mieli dużo, żyli też dobrze, nie żalowali sobie. Matka panny Jadzi miała być kiedyś strasznie tłusta. Otóż jak ojciec umarł, a matka nie chciała z miasteczka wyjechać, panna Jadzia postanowiła pozostać przy niej... Coś tam grosza miały, córki i synowie też coś przysyłali, zresztą dużo

to takim kobiecynom potrzeba? Wynajęły mieszkanie u kościelnego...

— To ten wysoki, tęgi drab z brodawkowatym nosem, brutal taki, ordynus?

— Skąd wiesz?

— Wystarczy na niego popatrzeć.

— Straszny człowiek. Ten kościelny zajmował drugie pół domu, także dwa pokoje z kuchnią. Ma dwie córki, jedną przy sobie, jeszcze pannę, drugą zamężną, wyszła za jakiegoś sierżanta w Zakopanem i tam z nim kilka lat mieszkała. W zimie tego roku przyjechała z kilkuletnią dziewczynką. Nawiozła cukru, mąki, konserw co niemiara — nie wiem, ci ludzie wszystko mają, tylko my nic — wielka dama, pani sierżantowa. W dwóch pokojach zaciasno jej się wydało. Zaczęła nastawać, żeby się Czyżowe wyprowadziły.

— Niby dokąd? Czy to mieszkania są?

— Są, ale matka panny Jadzi już była ciężko chora, rzadko kiedy wstawiała, a tu ludzie zabobonni, każdy się bał, że mu staruszka w domu umrze, nikt nie chciał mieszkania wynająć. Kobiciny, chcąc uniknąć nieprzyjemności, odstąpiły pani sierżantowej jeden pokój, ale i tego było jeszcze za mało. Zaczęły się prześladowania.

— Jakie prześladowania?

— Więc naprzykład wiedziano, kiedy starowina po obiedzie śpi. Ledwo zasnęła, pani sierżantowa albo jej siostra waliła drągiem w drzwi tak, że staruszka zrywała się przestraszona. To samo robiły w nocy. Z początku dokuczały od czasu do czasu, potem już stale. Rozwydrzyły się. Zaczęły wykrzy-

kiwać: Ty żebraczko stara, byłaś kiedyś tłusta, aleś na dziady zesza i schudłaś. Wzięli ci djabli kałdun!

— Coś strasznego! — oburzył się Zagórski.

— Wiesz, one obie siwe! — mówiła pani Zagórska ze łzami w oczach. — Więc wołały na nie: Wstawać siwki, będziemy wami orać! Nawet tę małą dziewczynkę nauczyły, maleństwo podchodziło do drzwi i wołało: Chodź tu, ty siwa dziadówko, dam ci kromkę chleba.

— Skąd wiesz?

— Jadzia mi opowiadała. Jednego razu, jak starszka przechodziła przez sień, gdzie jest kuchnia, jedna z córek kościelnego porwała polano, zamierzyła się na nią i zawołała: Jakbym cię huknęła, ty stare ścierwo! A druga na to: Bij, kto ci broni, bij, ile chcesz, czemu nie bijesz! Obrzucały je najordynarniejszemi wyzwiskami, jak otwały okna, żeby świeżem powietrzem odetchnąć, wylewały nieczystości pod okna... Jadzia sama nieczystości zbierała, nie nie pomagało, wylewały znowu...

Zagórski, czerwony z oburzenia, huknął pięścią w biurko.

— Dlaczego nie księdzu nie powiedziały?!

— Owszem, Jadzia była u dziekana.

— A on co?

— Powiedział, że nie może mieszać się do prywatnego życia kościelnego... Wtedy ona mu powiedziała, że się swego kościelnego boi...

— Naturalnie, że się go boi! A wikary nie pomógł?

— Wikary powiedział, że to zwykła kłótnia między babami...

— Straszne! Straszne! A burmistrz?

— Była Jadzia u burmistrza, ale gdzie! Kruk krukowi! Co jego obchodzi! Byle mu się nikt do interesów nie mieszał! Nawet w chwili śmierci nie miała starowina spokoju. Kościelny wykrzykiwał, że trupa w domu mieć nie chce, a potem siadł na progu i zaczął krakowiaki wyśpiewywać z radości, że stara umiera. Trzeba było iść do niego i prosić go, żeby przestał śpiewać i dał starej umrzeć spokojnie... Biedactwo było tak steroryzowane i zdenerwowane, że już się tylko o śmierć modliło... Umarła staruszka zupełnie przytomna, spokojna... Do ostatniej chwili wiedziała, co mówi...

— Wierząca.

— Tak. Bardzo była pobożna.

— Ci ludzie umieją umierać. Ale jabym przecie na miejscu Jadzi nie wytrzymał. Przecie to trwało dłuższy czas — mogła napisać do brata, byłby z pewnością zrobił z kościelnym porządek...

— One się bały, bo ten brat, ogromny chłop, jest bardzo porywczy... Podobno był pułkownikiem czy czemś tam...

— Więc czego się bały?

— Bały się, że kościelnego poprostu zbije, a potem będzie jeszcze gorzej...

Zagórski sapnął pogardliwie.

— Ano, pewnie! Jeśli ktoś pozwoli sobie na głowę wleźć i jeszcze wtedy boi się dać w mordę, lepszego losu nie wart! — rzekł twardo.

— Cóż dwie biedne, słabe kobiety!

— Dwie biedne, słabe kobiety powinny były napisać do tego brata... A on byłby na osobności zbił niesłychanie pysk temu brutalowi i zapowiedziałby mu, że jeśli się dowie o najmniejszej złościwości,

pysk mu znów stłucze. To poskutkowałoby znakomicie. Ale jeżeli inteligencja sama daje sobą pomiatać i bronić się nie chce — niech ginie. Inteligencja ma być stosem pacierzowym narodu, pod warunkiem, że ten stos będzie silny!

— Ach, wiecznie tylko ta inteligencja, stopy jakieś, naród! — skrzywiła się pani Zagórska. — Wysłuchajże raz historii bez inteligencji, bez stosów i bez narodu, historii dwóch biednych kobiet na prowincji...

— Więc jeszcze nie koniec?

— Pomyśl, co za zbieg okoliczności. Temu obywatelowi, co to się w nim Jadzia tak na śmierć zakochała — a on tymczasem został wysokim urzędnikiem i jest w jakimś ministerjum w Warszawie. —

— Ależ wreszcie co?

— Umarła żona! I on teraz napisał do Jadzi, że pragnie jej wynagrodzić krzywdę i że się z nią gotów każdej chwili ożenić, zapewnić jej spokój na starość... Taka pomoc w najcięższej chwili... I pobiorą się...

Zagórski nie mógł ukryć wzruszenia.

— Oto, widzisz, jednakże, jak ludzie w białym miasteczku kochają...

* * *

Ruszkiewicz wyszedł z posiedzenia wzburzony. Ułożono właśnie program uroczystego obchodu Trzeciego Maja. Pochód na nabożeństwo do kościoła — szkoły, za szkołami Sokół ze sztandarem, uro-

czyste nabożeństwo, następnie znowu pochód przez całe miasto na błonie i tam pod figurą Matki Boskiej przemówienie do zgromadzonego ludu — pod gołem niebem — wygłosi:

Pan Franciszek Ruszkiewicz!

Postanowienie to zapadło jednogłośnie.

Było to do pewnego stopnia pochlebne. Nie ksiądz, nie dyrektor Pudłowicz, nie Zagórski, nie burmistrz (prawdę mówiąc, gdzie temu gulonowi do publicznych wystąpień, śmialiby się z niego!), krótko: nikt, tylko on, pan Franciszek Ruszkiewicz.

Ale dlaczego?

Czy dlatego, że ma najlepiej skrojony garnitur, że jest bogaty, że może pożyczyć milion-dwa, że ma pensjonat i dworek? Czy tak go szanują? Czy go kochają? Czy może uważają go za polityka dzięki temu, że kiedyś ta gazetka, co to potem — e, dawne czasy, niema co wspominać! Choć pewnie i to — po części. Człowiek poważny, niezależny, swego czasu zajmujący się polityką... Naturalnie.

Z drugiej strony jednak — poco? Najlepiej przecie siedzieć cicho w kącie. Ma się tylu krewnych, tylu ubogich krewnych — poco się im pokazywać, poco się przed nimi popisywać, chwalić: — Oto jestem ja, Franek Ruszkiewicz, wielki człowiek, przemawiam do was z pod figury, jak jaki poseł, agitator albo polityk — a oni potem przyjdą, zaczną się łąsić, pochlebiać, skomleć, żebrać, prosić dla dzieci niby... Dasz dla tych dzieci a drań pójdzie prosto do szynku, przepije i jeszcze cię za twoje pieniądze obmówi. Nie daruje!

Ach, gdyby jaka ochronka dla dzieci! Dałoby się na ochronkę, dało, a potem: — Chcesz dla

dziecka? Czekaj, ja tu mam lepszą rzecz: Mogę ci dla dziecka miejsce w ochronce wyrobić. I już! A oni nic nie rozumieją, ciągle im Sokół w głowie.

Będzie mówił ze stopni figury do ludu na błoni... Działwa szkolna, rada miejska w czarnych tużurkach, inteligencja, Sokół ze sztandarem — a nad wszystkimi on, pan Franciszek Ruszkiewicz, swego czasu terminator krawiecki...

— Chociaż właściwie lepiej byłoby nie mówić. Niechby ksiądz.

Poszedł do dziekana.

— Ksiądz dwa razy kazania nie mówi! — odpowiedział, śmiejąc się, dziekan.

— To możeby dyrektor Pudłowicz?

— A jakby tak ksiądz dziekan poprosił Zagórskiego? Mnie nie wypada. Księdza dziekana on bardzo lubi, da się namówić... Przytem on ma zawsze pełną gębę tej państwowości polskiej, niechże sobie użyje.

— A dlaczego pan nie chce?

— Co ze mnie za orator! Nie umiem mówić publicznie. Parę słówby się tam jeszcze powiedziało, ale mowę kropić.

Zagórski odmówił.

— Do tutejszych ludzi powinien przemówić tutejszy.

— Pan już też jesteś tutejszy.

— Nie. Ludzie mnie jeszcze nie znają, nie mogą mieć do mnie zaufania, a co ważniejsze: Ja ich nie znam, nie wiedziałbym, w jaki sposób trafić im do przekonania. Niech mówi Ruszkiewicz, tak będzie najlepiej.

Ruszkiewicz odczuł odmowę Zagórskiego jako osobistą obrazę.

— On nie chce mówić, bo myśli, że się zasypię! — rzekł do dziekana. — Myli się bardzo!

— Niewątpliwie!

— Ale ja mu tego nie zapomnę. Zresztą...

Tu Ruszkiewicz urwał w porę, bo pomyślał, że może być deszcz i przemówienia wogóle nie będzie.

Niestety, deszczu w dzień Trzeciego Maja nie było. Chwilami dmuchał chłodny wiaterek, niebo obsiadło parę zasępionych chmur, naogół jednak poranek nie przedstawiał nic do życzenia.

Od wczesnego ranka ze wszystkich stron schodziły się szkoły ze wsi okolicznych. Mnóstwo świątecznie ubranych dzieci w białych lub kolorowych sukienkach, z chorągiewkami w rączkach, z odznakami na piersiach. Bosych nie było, ale przecie bardzo wiele tego drobiazgu szło w niezgrabnych trzewikach, wdzianych na bosc nogi, a ubranka naogół były biedne. Przyglądając się tej dziatwie, Zagórski z bólem serca powiedział sobie, iż ona nie jest szczęśliwa. Mało było radości na twarzyczkach dzieci, mało było uśmiechu w oczach, swobody w ruchach. Poganiane przez nauczycieli i nauczycielki dzieci cienkimi, zdyszanemi głosikami śpiewały pieśni patriotyczne, idąc z drobnym, rozgłośnym tupotem nakształt stada owiec. Mnóstwo tego było nieprzejrzane.

Wzruszenie ogarnęło Zagórskiego na widok tej masy dzieci, w szeregach, śpiewających piosenki, a poganianych przez nauczycieli i nauczycielki. To wszystko szło ze wsi i wiosek, nieraz zapadłych, w ja-

rach czy wąwozach górskich ukrytych, gdzie nauczyciel, nieraz samotny, chory z tęsknoty do świata, lub też zdziczały już samotnik, z niesłychanym trudem z napół oberwanych dzikusów robił powoli malutkich ludzi, Polaków i Polki, i uczył ich pieśni i mowy i ogromnej, zasadniczej wiedzy czytania. Z jarów i wąwozów, z gór i dolin całą malušką Polskę wprowadzono na słońce.

W rynku na kilku domach powiewały flagi w kolorach narodowych, ale oczywiście zszytych odwrotnie, w oknach mieszkań inteligencji i w paru sklepach katolickich widniały nalepki. Pod szkołą, gdzie już czekał karny bataljon dzieci Pudłowicza, nauczycielami i nauczycielkami, jak żandarmami obstawiony, krył się nieśmiało za pnem starej lipy amantowy sztandar sokoli, pięknie srebrem haftowany i z olbrzymim posrebrzonym sokolem na drzewcu. Sztandar dzierżył z godnością amerykanin, pan Przypiórski, wystrojony w czarny tużurek, z którego wysterczała jego mała, różowa główka z jasnym pierzem, powiewającym za najłżejszym podmuchem wiatru; rzekłbyś, głowa lada chwila frunie i siądzie — może na kasztanie, może na dachu ratusza, może na płocie.

Zagórski spojrział w twarz swoim sokołom. Sokolego było w nich niewiele. Gorzej. Miny mieli niewyraźne.

— Dlaczego? — spytał Zagórski.

— Śmieją się z nas. Mówią: Widzicie ptoka? Już się wylągl. A podczas wojny to siedział w dziurze.

Zagórski wzruszył ramionami. Rzecz była jasna:

Ci, co sami nie mogli nic zrobić, przeszkadzali tym, co robić chcieli.

Wreszcie cały orszak ruszył ku kościołowi.

Cudnie przez cały czas brzmiały na chórze głosy dziecięce, a gdy wreszcie przebrzmiało majestaticzne „Boże coś Polskę“, ruszono na błonie, pod figurę Matki Boskiej, przystrojoną z powodu nabożeństw majowych, w kwiaty i wieńce, z powodu święta narodowego w biało-czerwone wstęgi.

Właściwie parady nie było żadnej, obchód był nadzwyczaj skromny. Tylko serca biły w ludziach żywiej, radośniej. Oczy mimowoli biegły w łąki, w góry, w ten stary, piękny kraj, sądząc może, że on w ten dzień wygląda weselej, jaśniej, niż zwykle, chcąc się jego radością nacieszyć. Bo konstytucja, to znaczy, że wszystko, co polskie, jest już rodzone, nie tylko ludzie, lecz góry, pola, drzewa, rzeki, krzaczki, wszystko, co się w duszy polskiej mieści. Czuła to nawet mała Basia, którą Zagórski za rączkę prowadził; od czasu do czasu ciągnęła go za rękę i ojciec, spojrzawszy ku niej, widział w dole jej ciemne oczęta, rozpromienione i wniebowzięte. Wtedy przytulała się do niego.

Wreszcie naprzeciw figury ustawił się ze swym olbrzymim proporcem Sokół, niezbyt dziarski, ot, garść starych gratów, bardziej może szanujących się, niż szanowanych, dalej półkolem stanęły szkoły, kilkunastu strażaków, rado g m i n n o, czyli miasto, inteligencja. Wszystko to zamarło, ucichło i wlepiło wyczekujący wzrok w pana Franka Ruszkiewicza.

On zaś stał i dumał.

Zdjęła go okropna trema.

Kiedyż to on do ludu mówił, kiedy? Jeszcze jako młodzik biedny, agitator, wołający kary za

krzywdę, zemsty za ucisk, sądu za wyzysk, niesprawiedliwy podział... Mówił, póki nie zrobił majątku, potem — przestał, bo o czym tu gadać — zdobył przecie, czego chciał. Więc przestał mówić, zapomniał, nauczył się milczeć, żyć dla siebie samego.

Wciągnięto go w pułapkę: zmuszono go do mówienia. Jeśli przemówienia nie wygłosi, jeśli się skompromituje, nazwą go głuptokiem; w grze jest dobre jego imię. Żeby on nie umiał mówić? Co to znaczy? Bogaty umie wszystko.

Program miał: Mówić o jedności, miłości, zgodzie. Z serca.

Więc nagłym ruchem zrzucił paltot — bo choć dzień był trochę chłodny, chciał się przecie tłumowi pokazać w swem najnowszym, świetnie skrojonem ubraniu — i skoczył na stopnie figury.

— Obywatele! Ja — stojąc przed wami, ja... Ja, którego wy wszyscy znacie... Ja, któremu w udziale przypadło w ten dzień uroczysty... Tedy jeśli ja, mówiąc do was...

O jakże ciężko mówić samolubowi, jakże mu trudno wydostać się z otaczających go ze wszech stron zasieków własnego „ja“!

Ruszkiewicz wije się na stopniach i drga, jak człowiek wbity na pal.

— Miłość, zgoda, braterstwo! — powtarza sobie. Nic z tego sklecić nie może.

Aż wreszcie otworzyła się któraś z dawno zamkniętych klap. To trudno, teraz on będzie już mówił nie to, co chce, lecz to, czego się dawniej nauczył.

I choć mu się włosy zjeżyły na głowie z przerażenia, chwytając się dawnych, teraz znów przychodzących na myśl frazesów, kropnął agitacyjną mowę socjalistyczną, wjechał na magnatów, posunął się tak daleko, że dawną Polskę z przed Trzeciego Maja określił, jako bałagan w porównaniu z Prusami i Rosją, „bo tam był porządek“, wpadł na nowy rząd, przestrzegł przed pańszczyzną i wreszcie, pominąwszy naród, rząd i sejm, wzniósł okrzyk na cześć ludu polskiego.

Słuchali wszyscy zdziwieni, zmieszani. Nie spodziewali się wprawdzie niczego, prócz odrobiny wody z malinowym sokiem, lecz w ten dzień im ta woda z sokiem była potrzebna; wymyślać, pomstować, to oni sami potrafią.

— Cóż powiecie o ty mowie, burmistrzu? — spytał któryś, gdy wracano do miasta.

Burmistrz splunął i odwrócił się.

— Iiii, głupek, psiokrew! — rzucił lekceważąco przez ramię. — Co on ta mógł powiedzieć, krawiec, psiokrew!

Że to jednak był krewny burmistrza, więc ktoś zaczął bronić i wychwalać.

Ale Antoś Szczygieł, który stał niedaleko, mruknął:

— Najlepszy na nim był ancug!¹ Prawdziwy zagraniczny materiał i od dobrego krawca.

* * *

¹ Ancug — z niemieckiego: Anzug — ubranie.

Dziekan zastał Zagórskiego w ogródku, dyrygującego upinaniem na werandzie dzikiego wina, które, już zielone, spływało ku ziemi gęstemi, nierozczesanymi splotami. Pani Zagórska i Milcia upinały je według światłych wskazówek filologa.

— Najlepiej byłoby przyciąć trochę! — radził dziekan.

— O, zaraz przycinać! — oburzył się Zagórski.

— To samo ja mówię! — wtrąciła pani Zagórska, schodząc ostrożnie z drabiny.

— Zaś ja mówię — nie przycinać, lecz poupinać odpowiednio, rozprowadzić na ściany, porozwieszać nad oknami...

— Wilgoć sprowadzi! — upominał ksiądz.

— Wszystko zawsze coś sprowadza! — mówił Zagórski. — Wino, zwłaszcza kwaśne, artretyzm, piwo otyłość i otłuszczenie serca, życie śmierć, dzikie wino wilgoć... Cóż robić? Trudno się z tego powodu wyrzekać wina, piwa, życia i dzikiego wina, które lubię... Służę księdzu dziekanowi...

Przeszli do rzekomego „salonu“.

Dziekan nie przyszedł z interesem, przyszedł tak sobie, po sąsiedzku, pogawędzić trochę.

Mówiło się o wiośnie, o życiu, o ludziach, o polityce, o położeniu wewnętrznym.

— A cóż reorganizacyjny komitet Sokoła? — spytał naraz ksiądz — Robicie co?

— Nic! — odpowiedział Zagórski.

— Pan się też zniechęcił?

— Nie mogłem się zniechęcić, bo wogóle żadnej roboty nie zaczynałem. Zależało mi tylko na tem, aby utrzymać grunt przy Sokole.

— A dalej?

— Czekam.

— Na co?

— Aż się tu znajdzie uczciwy, dzielny, młody człowiek — niech to sobie będzie guloń czy chłop, wszystko mi jedno — który to potrafi zorganizować i poprowadzić! Oni muszą już sami robić!

— Myśli pan, że się taki młody człowiek znajdzie?

— Dlaczego nie? W Polsce codziennie rodzą się ludzie.

— Ale dlaczego ty nie chcesz się tem zająć, Józeczku? — zapytała pani Zagórska.

— Bo nowe pokolenie nie ma już zaufania do tego, co my, starzy, robimy.

— Ty się uważasz za starego?

— Moja kochana! Jestem człowiekiem przedwojennym!

— A jednak — odezwał się dziekan — nie zdaje mi się, aby ta rezygnacja była uzasadniona. Być może, że pod niektórymi względami — my, ludzie przedwojenni, jesteśmy zacofani lub też w oczach ludzi nowych możemy za zacofanych uchodzić. Mamy znacznie więcej od nich skrupułów. Powiedzmy sobie: Nie rozumiemy ich dobrze, nie wiemy dokładnie, czego chcą, zatem — nie możemy organizować im życia. Co się jednak tyczy pracy, rutyny, kultury, ideowości — nie mogą się z nami porównać. Ci młodzi, to przeważnie zarozumiałe nieuki, ludzie w swoim wyobrażeniu nieomylni a płytki i powierzchowni, nie tyle twardzi, ile brutalni, a wyrachowani, samolubni i interesowni. Tak, my im życia organizować nie możemy, ale co oni zorganizowali nam? Prawdę mówiąc, w tych warunkach nie tylko trudno

żyć, ale czasem nawet wstyd! Równocześnie — kultura upada. Kulturalnie nic się u nas nie dzieje. Młode pokolenie nie chce na to wydawać, płacić, kupować. Ci nowi ludzie kupują akcje, spekulują, chcą być bogaci.

— Bardzo słusznie! — wtrącił Zagórski. — Dość już dziadowania.

— Proszę pana, pieniądze zrobić, to nie sztuka, to każdy gulon potrafi! — zaprotestował ksiądz. — Wystarczy schować na jakiś czas dwadzieścia metrów pszenicy.

— Ma ksiądz dziekan słuszność! — przyznał Zagórski. — Ale dlaczego ksiądz zrezygnował z udziału w Komitecie Reorganizacyjnym? Dlaczego zrezygnował Pudłowicz?

— No, co do Pudłowicza, to można powiedzieć poprostu, że to jest niewywieziony leń.

— Widzi ksiądz dziekan! A ile jest takich wygodnych, samolubnych leniów, sterczących jak kołki wśród społeczeństwa — i to w chwili, kiedy ono się reorganizuje? Myśli ksiądz dziekan, że ci nowi, ci młodzi tego nie czują, nie widzą? Że im te kołki nie przeszkadzają? W każdym z nas podejrzewają taki kołek, takiego lenia.

Tu Zagórski przerwał i poczęstował dziekana papierosem. Poczem mówił dalej:

— A teraz zobaczymy, jak to właściwie wygląda: Ksiądz dziekan powiada: Dajcie mi spokój, z wami pracować nie mogę, i tak mam swojej roboty dość. Rozmaici przedwojenni Pudłowicze — mogą być doskonałymi pedagogami — ale pragną mieć także spokój, usuwając się od życia, od ludzi, co więcej, nawet od ludu. Taki Bruczkiewicz w swej Zdoni jest

znieawidzony, Pudłowicza też nie lubią — bo to są urzędnicy, nie nauczyciele, to jest kasta. Ci ludzie żyją tylko w swoim kółku a jak żyją? Udują szlachte. Na imieniny — przyjęcia, wina, lody, nowe suknie, goście Bóg wie skąd — a ze wsi nikogo. Chłopi, którzy przecie tego nauczyciela opłacają, z daleka tylko patrzą na jasno oświetlone okna i z daleka tylko słyszą huczne „Niech żyje nam!“ Sam przecie widziałem — nie raz! Mogą mieć zaufanie do takiego ludowego nauczyciela?

— Niestety — ma pan rację.

— Idźmy dalej: Inteligencja w miasteczku. Rejent, adwokaci, doktor, to poprostu przeważnie tygrysy albo eksploatorzy kolonjalni. Byle jak najwięcej zarobić, a potem przenieść się do wielkiego miasta, na wygodniejsze, korzystniejsze stanowisko. Urzędnicy, ludzie starego typu, żyją również we własnem kółku, a prócz tego, słabo uposażeni, nie mają już tej pewności siebie, co dawniej i cofają się w cień. Cała ta inteligencja posiada niewątpliwie nieprzeciętną kulturę, proszę mi jednak powiedzieć, co masę mogą z tej kultury mieć, skoro się inteligencja od nich odsuwa? W dodatku tażsama inteligencja, stroniąc od mas i jawnie je lekceważąc, żąda od nich dla siebie szczególnych względów i czci! To przecie nonsens!

Zaś widząc, że ksiądz zamierza mu przerwać, dodał żywiej:

— Być może, że coś niecoś tu i owdzie przesadziłem, że nie wszędzie jest tak, jak mówię, jednakże naogół jest to obraz wierny. Skądże ci nowi nabiorą kultury, jeśli my sami ją przed nimi ukrywamy?

— Kiedyż oni nie chcą kultury! To ludzie dzicy!

— Ha, trudno, i gnój na gościńcu do gminy należy, nie tylko róże! — jak mówi nasz burmistrz.

— Widać, robi się z pana prawdziwy gulon, skoro pan już dicta burmistrza cytuje!

— Gulon? Nie! — odpowiedział Zagórski z pewnem wahaniem — To tylko skutek pewnego przełomu, jaki się we mnie dokonał na wiosnę.

— Nie wiedziałem, że ulegasz jeszcze tak silnie wpływowi wiosny — rzekła pani Zagórska. — Może się zakochałeś? Powiedz — w kim?

— Cóż to za przełom? — pytał dziekan zaciekawiony.

— Zima — to niewola, proszę państwa, a myśmy wyszli z niewoli — zmarznięci duchowo. Nasi poeci — nazwijmy ich wieszczami, bo to byli wieszcz — tak się z burzą zimową zmagali, że już im nic dla wiosny nie pozostało. Ich głos, to wichrowe wycie zimy. A otóż naraz przyszła wiosna. Chwyciła mnie za serce jej cudna piękność w naszym kraju. Rozwodzić się nad tem nie potrzebuję. Wszyscy ją znamy.

— No i co? — odezwała się pani Zagórska, widząc, że mąż jakoś się zaciął.

— Jestem bardzo wrażliwy na piękno — mówił Zagórski z pewnem zakłopotaniem. — Dusza — no, powiedzmy, dusza pogłębiła się jakoś we mnie czy rozszerzyła, świat stał mi się znacznie bliższym i zrozumialszym.

— Więc co pan rozumiał? — pytał znów ksiądz.

— Wszystko to! — pokazał Zagórski dłonią dookoła siebie — a także — że my zamało żyjemy — duchowo. I że stąd pochodzi wszystko złe.

— Naturalnie, to samo mówię! — zgodził się dziekan.

— Nie, księżce dziekanie! — zaprzeczył Zagórski.
— Ja nie myślę o t a m t y c h, ja myślę — o nas.

— Jakto — o nas? A cóż my?

— Nasz jest grzech!

— Zupelnie cię, Józieczku, nie rozumiem! — zawołała pani Zagórska.

— Nasza duchowość jest zamało bojowa, zamało agresywna, za słaba, jałowa, nieraz — jeśli to można powiedzieć — machinalna. Więc na przykład: Chłopi się rzną nożami na weselach. Co na to ksiądz? Zabrania wielkich weselisk. A co trzeba zrobić? Pozwolić na wielkie wesela, ale sprawić, żeby się chłopci nożami nie rznęli.

— Mam być żandarmem?

— Nie, ojcem duchowym.

Dziekan poczerwieniał.

Zaś Zagórski mówił dalej:

— Jeśli moje dzieci bawią się niegrzecznie, mogę je postawić do kąta — lepiej jednak będzie, jeśli je nauczę bawić się grzecznie. Chcemy żyć, jak za dawnych przedwojennych czasów — wygodnie. A czasy są powojenne, trudne i wymagają od nas siedmiokrotnego, dziesięciokrotnego wysiłku twórczego, przecogromnej miłości, miłości do upadłego, na śmierć i życie! A tej wielkiej miłości nie widzę. Nie może jej być bez ogromnej wiary, bez wielkiego ducha.

— Więc czego pan chce?

— Naprzód pokory, wejścia w siebie, uderzenia się w piersi i pozbycia się wszelkich słabości. Następnie — ofiarowania swego ja sprawie wspólnej,

wyrzeczenia się siebie. Wreszcie — ogromniej, nie-
strudzonej pracy. Więc — moja myśl, myśl inte-
ligenta polskiego — musi się wyrzec lenistwa i pu-
stych igraszek, a powinna stać się myślą pracowitą,
wyteżoną, dzielną. Prawo sędziego powinno stać
się nie zbiorem paragrafów, lecz świętem przykaza-
niem sprawiedliwości, aby on nie tylko sądził, lecz
był sędzią polskim. Nauczyciel powinien nie tylko
uczyć, ale wychowywać nowych Polaków, jako nau-
czyciel polski.

— A ksiądz? — wtrącił dziekan.

— Ksiądz ma Boga.

— Zatem od księdza pan niczego nie wymaga?

— Owszem. Aby jego Bóg był mu naprawdę
Bogiem. A wtedy ksiądz będzie naprawdę księdzem.

Dziekan zmieszał się trochę.

— Otóż gdyby to wszystko się spełniło, wytwo-
rzyłaby się atmosfera tak niesłychanie polska, że i ten
szachrujący gulon i ten kupiec, i ten finansista,
i ten dorobkiewicz prowincjonalny — każdy praco-
wałby dla Polski, bo poza nią nie byłoby zadowo-
lenia, ani zysku.

— Ale to byłoby poprostu czemś w rodzaju pol-
skiego ascetyzmu! — zauważył dziekan.

— Może!

Dziekan potrząsnął głową.

— Mój drogi panie! — rzekł. — Wiem, że mnie
nazywają czasami „labusiem“. Przykro mi, bo pra-
wdę mówiąc, kocham swój stan, i gdybym się drugi
raz narodził, znowu zostałbym księdzem. Ale ascetą,
choćby polskim, nie zostanę. Zanim kocham ży-
cie.

Zagórski uśmiechnął się.

— Widzi ksiądz dziekan! — zawołał. — Cała rzecz na tem polega, że my życia swego przeważnie nie widzimy w Polsce, lecz poza nią. Cóż się tedy dziwić, że naród do nas, jako do swych przywódców zaufania niema? I czem się różnimy od pierwszego lepszego samolubnego gulona? I w tem tkwi także rozdział między nami a nowymi ludźmi. Chcąc się stać nawskroś Polakami, twórczymi, kierującymi, musieliśmy niejedno z siebie zeszkrobać, niejedno wyrzucić, a zachować w sobie, ba, rozbudzić w sobie, ożywić tylko to, co mamy najlepszego. Oni sypią przed siebie nieraz na oślep z błędami, przywarami, bezwzględną brutalnością, ale Polakami nawskroś są wciąż, bo niczem innem być nie potrafią.

— A my co mamy robić?

— Jeśli nie chcemy być tymi polskimi ascetami, zażyć rumianku i położyć się do łóżka, jak mówią w jakiejś komedji.

— A może choćby jeszcze usiąść pod piecem i opowiadać dzieciom, jak to było dawniej? Też pożyteczna rzecz.

— No, nie bardzo jest się czem chwalić! — rozśmiał się Zagórski.

Pani Zagórska poprosiła na podwieczorek.

*

*

*

Kiedy dziekan wyszedł od państwa Zagórskich, słońce zsuwało się już za ciemno szafirowe grzbiety gór.

Tuż przy kapliczce świętego Jana prowadziła około stodół droga w pole. Ksiądz, podrażniony tro-

chę rozmową z Zagórskim, skreślił za stodoły. Chciał wyjść w pole, побыć chwilę sam na sam ze sobą, pomyśleć czy raczej uporządkować myśli, nieco wzburzone.

Minawszy stodoły, skreślił ku cmentarzowi. Tu już droga zmieniała się w ścieżkę, wiodącą szeroką równią, otoczoną ze wszystkich stron górami. Od zielonych pól dmuchał miły chłodzący wietrzyk; czasem nisko nad ziemią zahuczał basem bąk lub chrząszcz majowy. Nad ciemno szafirowymi lub fioletowymi grzbietami gór rozpalila się olbrzymia, złoto-czerwona zorza. Cały świat spłynął szkarłatem.

Ksiądz stanął.

Rozpoczął się zwykły koncert wieczorny.

Słysząc było zanoszące się porykiwanie krów, tremolujące beczenie cieląt, łamiące się fistułowocześnie krzyki gęsi, turkot wozów, hukanie woźniców, nawoływania pastuchów, głosy kobiet, dzieci, ujadanie psów. Wszystkie te głosy były stłumione, ale wyraźne. Człek mało świadom rzeczy mógłby powiedzieć, iż są to odgłosy zwykłe, ale ksiądz, który miał dobre ucho, orkiestrę swą dobrze znał i umiał się w nią wsłuchać, odrazu odgadywał tonację, a z poszczególnych dźwięków — nastrój miasteczka. Wiedział, że gdy miasteczko jest w złym humorze, zgryzione, strapione, złe, mężczyźni huczą jak bąki, parobcy z wściekłością pokrzykują na konie lub krowy, kobiety złością, rozżartymi głosami wymyślają sobie nie raz przez długie kwadransy, dzieci, częściej ofuknięte i potrącane, płaczą i drą się całymi godzinami. Tak było swego czasu, kiedy żyta były liche, koni brakowało, a młodzi ludzie wojowali na dalekich kresach. Dziś muzyka wieczorna miasteczka brzmiała

pogodnie, wesoło, dzwoniła śmiechem i radością, a gwar ludzki, zmieszany z głosami zwierząt, tworzył akordy miłe uchu i sercu.

Dziekan stał, słuchał i myślał. Sciszona, oddalona, łagodna muzyka działała na niego kojąco; zbudziła mu w duszy echo pełnych, sytych, dźwięcznych, a przecie jakby sennych akordów beethovenowskiego Pastorale. Dogasający szkarłat słoneczny w nim samym sprawił spokojny, cichy wieczór. A wtem jakaś struna zaczęła cicho drgać i przez mózg przeleciało nieznośne słowo: Labuś!

Aż się zatrząsł z obrzydzenia; poszedł dalej.
— Labuś!

Nie jest labusiem, Bóg widzi, daleko mu do tego. Jest zwykłym księdzem proboszczem, cieszącym się szacunkiem, a także uznaniem zwierzchników; nie zostałby dziekanem, gdyby na to nie zasługiwał. Służy, jak umie najlepiej. Jest zwykłym księdzem.

A gdyby trzeba było zostać księdzem niezwykłym? I czy istotnie służy, jak umie najdalej? Nie mógłby się zdobyć na więcej?

— Każdy człowiek może znacznie więcej, niż może! — powiedział Zagórski.

Sam fakt, że taka rozmowa wytrąciła go z równowagi... Co za nietakt dyktować komuś obowiązki!

Czyżby obowiązki?

A właściwie co jemu, dziekanowi, można zarzucić? Nic. Lubi ludzi, lubi piękne rzeczy, zajmujące książki, obrazy lub czasem pogawędzić, czasem, bardzo rzadko, bo i nie stać na to — wypić kieliszek czegoś dobrego — to wszystko przecie drobnostki.

— Nic, małostki! — podpowiedział jakiś głos.

Zadumał się ksiądz.

— Takie biedne życie! Gdyby ludzie wiedzieli! Gdyby mogli zrozumieć! Przecie właściwie to jest nic!

— To też właśnie! — szepnął głos. — Nic. A trzeba, żeby było coś.

Tak miło i cicho na cmentarzu. Wszędzie bujna trawa, zielona, wonna. W szafirowem powietrzu smętnie sterczą czarne, stożkowate tuje... O, gacki czarne latają dokoła kaplicy... Krzyże, krzyżyki... A jednak... W zimie zaczęto grzebać na dołączonym do cmentarza gruncie... Pierwszego pochowano aptekarza... Teraz dopiero maj, a ile to mogiłek przy-
było... Jakaż to nikła rzecz — życie! Ludzie tłumami zstępują do grobów... Cudownie rozkwitła ta wiśnia... Co za masa kwiatów...

— A trzeba, żeby było coś! — powtórzył w duchu ksiądz dziekan, siadając na ławce. — Jednakże cudnie zakwitła ta wiśnia.

Uśmiechnął się gorzko.

Swego czasu całą aleję, od bramy cmentarnej aż do końca cmentarza wysadził młodemi wisienkami. Mogło to bardzo pięknie wyglądać, on zaś, dziekan, miał przez to na myśli pogodzenie śmierci z życiem. Niby — chciał dać zmarłym jakieś miłe towarzystwo. Postarał się o drzewka, kupił, zasadził. Gdzież się podziały? Zostało ich ledwo kilka. A reszta? Resztę rozkradziono; chłopcy powyrywali nocami drzewka na biczyska. Nawet cmentarne wiśnie rozkradli! Młoda wisienka na biczysko doskonała, rozumie się! To trzeba było Zagórskiemu powiedzieć. Bo tak, jak z temi wisienkami, jest ze wszystkim!

Łatwo powiedzieć: pracować do upadłego. Na tak twardym gruncie nic nie wzejdzie.

Zastanowił się ksiądz nad swoimi parafjanami. Znał ich dobrze, utrzymywał z nimi stosunki, starał się żyć z nimi. Dumnym nie był, przeciwnie, nie zapominał nigdy, że pochodził z ludu. W rezultacie — zmęczyli go, udręczyli, zniechęcili. Zobaczył, że nie da się zrobić nic.

Ci ludzie chodzą do kościoła, mają w domu święte obrazy, palą przed nimi lampki, całują księdza w rękę, spowiadają się na Wielkanoc, ale czy wierzą, czy są pobożni, czy są szczerymi, kochającymi synami Kościoła? Przecież w czterdziestym szóstym roku pocięli kosami obrazy z Męką Pańską — chłopci, ci chłopci, którzy, przypuszczano, wierzą, jak dzieci! A cóż dopiero guloni, zarozumiali, pewni siebie, nie wierzący nikomu, tylko na sobie polegający... To gdyby Zagórski wiedział... Dwa klasztory i fara w jednym małym miasteczku, a mimo to ludzie są mało religijni, zatwardziali i niedostępni... Świętym trzeba być, żeby sobie z nimi poradzić, żeby na nich wpłynąć, żeby móc te ich serca zdobyć.

— Świętym trzeba być...

Bo to już jest taki naród. Nie znosi połowiczności. Chce mieć człowieka z kamienia, żelaza, ze stali, z drzewa, czegobądź, ale jednolitego, aby mógł wiedzieć, czego on chce. Hardy — słuchać będzie tylko silnych.

— Ma charakter. Nieznośny charakter! — myśli dziekan. — Trzebaby nad nim bardzo pracować, żeby go móc należycie urobić. Trzebaby mu poświęcić wszystkie siły, każdą myśl, każdą chwilę życia... Wtedy może po pewnym czasie chłopcy nie wrywa-

liby wisienek z cmentarza! Ale na to należałoby się skupić, zebrać w sobie potężnie, nie rozpraszać się, istotnie, wyrzec się wszystkiego, nawet tych najtańszych radości życia...

— Człowieku, cóż ci zależy na tanich radościach życia?

— Zależy, zależy, zależy... Bo wszędzie można je znaleźć i nie musi się ich żmudną pracą własnego ducha zdobywać... Tak, tak, to gnuśność niepiękna, ja wiem, wiem... Ale...

— Ale...

— Ale kiedy raz przystąpię do dzieła swego życia, gdy włożę kark swój w to jarzmo, nie będę mógł go zdjąć nigdy i wiem, nie będę chciał... Gorączka tworzenia weźre mi się w żyły, na zawsze usadowi mi się w sercu, zestrzeli w duszy mej całą wolę i miłość, zrobi mnie niewolnikiem nieosiągalnych zamierzeń.

— Panem samego siebie.

— I pozbawi mnie tej słodkiej lekkomyślności, z jaką na pięknym Twym świecie, Panie, żyją dzieci. I pozbawi mnie na zawsze młodości!

Tuje zaszumiały z cicha; kilka białych płatków spadło z wiśni na ścieżkę.

— Już okwitasz? — pomyślał ksiądz.

A potem rzekł sobie w duchu.

— Napróżno wymawiasz się człowieku. Trzeba. Wstał.

— Tylko — czy siły starczą?

*

*

*

I dlaczego ty, nieszczęśniku, pijesz! Mam ci tłumaczyć, że robisz głupio, źle, że się rujnujesz materialnie i fizycznie, że się osłabiasz?

Antoś, pół leżąc, pół siedząc, rozwalił się na kupie belek rozrzuconych w małym podwórku; w obu kieszeniach marynarki miał po flaszcze wódki. Mgła przesłaniała mu oczy; od czasu do czasu opluwał się gęstą, białą śliną. Nad nim siedział na stołku Zagórski.

— Paskudny jesteś. Opluwasz się wstrętnie. I potrzeba ci to, aby aż żona po mnie przylatywała. Wogóle nie umiesz pić. Pijesz, jak bydlak, a potem wyrabiasz awantury, porywasz się do bicia, do noża — wyłazi z ciebie chamstwo.

Antoś zachmurzył się i odwrócił głowę od Zagórskiego.

— Chmurz się, chmurz! — mówił Zagórski. — Ja ci tu komplementów mówić nie będę. Nie umiesz pić, jak człowiek. Owszem, rozumiem, można się czasem napić, ale pij na wesoło, abyś zapomniał o wszystkim, co cię gnębi, abyś się choć po pijanemu poczuł człowiekiem. Upicie się powinno być do pewnego stopnia wyzwoleniem, a ty co z siebie wyzwalasz? Chama!

— To oni! Oni! — zawołał Antoś, wskazując drzwi do swego mieszkania. — To oni zatruwają mi tak wszystko! Ja tu wytrzymać nie mogę! Cały tydzień pracuje, a w niedziele chce się zabawić! Musze! Musze! Jezdem do tego przyzwyczajony. Potrzebuje, lubie się czasem napić, lubie się wtedy zabawić...

— Co to za zabawa, jak ty na czczo, rano, wypijesz duszkiem ćwierć litra spirytusu!

— A co ja mam robić? Widzi brat, ja pracowałem w Morawskiej Ostrawie, w fabryce.

— Wiem.

— Cały tydzień pracowałem. W sobotę po południu wypłacano mi zarobek. Wtedy ja odkładałem to, co mi było potrzebne na życie, na wydatki, a reszcie puszczałem. Ale jak? Już w sobotę szło się na piwo, na kolację do restauracji. Lokal był duży, czysty, światło elektryczne albo gazowe, na stołach obrusy.

— W kratkę!

— W kratke nie w kratke, ale były obrusy! Człowiek przyszedł, dał se porzondną, dużą wódkę, zjadł porcję gulaszu albo paprykosh z knydlem, najadł się, a potem piwo... Dobrze było piwo, tanie... To się pogadało przy tem piwie z kolegami, zagrało się w bilard, popiło się dobrze i szło się spać.

Antoś wyjął z kieszeni flaszczyne, łyknął zdrowo i opowiadał dalej:

— W niedziele rano człowiek się zbudził wyspany, umył się porządnie, ubrał się elegancko, napił się kawy i szedł z babą do kościoła. Po kościele troche się przejść i na drugie śniadanie: wódka, kiełbasa, wurszły na gorąco, szklanka piwa — potem znowu się przejść i do restauracji — ale porządnej — na obiad: dobry rosół, wieprzowa z kapustą, legomina, piwa kilka bomb się wypiło... Posiedział człowiek, przyjrzał się ludziom, ze znajomymi pogadał... Po obiedzie szło się spać... Po południu — do kina! Napatrzył się człowiek różnym rzeczom, naśmiał się... i jazda na kolację, na muzykę... Sala pełna, gorąco, żywo, ledwie się miejsce znajdzie, ale zawsze się znajdzie, znowu ten kieliszek wódki,

pieczeń jakaś i piwo... Muzyka gra, wesoło, człowiek se piwo popija, zaczyna gadać z tymi, co przy stole siedzą — zabawa jest! Siódme piwo? Niechta! Choćby dziesiąte! Co to kosztowało? Kilka groszy! To jest moja zabawa. Inni może bawią się lepiej, ale ja — robotnik jezdem — moja zabawa prosta: dobrze zjeść, napić się, muzyki posłuchać, z ludźmi pogadać! Codzień tego ni mom.

Znowu napił się wódki i splunął.

— A co ja mam tu? — spytał, patrząc na Zagórskiego mętnemi oczyma. — Co ja tu mogę zrobić? Przyjdzie sobota, wieczór — moge ja co odłożyć, moge wiedzieć, jakie jutro będą ceny? Już to jedno. No i gdzie pude? W domu bede pić? To mi żona wódkę zatruje — przydzie stara, zacznie dokucać — dogadują, męczą, dręczą — ja cały tydzień z domu nie wychodze — robić, to mi każą... ale! to wiedzą! A że człowiek przecie musi coś mieć — to nie myślą! Ide do szynku. Ciemno, brudno, towarzystwa nijakiego, ani nawet gazety, zjeść nima co — czasem ta kielbasa z cielęciny, albo moskale — i to jeszcze każdy łape pcha do faski, palcami bierze, tfu! Piwo — tysiące kosztuje. Co mam robić — niech brat sam powi! Wypije pukwaterek spirytusu — i jest.

Zagórski milczał.

—A w niedziele? — skarżył się Antoś. — Już ja dobrze wiem, co mnie w niedziele czeka. Nie-raz próbowałem nie pić. Wie brat? Człowiek jak pije, zapomina dlaczego pije, czuje, że mu ta wódka szkodzi i powiada sobie: Przestanę. A dopiro jak przestanie, wytrzeźwieje, spojrzy dokoła siebie i zobaczy to swoje życie, widzi dlaczego pił i że do-

brze robił — bo po trzeźwemu tego nie wytrzyma. Tak i ja. Nie piłem. Szli my z żoną do kościoła, a potem nic. Przychodzi obiad — rosół, przygotowana cielęcina, zimnioki, kapusta — byle się nażreć. A potem — spać do wieczora, wieczór kawałek chleba, trochę kawy — i znów spać. Niedziela! To mówię bratu, taka mnie cholera porywała, że byłbym wszystko dokoła siebie tłuk! Płakać mi się chciało. Tam, gdzieś, ludzie się bawią, używają życia, coś widzą, a ja tu — jak w studni. Żadnego życia! Żeby mnie brat Zagórski kiedy do inteligencji wzion!

— Uchłasz się, zaczniesz wyrabiać awantury... Zresztą — jakże ja cię tak wezmę. Trzeba ludzi znać!

Antoś uśmiechnął się pogardliwie.

— A no, pewnie, ja, krawiec! Zresztą — co mi ta!

— No, ale to wszystko wygląda bardzo nieładnie, Antoś. Ja też jestem do innego życia przyzwyczajony... Nie jeden ja — masz tu mnóstwo ludzi, którzy żyli na świecie...

— To co innego! Ja jezdem zwykły robotnik. Ja nie umie górnych zabaw... Potrzebuje zjeść, wypić, muzyki posłuchać, zatańcować... Dużo nie myślę, daleko nie patrze... Wiem tyle — dawniej ja cały tydzień pracowałem w fabryce. Wiedziałem, że muszę robić dobrze, dokładnie, bo mi inaczej wpała kara, albo potracą z zapłaty. Robiłem, nie myślałem nic — zato niedziela — moja! Dziś haruje jak koń i ani nawet w niedziele nic za to ni nom!

— Masz po części słuszność! — odpowiedział Zagórski. — Ciężko tu żyć, to prawda. Ale nie przyszło ci też kiedy na myśl, że dawniej byłeś niewolnikiem, mającym tylko jedną niedzielę dla siebie

i wtedy było ci dobrze, a dziś jesteś wolnym człowiekiem — i nie umiesz, jak wolny człowiek żyć! Koniecznie ci do szczęścia potrzebny rygor, chomąto?

— Ja jezdem zwykły robotnik, chomąto mi nie straszne. Nie chce myśleć, to nie moja rzecz, nic nie wymyśle. Koźcie mi robić, co chcecie, ale dajcie mi czasem żyć! A tu życia nimo!

Chwiejąc się, ze szklanemi oczyma i obwisłemi mięśniami twarzy, wyjął z kieszeni flaszkę i przechyliwszy się w tył, zaczął sobie łać wódkę prosto w gardło.

*

*

*

Kłopotów, zmartwień było niemało, bo drożyzna wzrasła, marka spadała wciąż, a zarobki stałe kuśtykały za cenami, ale przecież jakoś się żyło. Dzieci dostały nowe, lekkie sukienki i sandałki, pani Zagórska też sobie zdołała coś sprawić. Zato Zagórski całe dnie spędzał za biurkiem przy oknie, to pisząc, to zajęty korektą — bo druk jego słownika rozpoczęło — to wreszcie przyglądając się dzieciom, kręcącym się przy malce, pracującej wraz ze służącą w ogrodzie.

Maj rozkwitał, mieniać się tęczą, i zdawało się, jak gdyby wraz z nim rozkwitali i ludzie. Wieczorem dzień w dzień liczne zastępy szły do klasztoru długimi szeregami na nabożeństwo majowe. Że to jednak są to ulubione nabożeństwa dziewcząt, więc one wysuwały się na pierwszy plan i odgrywały główną

rolę — wystrojone, ufryzowane i w różnobarwnych, przeważnie oszalałająco jaskrawych sukienkach lub bluzkach. Nieraz też zjawiały się dziewczęta z okolicznych wiosek w przesłicznych strojach ludowych, do chodzących bukietów podobne — zaś ludzie patrzyli za nimi tęsknie i w milczeniu, a z żalem, jakby przeprowadzając wzrokiem zjawiska ukochane, a odchodzące na zawsze.

Za dziewczętami ciągnęli oczywiście chłopcy, nie tyle dla nabożeństwa, choć i ono miało swój miły urok, ile dlatego, że nadarzała się sposobność zbliżenia się i łatwiejszego zaznajomienia się z panienkami, które przeważnie przychodziły same. Pary dobierały się w tajemniczy sposób w kościele, po nabożeństwie zaś, późnym już wieczorem, wędrowały ścieżkami polnemi do domu.

Zbierano się u figury Matki Boskiej na błoni, przeważnie późno, kiedy na niebie świeciły już gwiazdy a żaby rechotały w rowach i stawach. Tu znów zgromadzała się młodzież miasteczka, wykształceńska i wprawniejsza w śpiewie od młodzieży wiejskiej. Nieraz do późna dolatywał stamtąd odgłos starych, pięknych pieśni, a dziewczynki Zagórskiego wyśpiewywały radośnie: Po górach, dolinach, rozchodzi się głos!

W piękne, gwiazdziste wieczory zabawiał się Zagórski w połów gwiazd, podziwiał światło Arktura, liczył gwiazdy Wolarza, Psy Gończe, wyszukiwał wszystkie perły Korony Północnej... Niewiele się na tem rozumiał, ale nieraz do późnej nocy dreptał tam i z powrotem po sadzie, kąpiąc duszę w głębiach Nieskończoności, rozmarzony i zachwycony... Pisał bratu: — Codzień wieczorem zajeżdża przed

mój dom Wielki Wóz, który mnie wiezie na srebrne szlaki Mlecznej Drogi, między słońca, gwiazdy, duchy gwiazd i ciche, smutne, czarne trupy ziem wygasłych...

Zaszumiały deszcze majowe, rześiste, ulewne, ciepłe... — Złoto z nieba leci, czyste złoto! — wołali uradowani ludzie, widząc jak bujną zielenią świat się po tych deszczach okrywa. Ale nadlatywały też i burze, złe, groźne, trzaskające piorunami, siekące gradem, wielkim nieraz jak laskowe orzechy. Kiedy indziej znów burza zawisła nad światem i tak wisiała, czarna, straszna, warcząc tylko głucho grzmotami, przewalającemi się po ołowianem sklepieniu niebieskiem i dysząc takim żarem, że roślinki mdały, ludzie oblewali się potem, zaczęli się skarżyć na ból głowy, a w duszy zrywał się taki niepokój, że niepodobna było pracować. Trwało to czasem kilka dni, aż wreszcie huknął piorun, ziemia stanęła w zielonym ogniu, rozpętała się burza, wyrzuciła z siebie całą swą wściekłość i poszła dalej, rzuciwszy za siebie ludziom na pojednanie jasną wstęgę tęczy.

Niby nic działo się nic, a właściwie ciągle coś się działo. Palpieronowi zdechł koń, krowa Maślankowej złamała nogę i musiało się ją dobić, ktoś zginął od pioruna, ktoś wyjechał do Ameryki, Salcia dostała od swego amerykańskiego wuja dwadzieścia dolarów, z radości pożyczyła sobie od kogoś gramofon i cały dzień przy nim tańczyła z przyjaciółkami, sprowadził się do miasteczka nowy doktor, pani Pudłowiczowa zachorowała i musiała się poddać operacji, jarmark następował po jarmarku — ale to wszystko nic nie znaczyło i nic się przez to w miasteczku nie zmieniało. My s o m m y! — mówiły domy, ka-

mienie, drzewa, płoty, nawet walące się — i trwały dalej.

Wypadkiem dnia był doroczny przyjazd fotografa. W miasteczku, do którego nie zaglądali nawet wędrowni fotografowie, fotografii bardzo potrzebowano. Ten i ów chciał się fotografować z rodziną, tamten — dla brata czy siostry w Ameryce, tamta pragnęła uwiecznić się w ślubnej sukni czy z narzeczonym, jeszcze inna obiecała fotografię narzeczonemu, służącemu w wojsku, to znowu ktoś wybierał się do Ameryki i chciał krewnym zostawić po sobie jakąś pamiątkę — dość na tem, że zgłaszających się było mnóstwo.

Przybycie fotografa obwieszczały afisze z szumną reklamą, oraz umieszczona obok drzwi apteki — fotograf zawsze zajeżdżał do pani aptekarzowej — skrzynka z różnemi fotografjami. Były to przeważnie raczej podobizny zmarłych w bolesnej męce konania nieboszczyków, niż fotografje, konterfekty ponurych matolek, nieudolne, wysmażone bohomyzy, mające przedstawiać chóry prowincjonalne, rady gminne czy zebrania jubileuszowe — tak czarne, źle retuszowane i niezdarne, że w rezultacie przypominały grupy kryminalistów lub topielców, ale — innego fotografa nie było. W dodatku dzielny ten przemysłowiec rozporządzał tak olbrzymią dozą banalności, że najnaturalniejszy nawet ruch czy układ ciała potrafił zmienić w zatechłą martwość, oblaną nihy twardym lukrem, sztywną obrzędowością i nadętą powagą. Krótko mówiąc: Idealny fotograf prowincjonalny.

Zdjęcia odbywały się na wielkiem, obwiedzionem murem, podwórzu w domu pani aptekarzowej.

Delikwenci kolejno stawali czy siadali po jednej stronie przed czarnem pudłem fotografa, zaś po drugiej stronie zbierali się ci, którzy na swą kolej czekali, co się już fotografowali lub poprostu ciekawo. Ta publiczność przyglądała się pozom i minom fotografowanych i bawiła się doskonale.

Pierwsza obsiadła stół rodzina burmistrza. Okazała pani burmistrzowa, tłusta, z czerwoną, spoczną twarzą, jędrny, fertyczny podłotek z dobrze rozwiniętymi łydkami, wyglądającymi z pod krótkiej sukienki i z zadartym nosem, dwu tęgich dryblasów i stary, skrzywiony pogardliwie i wściekły, bo ze względu na garb, fotografować się nie lubiał. Teraz też chował się to za żonę, to za chłopców, a i fotograf nie wiedział, co z nim zrobić, póki go wreszcie jakoś za stół nie wsunął. Stary kłął — „komedyje, psiokrew, cholera“, wymyślał synom, żonie też kilka słów brzydkich rzucił, więc twarze były zagniewane, odęte. Widzieli to wszyscy i bawili się zakłopotaniem burmistrza. Wtem fotograf podniósł rękę, krzyknął: — Proszę uważać! — i twarze w mgnieniu oka rozjaśniły się uśmiechem. Pani burmistrzowa uśmiechnęła się słodko, córeczka figlarnie, jeden dryblas chytrze - porozumiewawczo, drugi rzewnie, z natchnieniem, lirycznie, a burmistrz kwaśno, jakby chciał powiedzieć: — Co mi ta, psiokrew, do tego, jo sie, psiokrew, do tego nie miszom, jo se tylko tak siedze!

Staął pod murem Antoś Szczygieł z żoną: On w czarnym, obwisłym na piersiach i na ramionach tużurku, ona w ślubnej sukni z welonem. W rękach trzymała bukiet z papierowych róż w papierowym mankiecie, że zaś nie miała trenu, przypięta do sukni

agrafkami prześcieradło, z którego Antoś na ziemi ułożył jej tren. Potem on stanął na baczność i wytrzeszczył groźnie oczy, ona zapatrzyła się przed siebie i tak skamienieli.

Zasiadł przy stole pod murem Rogacz ze swą liczną rodziną, pewny siebie, butny, hardy, odcinający się ostro licznym, mniej lub więcej szczerym przyjaciółom. Siadł sobie śmiało, szeroko. Będzie się wstydził! On! Fotograf kazał mu wziąć na rękę złotowłosą Irenkę, najmłodszą, kazał mu na nią patrzeć — Rogacz się na dziecko zapatrzył i twarzą mu zmiękła, rozjaśniła się, jakby oczyściła i zniknął gdzieś Rogacz spekulant, przemytnik, nie przebierający w środkach handlarz świń, a został tylko ojciec, nad życie kochający dzieci.

I tak, z krótką przerwą na obiad, jeden za drugim stawiali cały dzień pod murem, prawie całe miasteczko. A dziwna rzecz: Dokładali wszelkich starań, aby się wydać nie takimi, jakimi byli w życiu codziennym, lecz jakimi się widzieli w swej wyobraźni, jakimi chcieliby się mieć. I to nie był fałsz, lecz tęsknota, wyrażona choć w ten prymitywny sposób dążność do czegoś lepszego, *w i a r a w i d e a ł*, a jednocześnie tragedia życia.

Kiedy się ściemniło, fotograf zebrał swe manatki i złożywszy je w salonie, padł ciężko na kanapę.

— Nie mogę już, nie mogę! — jęczał ochryplym od nawoływań głosem, obcierając kolorową chustką spocone czoło. — Błagam panią, niech mi pani da szklanke — nie kieliszek, szklanke mocnej wódki!

— A to się pan napracował! — zlitowała się nad nim pani aptekarzowa.

— Praca, to nic! Ale te gęby ludzkie, te gęby!
Okropność!

Zwinał swój namiot widzący wszystko czarno fotograf i znowu spokój zapanował w miasteczku — aż oto znowu niezwykle wypadek ten spokój zmałił.

W miasteczku pojawił się samochód.

Prawdę mówiąc, samochód nie był w tych stronach zjawiskiem nieznanem. Widywano samochody przed wojną, widziano ich aż nadto dość podczas wojny, a i po wojnie czasem się któryś z tych potworów do miasteczka zapędził, na gościńcu znajdowały się nawet sygnały dla automobilistów, już za polskich rządów postawione.

Samochód, o którym mowa, sprawił dlatego tak wielkie wrażenie, że to był — autobus! Wielki, wysoki, białoczerwony autobus.

Zkąd się wziął?

Była to prawdopodobnie zbiorowa wycieczka z którejś miejscowości kąpielowej — a może, korzystając z pięknej pogody, obwożono po kraju zagranicznych dziennikarzy czy innych gości z daleka — dość na tem, że pełen pasażerów autobus przejechał pewnego dnia przez miasteczko.

Zdaleka już oznajmił się ludziom niskim, basowym pomrukiem.

— Samochód jedzie! Samochód! — zaczęły wołać dzieci na gościńcu.

Kto żył, wybiegał z domu — naprzód aby spędzić z gościńca dzieci, psa, ewentualnie kurę lub gęś, powtóre, aby — choć się ta tego widziało dość, nikomu już samochód nie dziwota — przecie przyrzec się żelaznemu bydłciu ze świata, z miast ludnych i gwarnych, z dzielnic fabrycznych, pełnych

chrzęstu cudownych maszyn, z dróg szerokich, twar-
dych, rojnych...

Pokazał się wreszcie w dali, do żuka białoczerwonego podobny, wysoki, mimo niezbyt szybkiego biegu, w pędzie swym niewstrzymany, potężny potwór, wyzwolony z niewoli szyn, nieraz zwycięski nawet w boju z lokomotywą.

Wciąż jeszcze myślano, że to zwykły samochód.

Kiedy jednakże ujrzano autobus, natłoczony pasażerami, siedzącymi po obu stronach, kiedy zobaczono, że to jadą nie obywatele z okolicy, lecz prawdziwi ludzie z miasta, podróżni, pasażerowie — wielki dreszcz wstrząsnął całym miasteczkiem. Starzy guloni zrobili miny krytyczne i nieufne, burmistrz poskrobał się w łopatkę i pomyślał: — A możeby, psiokrew, i dobrze było! — wymalowana panna Wanda wyjrzała oknem i szepnęła: — Można by częściej jeździć do Sącza na bale! — panna Elza westchnęła, bo jej pilot przyszedł na myśl, ten ów amerykańnin wspomniał nieskończone łańcuchy samochodów z ulic amerykańskich miast i nagle zaczęło się dziać coś dziwnego: Z kłębow dymu, lejących za autobusem, wyrastała nowa ulica — po obu stronach w pięknych ogródkach wille murowane z szerokimi oknami, o lustrzanych szybach, chodniki z pięknych tafli ułożone, nad gościńcem zwisające białe jagody lamp łukowych, w rynku garaż i przystanek dla samochodów — stara Pietrkowa już nie zbiera gałązek po polu, ale sprzedaje na rogu rynku gazety, nie trzeba czekać na jarmark, ażeby kupić wiązkę cebuli lub parę sznurowadeł, bo w sklepach wszystkiego jest dość, rozpróżniaczeni chłopcy, którzy dawniej, pasąc krowy na błoniu, bawili się

w wikłach z dziewczętami w męża i żonę, lub urządzali różne orgje w krzakach, w mundurach harcerskich muszlrują się na boisku sokolem.

— Hehe! — woła do pana Przypiórskiego pan Uszko. — Już się zaczyna! Przyjechał raz? Dobrze, przyjedzie drugi raz! A potem zacznie jeździć dwa razy na tydzień, potem trzy, potem raz na dzień, dwa razy na dzień.

— Dlaczego nie? To bardzo łatwo może być! — zachęcał po swojemu pan Przypiórski.

— A wtedy my sprowadzimy sobie Fordy!

— Może będziemy mieli samochody własnego wyrobu?

— I po naszym białem miasteczku!

— Ono dopiero wtedy będzie białe. Teraz to już bardzo ze starości czarne i zakopcone!

*

*

*

Kąpać się pan idzie do Dunajca? — mówił znajomy gulon do Zagórskiego. — Dobrze pan robi. To bardzo zdrowo. Ja, wie pan, czterdzieści lat tu mieszkalem i nie kąpałem się nigdy. Dopiero zeszłego roku mnie namówili, wykąpałem się. Panie! To by nikt nawet nie uwierzył, jak to dobrze robi!

Zagórski prawie całe lato spędził w wodzie lub nad wodą, przysmażając się na gorącym piaseczku. Pani Zagórska smażyła konfitury, jęcząc, płacząc i pomstując na spekulantów, którzy właśnie w tym czasie pochowali cukier. Dzieci chodziły z buziami i rączkami sinemi od czarnych jagód, dom pełen był

woni poziomek, grzybków świeżych i suszących się malin... Po pokojach latały motyle, wieczorem precudne, białe, zielono nakrapiane ćmy siadały panu Zagórskiemu na rękach lub kartach książki. Jabłonie pokryły się gęstym owocem.

Zaczęli zjeżdżać letnicy — opaśli, ciężcy, z dobrze wyładowanymi kieszeniami paskarze z wielkich miast i — któżby pomyślał! — wszyscy przeważnie guloni z pochodzenia. To radca sądowy, to inżynier, to wyelegantowany kapitan z Warszawy, to bogaty krawiec ze Lwowa, to jakiś notariusz, profesor uniwersytetu, wyższy urzędnik kolejowy... Ci wysocy dostojnicy, wielcy ludzie, byli tu znowu gulonami, mówili sobie ty z różnymi oberwańcami, ciociami nazywali kumosie w chusteczkach na głowach, głośkali po jasnych główkach bosych urwisów, którzy wołali na nich wuju lub stryju. Goście narzekali na brak kultury, na złą, barbarzyńską, prostacką kuchnię, na zacofanie, ale pili wiadrami mleko, chodzili się kąpać, a wieczorem bez najmniejszych ceremonji chłodzili się w szynku piwem i za pan brat bez względu na stan i godność, wspominali spędzone w miasteczku młode lata.

Zanim się kto obejrzał, pojawiły się w rynku i na ulicach miasteczka wozy, naładowane wysoko złotymi snopami — istne góry złota, na których wysoko trząśł się ten czy ów gulon, czarny od słońca, spocony, w rozchełstanej na piersi koszuli, ale zadowolony i uśmiechnięty. W ciemnych wnętrzach szeroko otwartych stodół zaczęły się piętrzyć stosy złota. Rozległy się głuche uderzenia cepów o boiska.

Dziewczęta przynosiły z lasu ostrężyny, rydze...

— Już śliwki są! — wołała pani Zagórska. —
Mój Boże, kompotu trzebaby zrobić na zimę, a cukier
tak podrożał!

— Ale żyjemy jeszcze! — pocieszał ją mąż.

Chłopcy robili straszne spustoszenia w sadzie.
Zarzucaли sad kijami, kamieniami, łamali gałęzie owo-
cowych drzew. Pani Zagórska pienila się z gniewu.
Zagórskiemu było też bardzo przykro, ale ostatecznie...

— Jak tu autobus będzie jeździł dwa razy dzien-
nie, te kradzieże ustaną! — tłumaczył żonie. —
A przytem pomyśl, że te chłopaki są właściwie po-
prostu głodne. Czemże to żyje? Chlebem, lura z cy-
korji, barszczem z ziemniakami, kapustą. Jabłka to
dla nich łakocie... Widziałem, jak wybierali z rowu
napół zgniłe, robaczywe i także je jedli... Ale obrać
je trzeba...

Właśnie Milcia, pokazując grube łydy, uwijała
się wśród olbrzymich konarów starej gruszy, otrzą-
sając soczyste różanki, gdy naraz Zagórski, który
dyrygował tą akcją, ujrzał starego Józefowicza.

Gulon, jak zawsze uroczysty i poważny, widząc,
że Zagórski jest zajęty, zawahał się. Zbieranie owo-
ców — to nie byle co, bez pańskiego oka obejść się
nie może. Ale Zagórski natychmiast podszedł ku
niemu, posadził go na ławce pod jabłonią i zapytał,
czem mu może służyć.

Stary nie odrazu odpowiedział. Rozejrzał się po
sadzie, przyjrzał się drzewom tak, jakby chciał
wszystkie jabłka policzyć, następnie pochwalił:

— Jabłka bardzo pięknie obrodziły.

— Nadzwyczaj pięknie. Będzie tego ze dwa-
dzieścia metrów.

— Chłopczyńska kradną.

— Rozumie się.

Stary potrząsnął głową.

— Żle to wychowane, dzikie, zepsute. Rodzice nie dbają, szkoła nie wychowuje...

Pogderał chwilę. Potem zapytał, czy nie mógłby kupić metra jabłek. I kiedy ma zapłacić. Przy odbiorce. Dobrze.

Zamrugął powiekami.

A czy to prawda, że Zagórski chce sprzedać dom?

— Ja? — zdziwił się Zagórski. — Po co?

Józefowicz wzruszył ramionami.

— Tak coś mówiono. Mówią, że się pan przenosi do Warszawy.

Zagórski roześmiał się.

— Gdybym się przeniósł do Warszawy, tobym dopiero domu nie sprzedawał! Uważaj, Basiu, nie podchodź tak blisko, bo cię gruszka w główkę uderzy! A ty tam trzymaj się dobrze na gałęzi! — krzyknął na Milcię, poczem znowu zwrócił się do gościa. — Nie, nie przenoszę się do Warszawy.

Gałęzie drzewa zaszumiały, gruszki gradem popływały się na ziemię.

— A nie nudzi się tu panu?

— Nie.

— Towarzystwa niema.

— Mam rodzinę. Zresztą — ludzie są.

Sad pęczniał popołudniowem światłem słonecznym. Wszystko nasycone było jego dojrzałym złotem. Brunatna, srebrną siwizną obramowana twarz starego była jak z miedzi.

— Ale dlaczego pan nie przeniesie się do Krakowa? — zapytał naraz Zagórski.

— Ja?

Stary aż się zląkł.

— Ma pan tam przecie trzech synów, jest pan człowiekiem bogatym.

— Ja? Nic nie mam, jestem tylko ekonomem swych dzieci. Zresztą, cóżbym ja w mieście robił? Całe życie mi tu zeszło. Strach mnie ogarnia na samą myśl, że mógłbym gdzieindziej umrzeć, że nie pochowano by mnie tu, na tym cmentarzu, w grobie rodzinnym...

— A przecie pan z pewnością często w Krakowie bywa.

— Ostatni raz byłem przed dwudziestu laty. Od dwudziestu lat krokiem się stąd nie ruszam.

— Ale Kraków pan lubi?

— Bardzo. Tylko że nie chciałbym tam mieszkać.

— A myślał pan kiedy nad tem — dlaczego?

— Stary jestem — dużo myślałem.

— Zatem — niechże mi pan powie, bo mi to potrzebne.

— Na co?

— Dla siebie.

Ledwo dostrzegalny uśmiech błysnął wśród siwego zarostu.

— Gdyby pan przyszedł tu przed dwustu laty i zapukał do drzwi mego dzisiaj domu, otworzył by panu Józefowicz, bardzo do mnie podobny. To samo byłoby przed stu lub przed trzydziestu laty. Wiem, że świętej pamięci ojciec pański, którego dobrze znałem i bardzo szanowałem, mieszkał dłuższy czas w Krakowie. Gdyby ktoś zapukał dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat temu do dawnego mieszkania rodziców pańskich w Krakowie, kogóż by zastał?

— Nie wiem! — uśmiechnął się Zagórski.

— Lecz jeśli pan zapuka do mego domu za lat pięćdziesiąt, otworzy panu znowu Józefowicz, bardzo do mnie podobny.

— Kto wie?

— Ja wiem. U nas się życie tak prędko nie zmienia. Ta droga, przy której stoi pański dom, ma co najmniej osiemset lat, jeśli nie więcej. To odwieczny szlak z Węgier do Polski. Jeździli tą drogą kupcy, zbóje, żołnierze, jeżdżą dziś auta, ale ani jeden nawet zakręt drogi nie zmienił się. Koryto Dunajca zmienia się czasem trochę, ale kierunek rzeki nie zmienia się. Nie, panie! Nie może się zmieniać. Dlaczego? Sam pan widzi: Po tej stronie grunt ku rzece opada, a po drugim brzegu są góry. To się zmienić nie może. Jak każdy z moich sąsiadów — mam swój majątek. Co się tu może zmienić? Właściciel? Sposób uprawy ziemi? To przecie nie stanowi istoty rzeczy! Pług zwykły czy motorowy, Szymon Józefowicz czy Michał? To rzecz podrzędna. A z mojego domu do kościoła nie będzie nigdy ani bliżej ani dalej. Lipy pod klasztorem mają już trzysta lat i nikt ich nie ścina, bo poco?

— A postęp, panie Józefowicz! Elektryzacja?

— Dobrze, proszę pana! Wszakże tym dawnym szlakiem kupieckim jeżdżą już auta, a szlak się nie zmienił. Obozowały tu kiedyś wojska króla Jana Trzeciego, a potem, podczas wojny, mieliśmy tu Węgrów, Niemców, Bawarów, Moskali, nawet legjonistów. Będziemy mieli elektryczność? Doskonale! Ja przecie też nie noszę czamary ani butów z cholewami, lecz ubieram się po miejsku. Nie przeczę zresztą, że zacofania jest dużo, bo i ciemnota

niemała i ludzie nie bardzo mądrzy. Najzdolniejszych świat nam odbiera — a nie oddaje i nie daje za to nic.

Tu stary gulon pokiwał głową.

— I tak — zarzuca się nam chciwość! Zbieramy, bo to jest naszym obowiązkiem. Pszczoła też jest chciwa — a przecie nie dla siebie zbiera. Zbieramy, ale dajemy wszystko wiernie. Pieniądze, produkty, krew, dzieci. W czasie wojny z bolszewikami cała młodzież poszła na ochotnika. Do legjonów szli też. Tak było zawsze. W sześćdziesiątym trzecim dzieściu z naszego miasteczka uciekło za Wisłę, jeden na Syberji był, jeszcze żyje. A iluż mieszkańców wtedy to miasteczko liczyło? Może ośmiuset! Tak było i jest. Niech pan patrzy: Z sześciu — trzech synów mi zostało — a gdzież oni? Wzięło mi ich miasto. Ten inżynier, tamten prawnik, trzeci jest profesorem uniwersytetu, sławny człowiek — a nikt nie wie, że za nimi stoi stary, małomieszczański domek z kramem, w którym siwy, samotny ojciec i staruszka matka pieprz sprzedają. Tam znów elegant kapitan, a jego starszy brat własnoręcznie kielbasy robi. Tam znowu radca sądowy, wyroki feruje, dostojnik — a tu jego matka w dwóch izdebkach sama się krząta. Tak. Oddajemy wszystko, co mamy najlepszego, najsilniejszego i nic do nas nie wraca. Karmimy, odziewamy, kształcimy i wysyłamy w świat, na służbę dla społeczeństwa. A tu zostaje tylko to, co słabsze i co zostać musi. Woły robocze. Więc cóż się dziwić?

Stary zamrugał powiekami, umilkł i siedział, zacierając wiecznie czerwone, odmrożone ręce.

— Ale to do rzeczy nic nie ma! — odezwał się po chwili. — Pan pytał, dlaczego nie chciałbym przenieść się do miasta. Ba, mógłbym, stać mnie na to. Byłoby mi wygodniej, widywałbym się codzień z synami. Ale nie chcę. Nie tylko przez przywiązanie do tej ziemi, nie. Jest inna przyczyna, ważniejsza. Ja, człowiek stary, chcę żyć, a życie miejskie jest — jak miejskie powietrze — zatrute.

— Co pan przez to rozumie?

— Życie miejskie tak szybko i gwałtownie się zmienia, że uchwycić go i zrozumieć — nie można. Miejski człowiek nie wie, do czego dąży, a skutkiem tego musi często kłamać. Z czasem tak się zakłamie, że nie wie, kim i czym jest. Przestaje być sobą. Widzę to na własnych synach. Więc doktor, Stanisław. Poszedł na medycynę z wniosłej miłości bliźniego, a czym jest? Sławnym lekarzem, leczącym tylko bogatych ludzi. Czemu? Zmieniły go warunki życia miejskiego. I jakże ja mógłbym żyć takim nie-szczerem życiem, niewierny sobie!

— A tu?

— Tu jest inaczej. Tu każdy wie, kim jest i co ma robić. Tu nie trzeba chleba dla siebie wydierać drugiemu. Tu każdy ma kąt i chleb własny. Dlatego tu można dojść do rzeczy najważniejszej: Poznania samego siebie. Dlatego tu każdy ma własne, prawdziwe życie.

Stary podniósł się i podając Zagórskiemu na pożegnanie rękę, rzekł:

— Jak to my, gulo ni, mówimy: — My som my!

KONIEC.

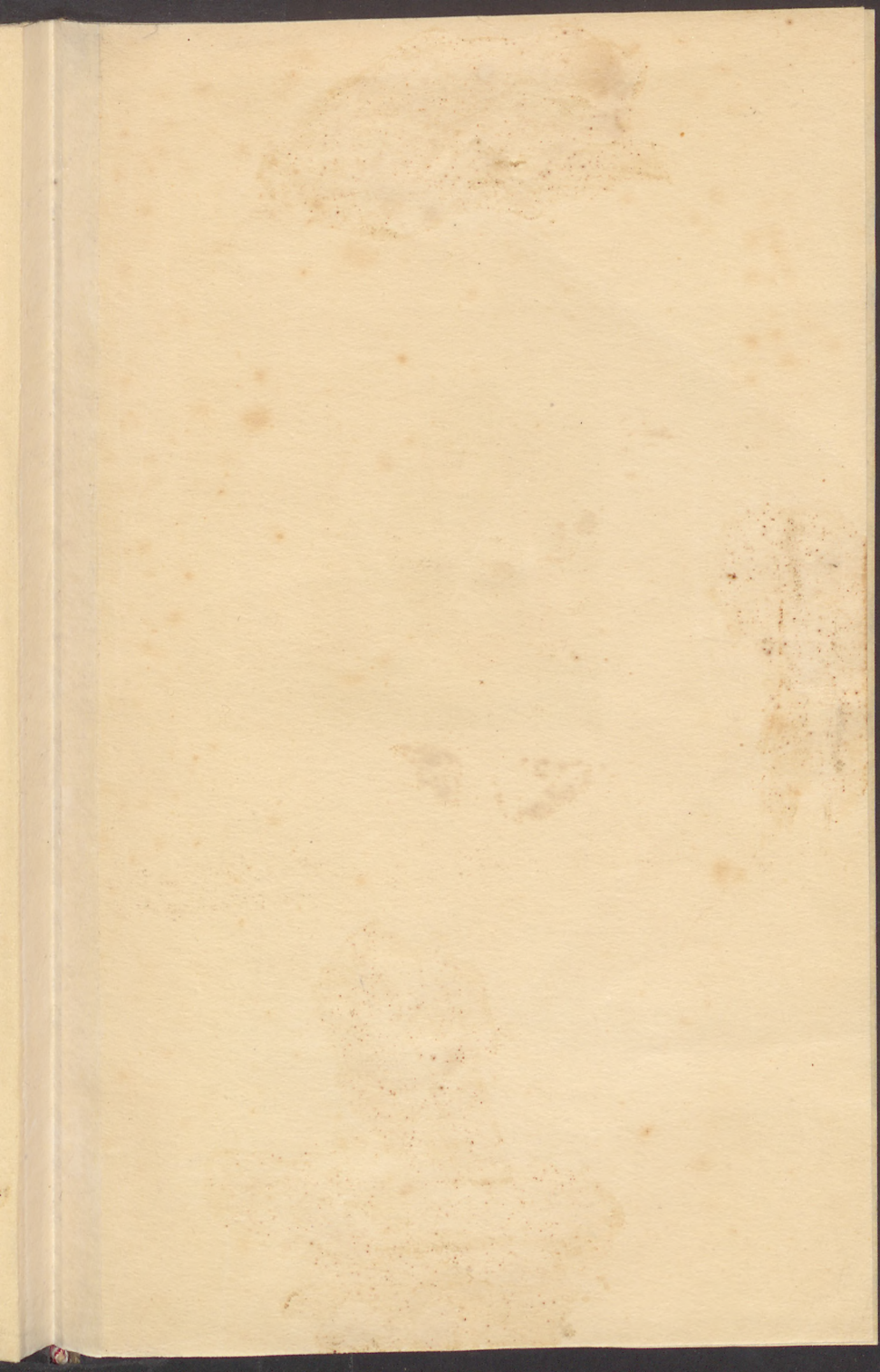


Świetlica
Przemysłu Cementowego „Wiek“ 299
w OGRODZIENCU
poczta Zawiercie

Biblioteka Główna UMK



300000848627



405 589

